

Glyn Eleonora

Za cenę życia

Spadkobierca starego rodu Ardayrów, John, czuje się zagrożony w swoich prawach przez nieślubnego syna swego ojca, Ferdynanda. Sytuację może uratować jedynie posiadanie legalnego potomka, który zagrozi awanturnikowi drogę do nazwiska i majątku. John żeni się ze swoją kuzynką Amarylis. Wkrótce okazuje się, że małżeństwo nie może zostać skonsumowane. John przeżywa tragedię, niedoświadczona Amarylis nie bardzo rozumie, co się; wokół niej dzieje. Wybuch wojna i John ma wkrótce pójść na front. Jeśli zginie, cały majątek Ardayrów przejmie znenawidzony Ferdynand. John rozpaczliwie szuka wyjścia i znajduje... Ostatnią noc, przed wyjazdem Johna na front, jego żona spędzi z ich kuzynem, Denzilem, oczywiście nie wiedząc o tym. Denzil w ciągu całej nocy szepnie tylko jedno słowo „Ukochana” i kiedy później Amarylis spotka go przypadkowo, rozpozna po tym słowie prawdziwego ojca swego dziecka.

— Jeżeli ktoś świadomie i rozważnie pragnie szczęścia na tym padole — rzekł Rosjanin — powinien uzbroić się w dostateczną siłę woli i nad niczym się nie zastanawiać. Z chwilą, gdy zaczynamy zapuszczać się w rozmyślania, otwieramy puszkę Pandory i wiele wody może upłynąć zanim na jej dnie ujrzymy spoczywającą nadzieję.

— Co pan rozumie przez rozmyślania? Jakże można nie myśleć? — Duże, szare oczy Amarylis wyrażały szczere zdumienie. Spędzała miodowy miesiąc w Paryżu i była teraz na przyjęciu w rosyjskiej ambasadzie.

Do tej pory godziła się ze wszystkim, co ją spotykało, nie zagłębiając się w rozmyślaniach. Dzieciństwo spędziła na wsi i z natury była dobra. Ale miodowy miesiąc nie wywołał u niej żadnych rozkosznych dreszczy, o których wspominała jej koleżanka, Elsie Goldmore.

Może to dlatego, że sir John był dziwnie apatyczny i nudny. Wygląda zawsze posepnie — pomyślała w duszy, spoglądając na męża, gdy rozmawiał z ambasadorem. Piękną ma sylwetkę, ale jaki nudny. Podczas gdy Rosjanin, z którym gawędziła, obudził w niej zainteresowanie. Był to mężczyzna olbrzymiego wzrostu, brzydki i nieco rubaszny. Oczy miał żółtawozielone osadzone ukośnie, twarz typowo kałmucką. Ale widziało się i czuło, że mówi się do kogoś o wybitnej indywidualności.

John był szablonowy, z góry można było wiedzieć, jak postąpi w danej okoliczności i — że zawsze spełni swój obowiązek. Rosjanin tymczasem obserwował młodą Angielkę krytycznym okiem. Przed-

stawiała doskonały typ anglosaskiej rasy — dobrze zbudowana, wykwintna i zdrowa. Pełna musi być także temperamentu, chociaż o tym nie wie — dumął. Jest w niej temperament i romantyczność, zdrowy rozsądek i inteligencja.

Miłym zadaniem dla mężczyzny byłoby podjąć się jej wychowania, pragnąłbym mieć na to czas.

Amarylis Ardayre powtórzyła pytanie: — Jakże można nie myśleć? Ja zawsze myślę.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ach nie, pani nie myśli, pani się tylko zdaje. O nic pani nie pyta. Postępuje pani zwykle słusznie, ponieważ ma pani dobry charakter i dobrze była pani wychowana, ale nie posiada pani pełnej świadomości siebie i chęci udoskonalenia swej duszy. Czy nie mam racji?

Była zdumiona.

— Może — odparła.

— Czy pani kiedy pyta siebie o znaczenie różnych rzeczy? Czym jesteśmy? Dokąd dążymy? Jaki będzie koniec tego wszystkiego? Z pewnością nie, pani jest szczęśliwa, żyje pani z dnia na dzień, a mimo to nie może pani posiadać bardzo młodej duszy, za mądre ma pani na to oczy, musiała już pani przejść parę reinkarnacji. Nie obudziła się pani jednak, trwa pani jeszcze we śnie.

— Kilka reinkarnacji? Więc pan uznaje tę teorię?

Amarylis nie przywykła dyskutować na tematy nieprawomyślne, ale zainteresowała się słowami Rosjanina.

— Naturalnie, jakim to innym sposobem mielibyśmy na świecie sprawiedliwość? Każdy zły czyn i każdy dobry wywołuje refleks, ale czasami dopiero w następnym bytowaniu; oto dlaczego bezmyślni nie mogą pojąć prawdy, nie dostrzegają widocznych skutków dobrego albo złego. Rzekomo zło zwykle zwycięża, o ile między złem a dobrem istnieje różnica sum.

— Czemu więc nie mamy pamięci, tak abyśmy mogli skorzystać z nauki otrzymanej w poprzednim życiu?

— Bo w takim razie poprawialibyśmy się dla własnego interesu, a nie okupywalibyśmy naszych błędów przez cierpienie. Nie posiadając zaś świadomej pamięci naszego ostatniego bytowania, walczymy i pragniemy zaspokoić różne swoje pragnienia: zaspokojenie jednak najczęściej przynosi rozczarowanie.

— Czemu pan powiada, że aby osiągnąć szczęście, trzeba odegnąć myśl — to wygląda na paradoks.

Czuła się trochę zaniepokojona.

— Powiedziałem, że jeśli ktoś świadomie i rozważnie pragnie szczęścia, musi odegnąć myśl, aby wstawić się z powrotem w warunki tych setek ludzi, którzy są szczęśliwi, nie zdając sobie sprawy z posiadania duszy. Dane im jest tu na świecie szczęście za trochę dobra, które na ziemi spełniają. Ale nikt, kto potrafi myśleć, nie ma stałego szczęścia, bo pragnienia duszy sięgają wyżej i nie dadzą się zaspokoić ziemskimi rzeczami.

— Brzydko więc z pana strony, domagać się ode mnie myślenia. Chcę być szczęśliwa, a może na duszy wcale mi nie zależy.

— Ta jednak w pani żyje i jej sen nie jest głęboki.

Amarylis Ardayre patrzyła na tłumy przesuwane się po wspaniałych apartamentach ambasady.

— Niech mi pan powie, kim jest ta kobieta?—zapytała. — Ta ładna z piwnymi oczami, w zielonej sukni. Wygląda na promienną i szczęśliwą.

— Taka też jest, ale to bezduszna istota, świetnie zakonserwowana, szalona egoistka, zupełnie pozbawiona inteligencji, słodko urzejma i zmysłowa.

— Pan jest surowy w swych sądach.

— Wcale nie, Harietta Boleska jest produktem tego dziwnego narodu za Atlantykiem. Żaden inny tak jak on nie potrafi wytworzyć takiego typu. Amerykę nazwać można cieplarnią świata pod względem nadzwyczajnych okazji ludzkich! W wypadku tej pani, mamy matkę nie wiadomo jakiego pochodzenia, przybyłą na okręcie emigracyjnym, ojca jakiegoś wyrzutka europejskiego a owocem ich miłości jest Harietta, pełna sprytu, piękna, prawdziwa dama. Zwykłemu obserwatorowi jednak bije w oczy brak w niej duszy, a wulgarność ducha odkrywa każdy, kto jest trochę psychologiem lub ma okazję przyjrzeć się jej, gdy jest poirytowana na służącą lub na krawcową. Inne narody nie wytwarzają tego rodzaju istot, jaką jest pani Boleska. Kobieta z właściwościami Harietty, gdyby była Europejką, pokazałaby od razu swą wulgarność i nikt by się o nią nie troszczył lub poddałaby się prawdziwej namiętności, która by ją zgubiła. Namiętność jest wspaniałą rzeczą, powstaje z czegoś, co leży poza fizycznymi

właściwościami. Proszę zauważyć jej nozdrza, jest w nich zwierzęca zmysłowość.

— Boleska to rosyjskie nazwisko, prawda?

— Nie, polskie. Zdobyła naszego Stanisława, wielkiego mojego przyjaciela rozwodząc się z niepotrzebnym jej już mężem, Niemcem, który zajmował jakieś stanowisko w amerykańskim konsulacie.

— Czy to ten stary jegomość, stojący za nią jest tym waszym Stanisławem? Wygląda na zupełnie zastraszonego.

— Smutny przedstawia widok, prawda? Stanisław nie jest stary, ma zaledwie czterdziestkę. Ale jest kompletnie pod wpływem żony. Przytłumiła jego inteligencję i zaćmiła jego sąd ustawicznym odwoływaniem się do jego zmysłów. Zagwoździła jego wolę swymi kapryсами, robi mu sceny i tym sposobem trzyma go w uległości. On należy **do Rady Cesarstwa dla spraw Polski**. Ideały jego kraju stanowiły jego poważne cele. Ale teraz nie ma żadnych ambicji. Jest zmęczony i przestał walczyć. Ona nim rządzi i zjada jego duszę tak, jak zmarnowała dusze innych ludzi. Czy mam pani ją przedstawić? Jako typ zasługuje na uwagę.

— Włosi powiedzieliby, że ma złe oczy. — Amarylis wzdrygnęła się. — Jedyne wobec mężczyzn. Zresztą jest miłym stworzeniem, kobiety

ją lubią. Jest ogromnie prosta, ale robi to, co chce. Uosabia całą moc ekstawagancji i gdy ogarnia ją nastrój, musi mieć kogoś pod ręką, kto **by** zaspokoił jej fantazje. Poza tym jest uprzejma, ma wesołe usposobienie i nie zdaje sobie sprawy, że innych prowadzi do piekła.

— Ciekawa osoba, chciałabym ją poznać. Powiada pan, że jest szczęśliwa?

— Bo jest bezduszna i bezmyślna, pamięta jedynie o sobie. Jediną jej mocą jest silna wola.

— Taka moc jest także dobra.

— Z pewnością, bo nawet zła moc jest lepsza aniżeli negatywne dobro. Trzeba być najpierw silnym, zanim będzie się łagodnym.

— Pan jest silny?

— Tak, ale nie dobry. Nie byłbym odpowiednim towarzyszem dla słodkich Angielek, które mają idealnych mężów.

— To już ja sama osądzę.

— Tiens! Co za emancypacja!

— Mówi pan, że jest pan zły, jakże to godzi się z pańską teorią,

wedle której płacimy za każdy czyn? Z góry więc musi pan wiedzieć, że zostanie ukarany.

— Wiem o tym, jestem więc zły świadomie, zdając sobie sprawę, że za to zapłacę prędzej czy później.

— To niemądrze. Wzruszył ramionami.

— Zadaję sobie bardzo srogi przymus, gdy zaczynam myśleć o rzeczach o których nie powinienem i staję się dziki, gdy domagam się szczęścia... Teraz mamy okazję, aby zaznajomić panią z Hariettą, **oto** zdąża w naszą stronę.

Pani Boleska podeszła ku nim, wsparta na ramieniu austriackiego księcia, a Weriszczeko rzekł do niej ze słodką uprzejmością:

— Niech mi pani pozwoli przedstawić sobie lady Ardayre, która z daleka panią podziwiała.

Obydwie kobiety ukłoniły się sobie wzajemnie i Amerykanka z **całą** prostotą uczyniła parę uprzejmych uwag miłym głosem, pozbawionym amerykańskiego akcentu.

Amarylis Ardayre zainteresowała się panią Boleską, która zrobiła na niej dobre wrażenie. Amerykanka miała znakomity makijaż. Jasnozłote włosy, gustownie upięte, harmonizowały z jej piwnymi oczami. Na sobie miała wykwinętą suknię tak jak biżuterię, a kiedy zdjęła jedną rękawiczkę, Amarylis dostrzegła, że rękę ma małą i kształną.

— Bardzo mi miło poznać panią — rzekła pani Boleska. — W przyszłym tygodniu wybieramy się do Londynu, gdzie będę mogła lepiej poznać Anglików.

Zamieniły jeszcze parę uprzejmych słów, po czym pani Boleska oddaliła się. Figurę miała okazałą i głowę trzymała wyniośle. Amarylis odwróciła się do Rosjanina, bo zdziwił ją wyraz dzikiego, sardonicznego rozbawienia w jego zielonawych oczach.

— Pani Boleska z pewnością zauważyła, że pan się z niej wyśmiewa — rzekła lady Ardayre zdumiona.

— To nic nie szkodzi.

— Ale pan robił wrażenie zagniewanego!

— Możliwe, często nim jestem, gdy pomyślę o Stanisławie, **który był** moim dobrym przyjacielem.

W tej chwili przyłączył się do nich sir John Ardayre, Rosjanin więc zwrócił się do lady Ardayre:

— Chociaż odchodzę, nie żegnam się, moja pani, niebawem będę w pani kraju, a zresztą mam nadzieję, że zobaczę panią jeszcze przed jej wyjazdem z Paryża.

Weriszczenko umówił się z państwem Ardayre na obiad w najbliższych dniach, po czym oddalił się z ukłonem.

W godzinę później Rosjanin siedział w dużym klubowym fotelu w swoim małym saloniku przy ulicy Cambon, gdy do pokoju weszła pani Boleska i usiadła mu na kolanach.

— Musiałam przyjść do ciebie ukochany brutalu — rzekła Zazdrosna byłąm o tę angielską lalkę. — I przytknęła swoje miękkie wargi do jego ust. — Stanisław chciał rozmawiać ze mną o **nowych planach dla Polski**, ale jak wiesz, drażnią mnie jego pomysły.

Weriszczenko z niecierpliwością cofnął głowę wstecz i odpowiedział szorstko:

— Nie jestem dzisiaj w nastroju. Wracaj z powrotem do siebie Myślę o czymś realnym, o czymś, do czego twoje ciało nie jest mi potrzebne. Męczysz mnie i nie mogę znieść twojej obecności. Won!

Pocałował ją brutalnie w szyję i strącił z kolan. Harietta nadała się, ale spotrzegła małe pudełeczko, leżące obok na stoliku i chciwy błysk zamigotał w jej piwnych oczach.

— O Stefanie! Czy to rubinowy pierścionek?

Ach ty mój ukochany, to dla mnie? Dzięki. Teraz uciekam i zostawiam cię w spokoju. Dobranoc!

Gdy wyszła, Weriszczenko splunął, wrzucił szczyptę kadzidła do srebrnego naczynia, a . kiedy pachnący dym wzbił się w powietrze odetchnął zadowolony.

* * *

— Co robisz w Paryżu, Denzilu?

— Przyjechałem na wyścigi, strasznie się cieszę, że cię widzę, zjemy razem obiad, dobrze?

Weriszczenko wsunął rękę pod ramię Denzila Ardayre i zaciągnął go do Cafe de Paris, obok której się właśnie spotkali.

— Miałem zamówione inne towarzystwo, ale ona niech się pocieszy obiadem, chcę z tobą porozmawiać. Czy jesteś sam? – zapytał Rosjanin.

— Jeden z kolegów zrobił mi zawód, chciałem tylko coś przelknąć i pójść do teatru. To dobrze, że trafiłem na ciebie, sądziłem, że przebywasz gdzieś stąd milami.

Weriszczenko dał wskazówki kelnerowi, co do umieszczenia **pięknej** damy, która wkrótce przybędzie, po czym udał się do swego stolika w odosobnionym kącie w głębi sali.

Parę osób obecnych w restauracji (była to wczesna godzina, **jak na** majowy wieczór) spoglądało na Denzila Ardayre. Był obrazem zdrowia i młodości. Wysoki, elegancki o wybitnym typie Anglika, ze smagłą cerą, ciemnymi włosami i niebieskimi oczami. Można było być pewnym, **że** grał w krokieta i polo i uprawiał każdy sport, a słowo „żołnierz”, młody waleczny kawalerzysta, wypisane miał na czole. Weriszczenko cenił **go**. Znali się bardzo dobrze, kolegowali w Oxfordzie, a później wspólnie polowali na niedźwiedzie w dalekiej Rosji, ojczyźnie Stefana.

Rozmawiali przez chwilę o obojętnych rzeczach, po czym Weriszczenko rzekł:

— Są tutaj twoi krewni, sir John Ardayre i niezwykle pojętna jego żona. Czy będziemy jeść to, co zamówiłem, czy masz może inne życzenie?

Denzil zwrócił uwagę tylko na pierwszą część pytania przyjaciela. Był zdziwiony i zainteresowany.

— John Ardayre tutaj? Ach tak, ożenił się dziesięć dni temu, **jest** głową naszej rodziny jak wiesz, ale ledwie go znam i to tylko z widzenia. Jest dziesięć lat starszy ode mnie i nie troszczy się o nas, tych z uboższej, młodszej gałęzi. — Uśmiechnął się, pokazując zdrowe, białe zęby.

— Zresztą jak wiesz, przez długi czas byłem w Indiach i zajmowałem się sportem, a nie krewnymi.

— Chciałbym o twym kuzynie coś usłyszeć — rzekł Weriszczenko.

— Dziewczyna jest rozkoszna, sir John robi wrażenie nudnego.

— Ale mimo to ma nadzwyczajny charakter — pospieszył Denzil z wyjaśnieniem. — Czy znasz historię naszej rodziny? Naturalnie, **że** nie. W dawnych czasach zanadto byliśmy zajęci innymi sprawami, **aby** rozmawiać o genealogii. Historia naszej rodziny jest trochę dziwna. Za

ostatniej generacji wszystko chyliło się nieomal ku końcowi i upadkowi i dopiero John uratował honor rodziny. Czy interesujesz się problemem dziedziczności?

— Naturalnie, co więc?

— Nasz wspólny pradziadek był wielką figurą w dzielnicy North Somerset, gdzie leży Ardayre. Mój ojciec był synem młodszego syna, który służył w wojsku. Matka była Willbrook z domu, jak wiesz, i dostatecznie posażna, dlatego dają sobie radę; do czasów ojca Johna, sir Jamesa, utracjusza, ten kto był głową rodziny, był zawsze bardzo bogaty i bardzo dumny ze swojej rasy. Wszyscy nasi przodkowie przejęci byli po prostu kultem dla Ardayrów.

— Więc dopiero ojciec sir Johna roztrwonił majątek, co?

— Tak, był łajdakiem, wdał się w rodzinę matki. Ona była z domu Cranmote, a oni zatruwają każdą krew, z którą się połączą.

Denzil nałożył na talerz rosyjską sałatę i ciągnął dalej leniwie. — Na szczęście ożenił się z lady Mary de la Paule, która była świętą niewiastą i dlatego John odziedziczył po matce wszystkie zalety. Niestety, umarła bardzo wcześnie, pewnie miała dosyć sir Jamesa. Przegrywał wszystko, na czym mógł rękę położyć. Biedny John, wychowany był przez guwernera. Miał zaledwie trzynaście lat, gdy matka mu umarła i w siedemnastym roku zabrał się do pracy w City, postanowił zrobić pieniądze i oswobodzić z długów majątek Ardayre. To nadzwyczajne z jego strony, czy nie uważasz?

— Tak, we wszystkim tym jednak nie ma dotąd nic nadzwyczajnego. Co potem? — Denzil roześmiał się, nie umiał dobrze opowiadać.

— Zaledwie ta biedna kobieta umarła, sir James poślubił Bułgarę, czarodziejkę węzów, którą wynalazł w Konstantynopolu. Dobrze ci się uśmiechać! — Weriszczenko bowiem podniósł brwi w cudaczny sposób.

— To musiało być ogromnie sensacyjne zdarzenie — rzekł Rosjanin.

— Przyznaję, że niezwykła rzecz, ale opowiadanie staje się bardziej ponure, gdy ci powiem, że w pięć miesięcy po ślubie urodziła syna. Bóg raczy wiedzieć czyjego. Ale stary sir James był tak omamiony przez nią, że niczemu nie zaprzeczał i wkrótce, gdy posprzeczali się z Johnem, dowodził, że to małe jest jego dzieckiem — na złość starszemu synowi.

Kałmuckie oczy Weriszczenki przymknęły się.

— Zdaje mi się, że spotkałem tego potomka czarodziejki węzłów, nazywa się Ferdynand, prawda? Jest lub był w Konstantynopolu.

— Tak, to on; wychowany był w Ardayre, jak gdyby był dziedzicem, a biedny John został usunięty z domu. Potem Ferdynand przybył do Eton, trzy lata przed moim odjazdem, ale nawet tam **nie** mogli **z niego** bodaj zewnątrz zrobić dżentelmena. Nie cierpiałem tej **ropuchy, a on** nie znosił mnie — a najsmutniejszą rzeczą jest to, że o ile John **nie będzie** miał syna, to wedle angielskiego prawa Ferdynand odziedziczy **Ardayre** i zostanie głową rodziny. Stary sir James umarł pięć lat temu **zawsze** twierdząc, że ten młodzieniec jest jego dzieckiem, chociaż **każdy** wiedział, że to wierutne kłamstwo. W tym czasie jednak John **zrobił** majątek w City i oczyścił z długów Ardayre. Miał ogromne szczęście **po** afrykańskiej wojnie. A teraz jest bardzo bogaty i żyje bardzo wystawnie. Mam nadzieję, że będzie miał syna.

— I ty posiadasz instynkt rodzinny, tę rodzoną dumę **rodową, bo** przecież dla ciebie narodziny potomka Ardayrów nie są połączone z żadną korzyścią.

— Tak, widocznie przychodzimy już z tym na świat. Nigdy bowiem nie widziałem rodzinnego majątku Ardayre, a wstrętą mi jest myśl, **aby** ten mieszaniec go odziedziczył. Byłem wychowany w ogromnym poszanowaniu dla naszej ziemi.

— No, nowa lady Ardayre wygląda młodo i zdrowo i robi wrażenie, że mogłaby mieć dziesięciu synów.

— Taaak — odparł Denzil nieco dziwnym tonem.

— Uważasz, że nie? — Weriszczenko spojrzał zdumiony, po czym zwrócił swoją uwagę na kelnera, który nalewał im burgunda.

— Sądysz może, że nie?

— Nie wiem, nigdy jej nie widziałem, ale w rodzinie mówią, że John biedaczysko miał wypadek na polowaniu przed dwoma czy trzema laty. To jednak może być nieprawda, wypijmy zdrowie syna Ardayrów!

— Za zdrowie syna Ardayrów! — powtórzył Weriszczenko i obaj przyjaciele wypróżnili kieliszki do dna.

— Twój kuzyn jest podobny do ciebie — rzekł Rosjanin — ten sam wzrost i sposób bycia, nawet głos. Oryginalna rzecz to podobieństwo rodzinne, ten sam powtarzający się typ. Ja nie mam za sobą rodu, jak wiesz pochodzimy z ludu i wzbogaciliśmy się przez przemysł. Ciekaw

jestem, czy wśród moich najbliższych krewnych znalazłbym to samo niezwykle piętno rodzinne. Kto wie? Zdaje mi się, że nie.

— Sądzę, że coś musi w tym być. Mój ojciec mówił mi, że w galerii portretów z Ardayre cały szereg obrazów jest podobny do siebie, jak dwie krople wody.

— Powoduje to koncentracja myśli. Ludzie tacy jak ja i mój ojciec podobni są tylko do pewnej grupy, stanowiącej typ narodu; jeżeli będę miał dzieci, one będą podobne już do mnie. Siła leży w zapoczątkowaniu, gdy jednostka wybije się ponad grupę, stwarza typ. Każdy powie „Anglik” patrząc na ciebie a kto cię zna, powie od razu „Ardayre”. Co do mnie powiedzą „Kałmuk” — oto wszystko, ale po latach rozwinie się typ Weriszczenków!

— Jak ty nad wszystkim myślisz, Stefanie, i zawsze wypowiadasz jakieś nowe idee. Życie byłoby tylko sportem, gdyby człowiek nie myślał. Kończę tej jesieni służbę wojskową i chcę wejść do parlamentu. Szkoda czasu na żołnierkę bez żadnej perspektywy wojny. Pragnę szerszego pola działania.

— Sądysz więc, że nie ma widoków na wojnę? Któż może przewidzieć? Na południowym wschodzie gromadzą się chmury, ale na razie nie będziemy się nad tym zastanawiali, zresztą może to dotknąć mego kraju, a nie twego. Więc chcesz się ustatkować i zostać parlamentarzystą? — Gdy Denzil pragnął coś odpowiedzieć na temat wojennych chmur, Weriszczenko pośpiesznie przerwał

— Przyjdiesz jutro wieczór na obiad do Ritza, aby poznać twego kuzyna i jego żonę, którzy będą moimi gośćmi?

— Chciałabym bardzo być, ale rano wyjeżdżam. Jaka ona jest? — zapytał Denzil.

Weriszczenko zastanowił się chwilę nad doborem słów, po czym odpowiedział:

— To rodzinny typ, Denzilu, to znaczy dobry szkielet, kości w odpowiednim miejscu, jędrne, białe ciało o twojej karnacji, dobrze wychowana, zrównoważona i nie obudzona dotąd. Czy była z wami spokrewniona?

- Tak, zdaje mi się, że to nasza daleka kuzynka, żałuję, że nie mogę być jutro z wami, bardzo bym chciał ich poznać. Będę się starał spotkać z nimi w Anglii. To idiotyczne nie znać swojej rodziny, ale nasi

dziadkowie posprzeczali się i nie mieliśmy już sposobności później nawiązać na nowo zerwanych kiedyś nici.

— Sir John z żoną byli wczoraj w rosyjskiej ambasadzie, lady Ardayre wzbudziła u wszystkich podziw.

— A co ty robisz w Paryżu, Stefanie? Ostatnio, kiedy słyszałem o tobie, byłeś na swoim jachcie na Morzu Czarnym.

— Krążyłem obok krajów, których wewnętrzne sprawy **chwilowo** mnie interesują. Wróciłem do swego mieszkania w Paryżu, aby **zobaczyć** się ze swoim przyjacielem, Stanisławem Boleskim. On także ma **ładną** żonę. Popatrz, właśnie weszła z mężem, jest we wściekłym **humorze**; obserwuj ją. Jeżeli siądę tyłem, zasłoni mnie filar. Nie chcę, aby mnie **na** razie spostrzegli.

Denzil spojrzął na salę; dwie osoby usiadły przy ścianie. **Twarz** Harietty Boleskiej okryta była maską. Brwi miała podniesione i **wyraz** złości i niezadowolenia malował się na jej twarzy. Na obliczu małżonka odbijało się ogromne znużenie i widać było, że skłonny jest poddawać **się** kaprysom żony i jest pod jej pantoflem.

— Ta dama z piękną egretą? Rzeczywiście, bardzo przystojna. Ciekaw jestem, kogo zauważyła na sali, czy jej nabrały dziwnego błysku, jeżeli chcesz, możesz ją zobaczyć w lustrze — odpowiedział Denzil.

Ale nic nie uszło uwagi Weriszczenki, który pochylił się naprzód, chcąc dostrzec tego, na kim spoczął wzrok pani Boleskiej. Nikt jednak nie wyróżniał się niczym w małej grupce, złożonej z różnych narodowości. Niemcy, Austriacy, Bułgarzy i Rosjanie przesuwali się pomiędzy Francuzami i Amerykanami. Jedyna droga, jaka pozostawała, to obserwować dalej Hariettę, ale mimo to przez cały obiad żadne mrugnięcie jej oczu nie dało mu nic do myślenia.

Denzil był zainteresowany; czuł, że coś się dzieje i czekał, aby jego przyjaciel pierwszy przemówił.

Weriszczenko milczał dłuższą chwilę, a potem mimochodem skreślił charakter i pozycję pani Boleskiej i jej męża. Wyrażał się bardziej śmiało, ale zasadniczo mówił to samo, co do Amarylis w rosyjskiej ambasadzie poprzedniego wieczoru.

Ton miał żartobliwy, ale jego zielonkawe oczy patrzyły chytrze.

— Przyglądnij się jej dobrze, Denzilu, to jest demoniczna kobieta,

która może **się** stać powodem czyjegoś nieszczęścia. Jej szalona głupota i ptasi mózg sprawiają, że trudniej nią pokierować aniżeli najmądrzejszym dyplomata. Nigdy nie wiadomo czy zrozumienie, które okazuje, jest prawdziwe czy udane. Jest świetną aktorką, ale bardzo często zupełnie naturalną. Wiele kobiet pozuje stale albo wcale nie. Harietta posługuje **się** aktorstwem tylko w samoobronie lub dla osobistego zysku i jest ono tak udoskonalone, że wprawia nawet mnie, który nie należę do naiwnych, w zakłopotanie — nie wiem sam czy kłamie, czy też mówi prawdę.

— Co za niezwykły charakter! — Denzil był zdumiony.

— Zanik wszelkiego moralnego poczucia jest jej wielką siłą — ciągnął Weriszczenko, obserwując ją ukradkiem — ona nie ma żadnych skrupułów sumienia, które nawet najwięksi łajdacy czasami odczuwają i wobec tego nie istnieją u niej żadne niepewności. Gdyby nie jej kapryśne upodobanie do biżuterii, nie można by z nią nigdy dojść do ładu. Pani Boleska posiada informacje, nie wiem jeszcze z jakiego uzyskane źródła, które są dla mnie bardzo ważne. Gdyby nie to, można by się nią cieszyć jako metresą i rozkoszować się studiowaniem jej natury.

— Czy ma kochanków?

— Miała wielu, obecnie odgrywa rolę wielkiej damy i wszystko jest w porządku. Jest zaś tak głupia, że gdyby nie instynkt samozachowawczy, który jest jej przewodnikiem, popełniałaby ciągle błędy. Ten instynkt sprawia, że kiedy ma kochanka, ukrywa go z przebiegłością lisa.

— Kto był jej pierwszym mężem?

— Niemiec nazywający się Von Wendel. Mówiono, że bił ją laską — naturalnie więc tego rodzaju typ, który jej odpowiadał. Poznałem ją dopiero wtedy, gdy go rzuciła i on zniknął z horyzontu. Poświęciłaby każdego, kto by stał jej na drodze.

— Twój przyjaciel, obecny jej małżonek, robi wrażenie, jak gdyby był zupełnie zrezygnowany — żal mi człowieka. Jak zwykle przy każdej wzmiance o porażce Stanisława, oczy Weriszczenki dziko zabłyszczały. Ona zgmiotła nadzieje Polski — za to będzie musiała kiedyś zapłacić.

— Sądziłem jednak, że wy, Rosjanie, nie bardzo kochacie Polaków?

— zauważył Denzil.

— Oświeceni Rosjanie umieją się wyzbyć przesądów i uprzedzeń, a Stanisław był moim przyjacielem. Pewnego dnia nowa **jutrzenka** zaświta dla północnego świata.

Wzrok Stefana stał się na chwilę marzący, po czym znowu **zaczął** śledzić Hariettę. Denzil patrzył na Rosjanina i przez chwilę **nic nie** mówił. Zawsze w Oxfordzie Stefan go fascynował, aż został wskutek jakiegoś szalonego kaprysu wydalony i więcej nie wrócił. Weriszczenko był taką dziwną mieszaniną idealizmu i brutalnego zdrowego rozsądku, umysł miał giętki i gorące serce szlachetnego dziecka, zdolnego do każdego szaleństwa i każdego poświęcenia. Wspólnie projektowali wielkie czyny w późniejszym życiu, zanim jeden wstąpił do wojska i nauczył się dyscypliny, a drugi wędrował po różnych krajach. I kiedy siedzieli w Cafe de Paris, myśli obydwóch wróciły do dawnych lat.

— To były wspaniałe czasy, Denzilu, prawda? — rzekł wkrótce Weriszczenko, subtelnie wyczuwając myśli swego przyjaciela. — Chcieliśmy podbić słońce, księżyc i gwiazdy. Kto wie, może to jeszcze kiedyś zrobimy!

— Kto wie? Mam uczucie, że moje prawdziwe życie dopiero **się** zaczyna. W jakim wieku jesteście, Stefanie?

Dwadzieścia dziewięć lat, prawda?

Wychodząc, zatrzymali się obok Boleskich, którzy zagadnęli Weriszczenkę. Rosjanin przedstawił im kapitana Ardayre i przez parę minut gawędzili, a Harietta Boleska rzucała uśmiechy i pochlebstwa na prawo i lewo.

Po pożegnaniu, gdy Stefan mijał stoliki, mężczyzna ukryty za filarem pochylił się naprzód i spojrzał na niego, a w jego jasnoniebieskich oczach paliła się zazdrosna namiętność.

— Ach, dobry Boże — mruknął do siebie. Ona kochała jego, a nie tego głupca, którego podsunęliśmy jej. Pewnego dnia zamorduję go.

— Podniósł kieliszek z winem i szepnął — niech to licho! ⁴ Tego wieczora sir John Ardayre zawiózł swoją żonę do lasku

w Armenonville, słuchali cygańskiej muzyki, ale Amarylis odczuwała brak czegoś. Otoczenie sprzyjało nastrojowi, atmosfera przesiąknięta była podnieceniem, a mimo to John, paląc drogie cygaro, nic się nie

odzywał. Nie lubił paplaniny i milczenie mogłoby być rozkoszne, gdyby posiadało jakieś znaczenie. Ale ponure, martwe milczenie przy muzyce Cyganów na tle pięknej romantycznej nocy Paryża, która wymagała jakichś wzruszeń, było niemal bolesne dla młodej małżonki.

Wierzyła, że John ją kocha, bo nie poprosiłby przecież o rękę biednej dziewczyny, będąc tak bogaty. Przypomniła sobie ich poznanie nie dalej jak trzy miesiące temu.

Spotkali się na wsi we dworze i grali razem w golfa, a miesiąc później zetknęli się znowu gdzie indziej, ale właściwie nie pamiętała żadnych czułości; nie mogła sobie przypomnieć tych ciepłych spojrzeń i ukradkowych uścisków ręki, gdy okoliczności temu sprzyjały, o których Elsie Goldmore mówiła jej, że mężczyźni tak lubią je rozdawać, gdy są zakochani. Dostrzegła istotnie wzruszenie na twarzach dwóch lub trzech młodych ludzi, gdy wróciła ze szkoły w Dreźnie, dokąd ją wysłała ciotka. Nieraz na ulicy niemieccy oficerowie spoglądali na nią z zachwytem, tak samo trzej synowie pastora i dwaj synowie właściciela majątku, gdy bawiła na wsi w domu. Tom Ciarke posunął się nawet dalej! Pocałował ją w policzek, gdy wyszli raz wieczorem do ogrodu, za co otrzymał niezłą burę.

Czytała mnóstwo powieści starych i nowych. Wiedziała, że miłość jest cudowną rzeczą; wiedziała także, że dzisiejsze życie i jego wymagania stworzyły nowy, bardziej realny punkt zapatrywania od tego, który przebijał z książek. Nie oczekiwała wiele i nie poddawała się żadnym romantycznym złudom, które stwarzała wyobraźnia młodych dziewcząt. Ale oczekiwała czegoś, a tymczasem nie miała nic, po prostu nic!

W dniu, kiedy John poprosił o jej rękę, nie była zbyt wruszona. Uczynił to w krótki, prosty sposób i nie przyszło jej do głowy, aby mu odmówić. Uważała, że jej obowiązkiem jest wyjść za mąż, o ile trafi się jej dobra partia.

Była na paru balach w Londynie z ciotką, osobą powszechnie znaną i poważaną.

Ale zaproszenia nie wpływają do niezamożnej osoby, mieszkającej na wsi, ani młodzi ludzie nie upominają się w dzisiejszych czasach o młode nieznajome panny, Amarylis więc spędziła wiele upakarzających chwil, podpierając ściany i nabierając wstrętu do bali. Nie lubiła

wywnętrzać się i nie zawierała łatwo przyjaźni, więc chociaż była ładna, szczęście jej nie sprzyjało.

Gdy odpowiedziała „tak” równie trzeźwym głosem, jak usłyszała oświadczyzny, sir John odrzekł: „Jest pani kochana”, lecz ta uwaga nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. On pochylił się potem nad nią i ujmując jej rękę, złożył na niej pełen uszanowania pocałunek, dotknął także ustami jej czoła, ale nie wywołało to u niej także żadnego dreszczu.

— Mam nadzieję, że uczynię cię szczęśliwą — dodał. — Jestem nudziarzem, ale postaram się zmienić.

Rozmawiając następnie o różnych obojętnych rzeczach wrócili **do** domu, a przed wieczorem wszyscy dowiedzieli się o ich zaręczynach; gratulowano jej ze wszystkich stron i ostentacyjnie zostawiono ją samą po obiedzie z Johnem w małym saloniku. I to zdarzenie nie przyniosło **jej** żadnego podniecenia.

Zawsze jakiś cień błąkał się w niebieskich oczach sir Johna. Jaki **on** okropnie powściągliwy — myślała. — Co za sens być tak powściągliwym wobec kobiety, którą się kocha na tyle, że pragnie się ją uczynić swą żoną.

Wielokroć zadawała sobie to pytanie i postanowiła przełamać lody tej nieznośnej obojętności narzeczonego. Ale John nie zmienił się; nadal był uważający i uprzejmy, bardzo delikatny, lecz zimny. Ze wszystkimi rozmawiał rozsądnie i spokojnie i rzadko kiedy dostrzec można było w jego wzroku jakieś zainteresowanie. Jedynie gdy mówił o Ardayre, Amarylis widziała u niego budzący się zapał. Jego głos ulegał wtedy zmianie.

Często w czasie ich narzeczeństwa opowiadał jej o rodzinnym majątku i przekonała się, że dla niego jest to rzecz święta i że rodzina, jej honor i tradycja mają dla Johna większe znaczenie niż dla przeciętnego śmiertelnika.

Zaczęła być niemal zazdrosna o to wszystko.

Wyprawa Amarylis była bardzo ładna, ciotka wszystkim się zajęła.

Dziewczyna triumfowała, idąc wzdłuż nawy kościoła Św. Jerzego przy Hanover Square, wsparta na ramieniu swego wuja marynarza.

Cała rodzina była ogromnie zadowolona z jej wyboru. Panna Ardayre wychodziła za mąż za Ardayre'a. Dobra więc krew z obydwóch stron, a przy tym fortuna i bogactwo.

Oto stał jej przystojny narzeczony, niesłuchanie spokojny. Były w świątyni białe kwiaty i biskup, podobał jej się srebrny, brokatowy tren, cieszyli ją paziowie i drużki. Tak, ślub jest bardzo miłą rzeczą! I gdyby mogła przeniknąć myśli Johna Ardayre'a, byłaby usłyszała ową modlitwę, którą szeptał klęcząc przed balaskami. „O Boże, oddal ode mnie **to** cierpienie, daj mi syna”.

Ogarnęło ją wzruszenie, gdy wsiedli do eleganckiego auta i udali się w drogę na wieś, do domu wynajętego na pierwsze ich poślubne dni przez wuja pana młodego, hrabiego de la Paule.

Willa ta położona była nad rzeką, dwie godziny jazdy od mieszkania jej ciotki przy Charles Street. Teraz, gdy jest jego żoną, John okaże się z pewnością bardziej dla niej czułym, będą pocałunki i uściski. Elsie Goldmore w ostatnich dniach o niej jednym jej mówiła, a w każdym razie Amarylis nie należała do panien z epoki wiktoriańskiej.

Współczesny świat kobiet stał się mniej subtelny w wyrażaniu swych prywatnych spraw i zanadto niedyskretny, aby dziewczyna mogła być jeszcze nieświadomiona.

Prawda, John pocałował ją raz czy dwa, ale w pocałunku tym nie było prawdziwego ciepła i kiedy po doskonałym obiedzie serce jej zaczęło bić w podnieceniu i zdziwieniu, pytała siebie, co to znaczy? Polem zmieszana wyszeptała „dobranoc” i udała się do swego wspaniałego apartamentu sama.

Gdy John Ardayre został sam, wypił szklaneczkę benedyktyнки i poszedł za żoną, nie odczuwając jednak zachwyty kochanka i jedynie ból, niemal rozpacz, odbijały się w jego oczach.

Amarylis myślała o tej nocy i o następnych, siedząc teraz w Ar-menonville w oświetlonym mroku.

Więc to jest małżeństwo! Nie przynosi ono wiele radości i dlaczego John siedzi tak milczący? Dlaczego?

Z pewnością Rosjanin tak by się nie zachowywał. Ten dziwny Rosjanin!

* * *

W ogrodzie leżącym poniżej Trocadero, słońce zaczęło zachodzić. W ukrytym zakątku wśród drzew, opodal byka z brązu, czekał

niecierpliwie wysoki, niemiecki oficer. Wprawdzie odziany **był w angielski** garnitur, ale od razu poznać było, że to wojskowy. **Miał sportową** sylwetkę i był bardzo przystojny.

Zaszeleściły niskie krzewy, po czym w cudownym oświetleniu **słońca** zbliżyła się do niego kobieta. Na sobie miała zwyczajny płaszcz, a **gęsty** welon zakrywał jej twarz.

— Hans! — Zawołała i płynnie po niemiecku, z wybitnym amerykańskim akcentem, zaczęła mu coś opowiadać.

On rozejrzał się wokoło, aby się upewnić, że są sami, po czym chwycił ją w ramiona. Przyciskał ją tak mocno, że zabrakło jej oddechu i całował zapamiętałe jej usta, szepcząc gardłowym głosem czułości, które podobne były do pomruku zwierzęcia.

Kobieta odpowiadała mu w podobny sposób. Robili wrażenie dwóch brutalnych bestii.

Wkrótce usiedli oboje na ławce i zaczęli rozmawiać przyciszonym tonem. Kobieta zaprzeczała i przemawiała.

Mężczyzna gestykułował i pytał, jakaś koperta przeszła z rąk do rąk, potem znowu nastąpiły czułości i zanim się rozstali, on ponownie zamknął ją w swym uścisku i ugryzł w ucho tak, że wydała okrzyk bólu.

— Tak, gdyby był czas — szepnęła — kochałabym cię, jak teraz, ale tutaj, w ogrodzie... Uważaj mój kapelusz!

Gdy puścił ją, umówili się na następny raz, po czym mężczyzna, pozostawiony w samotności, usiadł znowu na ławce i zaśmiał się głośno.

Kobieta pobiegła ścieżką, wskoczyła do czekającego tam auta i wyciągnęła złotą puderniczkę i kredkę do ust.

— Mój Boże! Nie będę mogła powiedzieć, że to moskit ukąsił mnie w ucho. — I spojrzała do lusterka. — Jak to nieostrożnie ze strony Hansa! Ale trudno. Gdyby tylko był czas...

Potem ona także roześmiała się, pudrując swą twarz i gdy wyszła z samochodu przed hotelem du Rhin, nie było już na niej znać żadnych śladów konfliktu prócz małej ranki na uchu.

Pani Boleska, czekając na pokojową, wzięła swego małego pinczera na ręce i biła go niemiłosiernie.

— Zobacz, Mario, zaraz mu wydłubię oczy!

— Ach, nie! — Odpowiedziała przerażona Maria, która przepadała za Fou-Chou. — Niech pani nie robi krzywdy temu maleństwu!

Kiedy Harietta w przejrzystym szlafroku weszła do gabinetu męża, **Stanisław** Boleski zajęty był odczytywaniem jakichś papierów. Państwo **Bolescy** zajmowali pałacowy apartament w hotelu. Sprawy Polski nie **rozwiły się** tak pomyślnie, jak się spodziewał i dokumenty te wymagały **jego** najwyższej uwagi, bo jakaś niemiecka intryga zapuszczała swe sieci. **Tęsknił** za zrozumieniem i współczuciem Harietty, która darzyła go nimi **tak** hojnie, zanim postarała się o rozwód z tym brutalnym Niemcem. Obecnie zaś ledwie słuchała męża, ziewając przez cały czas, gdy mówił

O Polsce i jej celach. Lecz on powinien być pobłażliwy dla niej, to takie impulsywne dziecko, a takie piękne i czarujące. Tutaj zaś w Paryżu, gdzie jest tak podziwiana i uwielbiana, jakże się można dziwić jej roztargnieniu!

— Stasiu! Mój stary Stasiu — szeptała mu do ucha — co mam włożyć dzisiaj na bal do Monterrich! Chcesz z pewnością, abym wyglądała jak najlepiej, wiem o tym i przede wszystkim pragnę się podobać tobie.

Od razu skupił całą swoją uwagę na słowach żony, odsuwając na bok dokumenty. Harietta, obejmując go za szyję, gładziła mu brodę

I całowała w łysinę, zatapiając wzrok w papierach.

— Nie będziesz się już dręczył tymi nudnymi, starymi rzeczami. Idź, ubierz się w piżamę i przyjdź do mego pokoju, pogawędzimy sobie, a ja będę polerowała paznokcie, mamy jeszcze z pół godziny czasu. Zaczekam na ciebie tutaj. Pragnę dziś pieszczot. Jestem zmęczona i zła.

Stanisław Boleski wstał żwawo. Od wielu dni była już dla niego niedobra, dokuczliwa i kapryśna. Nie może więc pominąć tej okazji. Gdyby tylko nie był właśnie tak zajęty, ale...

— No prędko, przebieraj się — rozkazała, tupiąc nogą.

Ukrył więc papiery w szufladzie z werthajmowskim zamkiem i wyszedł uradowany z pokoju.

Wyraz twarzy Harietty zmienił się nagle, zapaliła papierosa i nucąc jakąś melodię, odpięła maleńki kluczyk, który wisiał przy jej bransoletce.

Nikt nie przyćmił pani Boleskiej w tym wytwornym tłumie. Srebrna **brokatowa** suknia i jedna czerwona róża, przypięta przy dekolcie, były **po prostu** doskonałością. Nie nosiła rękawiczek i na swych starannie

wypielegnowanych palcach nie miała żadnych pierścionków **prócz** wspaniałego rubina na małym palcu u lewej ręki. Jej kaprysem **było nie** nosić żadnych kajdan. Obrączki! — Rzekła do Stanisława. — Niedorzeczność! Szykiem jest włożyć jakiś piękny pierścień raz na jeden **palec**, raz na drugi, ale związać się tą złotą obrączką — nigdy! Stanisław argumentował niegdyś, rzadko kiedy teraz.

— Moja ukochana—zawołał, gdy stanęła przed nim, jak wspaniałe zjawisko, gotowa do odjazdu na bal — pozwól, niech cię podziwiam!

Odwróciła się do niego, a mąż w uniesieniu całował jej rękę. **Wtem** spostrzegł rubinowy klejnot.

— Nie widziałem tego pierścionka przedtem. — Rzekł zdumiony — a zdawało mi się, że znam całą twoją biżuterię. Wyciągnęła rękę, podczas gdy jej duże, bezmyślne, piwne oczy wyrażały dziecinną niewinność.

— Trzymałam go osobno, należy do tamtych czasów, ale lubię rubiny, włożyłam go więc dziś, bo harmonizuje z moją różą.

Stanisław zauważył to już sam, bo wyrobił się w subtelnościach kobiecego stroju. Często było jego obowiązkiem, a czasami przyjemnością, asystować przy ubieraniu żony i godzinami przysłuchiwać się dyskusjom na temat toalet. Przywykł nawet wyczekiwać w eleganckich salonach przy Rue de la Paix, gdzie Harietta przymierzała wspaniałe suknie i kapelusze.

Ale rubinowy pierścionek zaniepokoił go. Czemu prosiła go właśnie

o taki zeszłego miesiąca, skoro podobny już posiadała? Zrazu odmówił, bo jej ekstrawagancje zaczynały być fantastyczne, zamierzał jednak później ustąpić. Każde zadowolenie zmysłów musiał zawsze okupić.

— Nie rozumiem dlaczego? — Zaczął, ale ona położyła mu dłoń na ustach, po czym pocałowała go namiętnie i odwracając się wezwała pokojową, aby podała jej gronostajowy płaszcz.

Wzrok służącej wyrażał niechęć; Maria nie zapomniała bicia, które otrzymał Fou-Chou. — Co do ucha madame — rzekła, tuląc pieska do siebie i spoglądając na swą panią, zdążającą do windy — co do tego przekłętą ucha, twoje ząbki są niewinne, mój aniołku! Ale żałuję, że ten, który jest winny, nie odgryzł go zupełnie! — Zaśmiała się pogardliwie. — I popatrz na starego idiotę! Nie domyśla się niczego! Ale i tak nie uwierzyłby, bo mężczyźni to z reguły naiwni głupcy.

Tymczasem państwo Bolescy przybyli do pałacu księżnej di Montevi, owej bogatej, czarującej Amerykanki-Włoszki, która wydawała wspaniałe przyjęcia w Paryżu. Przybyli tam także sir John i lady Ardayre, przywiezieni przez Weriszczkę z obiadu u Ritza.

Denzil wyjechał dziś rano do Anglii, nie spotkał się więc ze swoim rzekomym kuzynem, któremu przypisał epitet „ropucha”. Ferdynand Ardayre bowiem właśnie przybył z Konstantynopola do wesołego miasta i przyszedł także na bal ze swoim przyjacielem z tureckiej ambasady.

Stał właśnie przy drzwiach, gdy oznajmiono przybycie państwa Boleskich i jego jasne oczy zatopiły się w Harietcie. Wydawała mu się ideałem kobiecości i natychmiast postąpił naprzód, aby zostać jej przedstawiony. Pewność siebie była zresztą jedną z jego silnych kart. Był pięknym mężczyzną o wschodniej urodzie, ale też coś niepokojącego i wulgarnego było w jego twarzy. W typowo angielskim salonie wyróżniałby się na pewno, ale w tym kosmopolitycznym towarzystwie nie zwracał sobą uwagi. Był bożyszczem swej matki i sir James zostawił mu wszystkie pieniądze, które mógł wydobyć ze swego zadłużonego majątku. Ferdynanda pociągał jednak kontynent. Tamtejsze życie bardziej mu odpowiadało i oddał się karierze handlowej, która go zawiodła na Wschód do Konstantynopola. W tym okresie miał około dwudziestu siedmiu lat i uważany był przez wiele kobiet i siebie samego za stworzenie o wyjątkowym uroku.

W duszy dręczyła go tylko jedna rzecz, a mianowicie świadomość, że sir John Ardayre nie uznał go nigdy za brata. Za życia sir Jamesa w tej sprawie panowało milczenie, bo John nie miał prawnych powodów, aby zaprzeczać pokrewieństwu, ale z chwilą, gdy został panem w Ardayre dał do poznania, że nie wierzy temu, iż Ferdynand jest synem jego ojca. Przy rzadkich okazjach, kiedy o nim wspomniano, John nazywał go „mieszkańcem” i Ferdynand o tym wiedział. Milcząca, intensywna nienawiść wyzwalala w nim chęć zemsty a nie mając możliwości ujścia, wypełniała całą jego duszę. I matka i syn chętnie zgładziliby Johna ze świata, gdyby się nadarzyła ku temu bezpieczna sposobność. A teraz świadomość, że John ożenił się ze śliczną daleką kuzynką i może mieć dzieci, a tym samym na zawsze zamknął mu drogę do dziedzictwa Ardayre, była dalszym powodem do palącej nienawiści. Gdyby mógł

w jakiś sposób usunąć Johna i to niebawem! Ferdynand myślał o tym wszystkim, obserwując swego rzekomego brata i czuł, że jest bezsilny. Trucizny i sztylety nie należą do broni, których można użyć w cywilizowanym Paryżu w dwudziestym wieku. Co innego, gdyby jego przeciwnicy zawitali do Konstantynopola.

Amarylis tymczasem pierwszy raz widziała paryski bal. Była nim zachwycona. Wystawne, przestrzenne pokoje ze złożonymi boazeriami w stylu Ludwika XV, cudowne toalety kobiet i unosząca się w powietrzu wesołość napawały ją radością. Przyzwyczajoną była do nowych tańców w Anglii, ale tak świetnego wykonania jak tu, w jej ojczyźnie się nie spotykało.

— Ten tłum szalonych ludzi, to nadzwyczajny widok — rzekł Weriszczenko, stojący obok niej. Paryż stracił dobry smak i poczucie estetyki. Niech pani spojrzy, kobiety najbardziej wyszkolone w kręceniu się to te, które przekroczyły czterdziestkę. Widzi pani tę w obcisłej, różowej sukni? Ona jest babką. Wszystkie są umalowane, bo chcą być młode! Zawsze się tak dzieje, gdy jakiś kraj znajduje się w przededniu kataklizmu, to nazywa się „danse macabre”.

Amarylis odwróciła się i zdziwiona spojrzała na Rosjanina, a wtedy zobaczyła, że jego oczy są melancholijne, pozbawione drwiącego wyrazu, jaki się zwykle czaił w jego wzroku.

— „Danse macabre”! Więc Pan nie uznaje tych wszystkich nowych tańców?

Wzruszył lekko ramionami, co było jedyną formą gestykulacji.

— Tanga i one-stepy są mi zupełnie obojętne. Taniec powinien mieć swoje znaczenie, jak to było w Grecji. Obecne tańce dla Greków oznaczałyby tylko jedno. Nie wiem, czy zgodziliby się na publiczne ich wykonanie; byli estetycznym, subtelnym narodem, sądzę więc, że nie. Jedynie nam, Rosjanom, nie całkiem ucywilizowanym, a w gruncie jeszcze brutalnym, tego rodzaju orgie uchodzą, bo są dla nas naturalnym objawem naszej pierwotności, ale dla Francuzów i Anglików te dzikie pląsy są naleciałością, dowodem upadku tych narodów, początkiem ich końca.

— Nauczyłam się tanga tej wiosny, ogromnie lubię tańczyć — tłumaczyła Amarylis, bo czuła się trochę nieswojo. Wprawdzie zapatrywania Rosjanina bardzo ją zajmowały, ale dysputa na tak drażliwy temat przyszlaby jej z trudnością.

— Wierzę w to, liczyła pani kroki, poruszała swą wdzięczną postacią i nie myślała pani o niczym innym jak tylko o tym, aby trzymać się kroku i dobrze tańczyć. Prawda? Czy mam rację?

Amarylis zaśmiała się, miał słuszość.

— Jakież to wstyd to wszystko! — Ciągnął dalej. — Taniec murzyński czy meksykański, służący do tego, co wyraża, transportowany tutaj i wykonywany przez szanowne matki, żony i dziewczęta! Dla mnie kobieta traci cały urok, gdy obniża swą cenę na wielką tajemnicę obrzędu miłosnego.

— Nie będzie więc pan tańczył ze mną? — Amarylis wyzywała go z uśmiechem, nie chciała mu dać do poznania, że jest upokorzona. — Tak, chcę tańczyć!

Wzrok Weriszczenki nabrał dzikiego wyrazu.

— Proszę, niech pani nie tańczy. Pragnę zatrzymać pani obraz taki, jaki sobie stworzyłem od pierwszej chwili.

Później sam zatańczę z odpowiednią partnerką, ale nie chcę, aby pani mieszała się z tą brudną zgrają.

Amarylis odpowiedziała z godnością.

— Gdyby moje zapatrywania były takie jak pańskie, nie tańczyłabym wcale — była zasmucona, że jej życzenie obniżyło ją w oczach Rosjanina — i strząsnął pan cały kwiat z moich motylkowych skrzydeł. Nigdy już nie będzie mnie cieszył taniec. Chodźmy wobec tego gdzieś usiąść.

Podał jej ramię, a wychodząc z sali, natknęli się na panią Boleską, tańczącą z Ferdynandem Ardayre.

— Oto pańska znajoma, pani Boleska. Doskonale tańczy — rzekła Amarylis.

— Harietta jest pierwotna, jak już pani przedtem powiedziałem. Naturalnie więc, że wypowiada się w ten sposób i doskonale zdaje sobie sprawę, że grają u niej zmysły. Rozkoszuje się wrażeniami, ale proszę popatrzeć na tę siwowłosą panią. To markiza de Saint Veilliere z najbłękitniejszej francuskiej krwi, ciesząca się wielkim szacunkiem. Zeszłego tygodnia wydała już drugą córkę za mąż. Wszyscy tu od wczesnego rana do wieczora spędzają czas na lekcjach tanga. Matki i córki, babki i panie z półświatka. Austriackie arystokratki kręcą się w ramionach szumowin z Argentyny, najrozmaitszych wyrzutków

i blagierów z Nowego Jorku, jednym słowem osobników, których nie przyjęłyby dawniej w swoich przedpokojach.

— I pan mówi, że to jest „danse macabre”? Proszę mi powiedzieć, co pan ma na myśli

Dotarli tymczasem do wygodnej sofy w salonie przeznaczonym na bridża. W tej chwili pokój był prawie pusty, bo wszyscy byli tak zapaleni do tańca, że porzucili nawet tę ulubioną grę.

— Gdy naród traci poczucie równowagi i zapomina o tradycji swej historii, gdy masy cywilizowanych osobników ulegną temu obłędowi tańca, małpowania i rozprężenia moralnego, jest to zapowiedzią jakiegoś wielkiego osłabienia, jakiejś katastrofy. Tak było przed rewolucją 1793 roku, a skoro to dotknęło teraz Anglię i Amerykę i całą Europę, kataklizm widocznie będzie wielki.

Amarylis drgnęła. — Pan mnie straszy — szepnęła. Myśli pan o wojnie, czy o jakimś trzęsieniu ziemi, a może o zarazie?

— Wypadki pokażą. Ale mówmy o czymś innym. Kuzyn pani męża, mój dobry przyjaciel był wczoraj w Paryżu. Dziś odjechał do Anglii. Zdaje mi się, że pani jeszcze nie zna Denzila Ardayre?

— Nie, ale znam go z opowiadania. Gra w polo i przebywa w Zingare.

— Robi jeszcze inne rzeczy, a dokona czegoś więcej. Ciekaw jestem, co pani o nim sądzi. Dla mnie jest on typem ideału Anglika. Razem byliśmy w Oxfordzie. Wspólnie marzyliśmy wtedy i może z czasem niektóre nasze marzenia się spełnią. Denzil jest pięknym Anglikiem, ale nie głupcem.

W umyśle Amarylis jak gdyby nagle rozświeciło się; przekonała się, jak ograniczone dotąd były jej myśli i zapatrywania o życiu. Dała się nieść prądowi, nie zastanawiając się nad celem, do którego dąży. I nawet teraz, czy ma jakiś określony cel? Spojrzała na wyrazistą, szorstką twarz Rosjanina, na jego wąskie, przenikliwe oczy, spoglądające w dal. O czym myślał? To pewne, że nie o głupich, banalnych rzeczach.

— Już drugi raz wśród zupełnie oryginalnego otoczenia każe mi pan zastanowić się nad tematami, które mnie nic przedtem nie obchodziły. A potem zostawia mnie pan niezaspokojoną. Chcę jasno wszystko wiedzieć.

— Poszukuje pani mądrości — rzekł z uśmiechem. — Jeden

drugiego niestety nie może wiele nauczyć. Oświecenie musi przyjść z wewnątrz. Osiągamy dopiero wtedy wyższy stopień, gdy dochodzimy do świadomości, że jesteśmy jednostkami w szerokim planie, odpowiedzialnymi za jego wykonanie, a nie uważamy się tylko za fruujące atomy kierowane przypadkiem. Mnóstwo ludzi posiada mózgi polnych koników, przelatują oni z tematu na temat, nie opanowując swych myśli. Ich myśli nimi rządzą, a nie oni myślami.

Siedzieli wygodnie na sofie, a Weriszczenko, pochylając się naprzód, spojrział prosto w oczy Amarylis.

— Czy pan kieruje swymi myślami? — Zapytała. — Czy pan rzeczywiście myśli tylko o tym, o czym chce?

— Rzadko kiedy wymykają się one spod mej władzy, ale czasem świadomie im folguję.

— Na przykład kiedy?

— W marzeniach, zjawiskach, które nie powinny się materializować.

Coś zaniepokoiło ją w jego spojrzeniu, pełnym magnetycznego prądu. Amarylis zdawała sobie sprawę, że nie czuje się już zupełnie spokojna, pragnęła wiedzieć, jakiego rodzaju są te jego marzenia.

— Tak, ale gdybym wyznał je pani, kazałabyś mi odejść. — Widocznie wyczytał w jej oczach ciekawość. —

Wkrótce sam rozkażę sobie odejść, bo zainteresowanie się panią przeszkodziłoby mi w pracy, którą mam wykonać.

— A pana marzenia? Proszę mi o nich opowiedzieć. — Wiedziała, że igra z ogniem.

On spuścił oczy w dół, a ona odczuła, że nie zaspokoi jej ciekawości.

— Najszlachetniejszym moim marzeniem jest odrodzenie mego narodu, na tym skupiłem swe myśli. Co do innych snów czas jeszcze nie nadszedł, aby o nich pani mówić, może i nigdy nie przyjdzie. Proszę mi teraz powiedzieć, czy już widziała pani swoje nowe gniazdo, Ardayre?

— Nie, ale czemu to pana interesuje? Wydaje mi się to dziwne, że pan, jako Rosjanin, wie o istnieniu takiej miejscowości jak Ardayre.

— Wiem nawet, że to śliczny majątek i że pani mąż kocha go ponad życie.

Amarylis nadała się lekko.

— Tak, rzeczywiście. Może i ja poznawszy to rodzinne gniazdo, pokocham je. Sir James, mój śp. teść, był wyjątkiem w tej regule.

— Będzie więc pani musiała zostać wierna ideałom Ardayrów i dokonać pięknych czynów.

— Postaram się, gdyby tylko... — przerwała, nie mogła **przecież** powiedzieć: „gdyby tylko John był ludzki i nie tak zimny dla **mnie** i kochał mnie, i gdybyśmy mogli iść wzdłuż drogi życia ręką w **rękę**”.

— Bezcelowe jest przedłużanie jedynie rodu z generacji na **generację**, gromadząc dobra i ścieśniając jego zainteresowania. Z początku trzeba to robić, aby się umocnić, ale później powinno się mieć **szerszy** pogląd i trzeba zacząć pomagać drugim. Wszystko niemal jest popsute w naszej cywilizacji z powodu braku umiejętności patrzenia dalej, jak **na** koniec nosa.

— Ludzie bredzą różnie — rzekła Amarylis — o obowiązku, o szerszych poglądach i innych rzeczach, ale tak trudno otrzymać **od** kogoś jakąś konkretną odpowiedź. Co by na przykład pan poradził **mi** robić?

— Skoro puszka Pandory została dla pani otwarta, poradziłbym pani pytać się przede wszystkim codziennie samej siebie o powód wszystkiego. Co spowodowało to? Co tamto? Naprzód szukać trzeba przyczyn, a potem wyrwać od razu złe korzenie, nie tracąc czasu na ulepszenie wyników. Zrozumieć należy, dlaczego człowiek znajduje **się** w tej sytuacji lub na tym miejscu, a potem dopiero wypełnić obowiązek związany z tym stanowiskiem.

Amarylis wstała i patrzyła na towarzysza, a serce jej biło gwałtownie. — Gdy zacznę się wspinać po prostej drodze udoskonalenia duszy, czy będzie mi pan służył radą w razie, gdy będę jej potrzebowała?

— Tak, uczynię to, gdy osiągnę nad sobą zupełne panowanie, ale w tej chwili jest pani dla mnie powodem różnych wzruszeń, a pragnę panią zatrzymać zupełnie oddzielnie dla ducha. Człowiek może jednak prowadzić drugich tylko wtedy, gdy zostaje człowiekiem z ludzkimi namiętnościami, które musi zwalczać, nie powinien się jednak nigdy splamić złym czynem. Chodźmy! Proszę wrócić do męża, a ja na chwilę wstąpię do piekła.

Wkrótce Amarylis, stojąc bezpiecznie u boku Johna, widziała Weriszczenkę, tańczącego szalonego one-stepa z panią Boleską.

Następnego dnia, po ogromnej radości, jaką spowodowało przybycie Amarylis do Ardayre, oczekiwała ona męża we wspólnym, cedrowym pokoju, który łączył się z jej sypialnią.

Postanowiła, że tam zjedzą śniadanie, bo nikt nie przeszkodzi im w czułościach. Włożyła najbardziej twarzowy czepek i wytworny szlafroczek paryski, a jasna jej skóra przezieriała przez przejrzyste okrycie.

Jakże pragnęła, aby John to spostrzegł i popieścił ją. W Paryżu widziała mnóstwo rozkosznych możliwości, z których żadna niestety nie przypadła jej w udziale!

John był taki sam, jak zawsze; spokojny, pełen godności, uprzejmy i niewzruszony. Aby ukryć rozczarowanie i smutek, które, zdawało się jej, mąż wyczyta w jej oczach, zgasiła światło przed jego przybyciem do sypialni. Byłoby to dla niej upokarzające, gdyby on spostrzegł jej przygnębienie. Wkrótce nie przyjdzie jej uczynić nic innego, jak tylko udawać taki sam chłód i obojętność, jeżeli i ten ostatni wysiłek z jej strony pozostawi go nieczułym, jak dotąd. Poglądziła na sobie ręką miękką draperię, po czym wstała i stanęła przed lustrem. Na szczęście śnieżna jej skóra i brzoskwiniowe policzki nie wymagały sztuki, wszystko było u niej naturalne i harmonijne.

Ale co miało znaczyć to, o czym czytała w zajmujących francuskich powieściach w Paryżu, omdlenia i znużenia i drżenia przy śniadaniach poślubnych... Taka scena była w jednej książce, którą pochłaniała na okręcie. Śniadanie kochanków, którzy nie byli małżeństwem, niesłychanie podnieciło jej wyobraźnię. Marzyła o tym, żeby przeżyć coś podobnego. Jakże pragnęła bliskości Johna, jego dotknięć, czułych słówek...

Czy Elsie Goldmore spędzała także nudne śniadania, gdy poślubiła Henryka Kahna? Elsie Goldmore była Żydówką, to może stanowi różnicę, może Żydzi są bardziej wylewni i otwarci. Ale bohaterowie powieści nie byli Żydami lecz Francuzami! To dlatego. Czy to możliwe, **aby** wszyscy Anglicy byli wobec swoich żon tacy, jak John? Musi to **zbadać**.

Tymczasem postara się, usilnie postara przyciągnąć go, aby był dla niej miły. Jest jej mężem, nie będzie więc w tym nic zdrożnego. A jak miło będzie rozkochać go! Tu w tym pięknym, staroświeckim zamku! John

przy tym jest tak przystojny i taki ma głęboki głos, tylko ta okropna trzeźwość, występująca u niego przy każdej okazji. Jak długo to wszystko potrwa? Ubrany był bez zarzutu w granatowy garnitur. Amarylis **spodziewała** się, że zobaczy go we wspaniałej piżamie, na którą **go namówiła** u Charvet'a w pierwszych dniach po ślubie. Negliż wytwarza **atmosferę** bardziej przytulną i poufną, a ten garnitur i do tego Times! Jakiś cień padł na jej białe czoło. Jej różowy szlafrok wydał się nie **na** miejscu. John spojrzął na niego i na piękną, młodą kobietą, którą okrywał. Widział buntownicze, czerwone usteczka, ciepło i dobroć w szarych oczach i odwrócił się szybko w stronę okna, martwym wzrokiem spoglądając przez szybę. Ręka, która trzymała dziennik, skurczyła się.

— Czy ładnie mi w tym? — Szepnęła Amarylis, starając się stłumić rozczarowanie, którego doznała na wstępie. — Najdroższy, chowałam ten strój na rano po naszym powrocie do domu i dla ciebie! Przyniosła się do męża i przytknęła policzek do jego twarzy. Otoczył ją ramieniem i pocałował z całym spokojem.

— Wyglądasz prześlicznie, kochanie — rzekł. — Ale zawsze jesteś urocza i gałganki twoje są doskonałością. Trzeba teraz zjeść śniadanie, bo już bardzo późno. Usiadła na swoim miejscu i poczuła głupie łzy cisnące się jej do oczu. Nalała sobie herbaty i posmarowała grzanek, podczas gdy John zajęty był pozornie przy bocznym stoliku, na którym stały gorące potrawy. Wybrał dla niej najlepszy kawałek ryby i podał jej talerz.

— Nie jestem głodna — rzekła — jedz sam. Nie nalegał i zajął także swoje miejsce przy stole, po czym spokojnie rozmawiał o obojętnych rzeczach. Od czasu do czasu rzucał okiem na gazetę lub sięgał po potrawy. Amarylis opanowała się. Była za dumna i za sprawiedliwa, aby robić idiotyczną scenę. Jeżeli taka jest metoda Johna i jej kokieteria odnosiła porażkę, musi się z tym pogodzić. Małżeństwo jest loterią, zawsze tak słyszała, widocznie więc jej traf, że wyciągnęła **pusty** los. Stłumiła wzruszenie i odpowiedziała pogodnie, okazując zainteresowanie dla uwag męża; udało jej się nawet opanować na tyle, że zjadła

omlet i gdy śniadanie się skończyło, podeszła do okna, a John podążył za nią.

Widok, który przedstawił się ich oczom, był wspaniały.

Za rozległym ogrodem ze ślicznymi, strzyżonymi cisami i mnóstwem wiosennego kwiecia, na aksamitnych trawnikach ciągnął się olbrzymi park, pełen wspaniałych dębów i skubiącej liście zwierzyny. Z posiadania tego cudu każdy czułby się dumny.

John otoczył ramieniem szczupłą kibić żony i przyciągnął ją do siebie.

— Amarylis — rzekł drżącym głosem — dzisiaj pokażę ci wszystko to, co tutaj w Ardayre kocham, bo chcę, abys i ty to pokochała. Należysz do rodziny i dla ciebie ta ziemia musi być bliska i droga.

W Amarylis obudziła się nowa nadzieja.

— Z pewnością, Johnie, wszystko stanie się cenne dla mego serca. Pocałował ją w czoło i prosił, aby się prędko ubrała, a on zaczeka na

nią w cedrowym pokoju. Gdy powróciła za kwadrans w sportowej, zgrabnej sukience, wziął ją pod rękę i poprowadził na dół po szerokich schodach, a potem przez hall do galerii obrazów.

Była to wspaniała sala z bogatymi lamperiami, w której ściany obwieszane były wartościowymi płótnami, portretami tych Ardayre'ów, którzy przenieśli się do wieczności. Wszystkie twarze tego samego typu, co John i Amarylis, spoglądały na nich z ram. Jedne były jaśniejsze, drugie ciemniejsze, ale wszystkie nosiły na sobie piętno „Ardayre'ów”.

John mówił żonie o każdym poszczególnym przodku, podczas gdy ona opierała się czule na jego ramieniu.

Począwszy od Denzilów i Benedyktów z czasów Henryka VII, byli między nimi Henrykowie i Denzile w rycerskich zbrojach z epoki królowej Elżbiety, a potem za Stewardów, Wilhelma i Marii, pewna liczba Benedyktów i wreszcie wypudrowany James z czasów Jerzego i znowu z okresu regencji Denzile i Johny. A imię Amarylis powtarzało się często wśród kobiecych postaci, ku pamięci tej uroczej Amarylis z czasów Elżbiety, która była damą dworu królowej i do której ówczesni rycerze pisali sonety, wychwalając jej kasztanowe loki.

— Jak podobne są do siebie kobiety tego rodu! — Zawołała Amarylis, gdy zbliżali się do końca galerii. — Ciągłe powtarza się typ

Ardayre i Ardayre od samego początku. Ach! Johnie, jeżeli będziemy mieli kiedyś syna, powinien mieć jeszcze bardziej wyraziste **cechy**, ponieważ w naszych żyłach płynie ta sama krew. — Potem zawahała się i zaczerwieniła silnie. Pierwszy raz wspomniała o czymś podobnym. John przycisnął mocniej jej ramię i niepewnym głosem odpowiedział:

— Amarylis, to jest głębokim pragnieniem mego serca, abyśmy mieli syna.

Dziwne uczucie zachwytu ogarnęło Amarylis, na pół **niewinnej** i zupełnie nieświadomej.

Była głupia. Francuskie powieści są niemądre, małżeństwo w rzeczywistości zawsze tak wygląda. Naturalnie, że tak, skoro John powiedział, że jego największym pragnieniem jest mieć syna! To znaczy, że będzie go miała z pewnością. To po prostu cudowne. Wyobraźnia i głupie **książki**, podsuwane przez Elsie Goldmore, wywołały u niej te śmieszne, romantyczne rojenia o chwilach miłości. Teraz będzie już zadowolona i **nie** będzie się niczym trapiła. Przynęła się bliżej męża i spojrzała na niego czułymi oczami, a ciemne jej rzęsy zwilżone były serdeczną rosą.

— Ach, kochanie, kiedy, kiedy myślisz będziemy mieli syna? — Zapytała.

Po raz pierwszy w życiu John Ardayre chwycił ją namiętnie w ramiona i przycisnął do serca.

— Ach Boże! — Szepnął, całując jej słodkie usta. — Módl się o to, Amarylis, módl się o to, moja jedyna.

Potem stał się nagle znowu powściągliwy i zaprowadził ją do czterech ostatnich portretów wiszących przy końcu sali. Przedstawiały one jego dziadka, babkę, ojca i matkę. Obok było wolne miejsce, które świadczyło, że jakiś obraz został usunięty.

— Przeklęta czarodziejka węży, którą ojciec przywiózł do domu i znieważył honor rodziny. Prawnie była jego żoną i jakiś Francuz zrobił ten portret. Był to piękny obraz, ale z bastardem Ferdynandem na rękę, dowodem naszej hańby. Kiedy majątek stał się moją własnością, kazałem spalić to płótno.

Amarylis miała dzisiaj niespodzianki. Twarz Johna pełna była wzruszeń, a oczy błyszczały mu nienawiścią. Jakże on kocha to wszystko, co ma łączność z jego domem, honorem i nazwiskiem; pomimo wszystko nie jest tak bardzo zimny.

Przypomniała sobie słowa Rosjanina o rodach, bezużyteczności następujących po sobie generacji, gromadzących posiadłości, a lekceważących wartości umysłu i ducha. Jakie były cele tych wszystkich bogatych ludzi? Znała początek historii rodowej, bo chociaż należała do dalszej gałęzi, od dziecka wpajano w nią dumę rodową i umiłowanie tradycji rodzinnych. Ale znała tylko same fakty historyczne, więc teraz pytała męża, co każdy z członków rodu zdziałał. Czy dokonał jakichś wielkich czynów?

John zaczął więc znowu oprowadzać ją po galerii i opowiadać o każdym antenacie z osobna. Było trzech, którzy zajmowali wysokie stanowisko w państwie i godnie nosili rzeczywiście swe nazwisko; następnych dwóch pracowało ciężko na swej roli.

Denzil Ardayre, rycerz z czasów Elżbiety, najbardziej ze wszystkich podobał się Amarylis, chociaż w późniejszych czasach byli wybitniejsi od niego politycy i żołnierze, a nad nimi górował za Jerzego IV sir John Ardayre.

— Jakie to dziwne, że każda epoka wyciska swoje piętno na ludziach — rzekła Amarylis — nawet w tej samej rodzinie, gdzie płynęła tylko błękitna krew. Spójrz, Johnie, ten Denzil i inni z czasów Elżbiety mają wyraz najbardziej wytwornych, arystokratycznych istot, jakie można sobie wyobrazić. Inteligencja i kultura malują się na ich twarzach, znać na nich starą rasę, a potem w okresie Jakuba odbija się na puciołowatych twarzach bezmyślność. I rycerz z tych czasów nie może się równać z rycerzem z epoki Elżbiety, którego cechuje spryt i inteligencja. Te trupie twarze z okresu Wilhelma i Marii nia mają na sobie wielkopańskiego piętna, a z czasów Anny i Jerzego to typy sielankowe. Z końcem osiemnastego wieku ta subtelność i kultura zdają się znowu zanikać. Czy zauważyłeś to, Johnie? Widzi się to w każdym zbiorze miniatur i portretów.

John, zainteresowany jej słowami, odpowiedział:

— Z czasów Elżbiety ludzie byli wyjątkowo kulturalni, nic dziwnego więc, że wyglądają tak inteligentnie; sami decydowali o swoim życiu, a to daje poczucie wolności.

Gdy Amarylis poznała całą historię rodzinną, zatrzymała się na chwilę i rzekła:

— Tak się cieszę, że oni dokonali wielkich rzeczy i ty także pewnie

jesteś rad. My musimy iść ich śladem. Musisz mnie nauczyć **wszystkiego**, abym była ideałem pani na zamku Ardayre i wzorową **żoną najslawniejszego** ze wszystkich. Bo twój czyn jest najwspanialszy, **Johnie**, odzyskałeś wszystko na nowo. Pracą i umysłem odbudowałeś **dobrobyt** rodziny.

Przycisnął jej rękę.

— To była ciężka praca i w tych czasach dom dla mnie był przykry, ale cel wart był zachodu, a teraz musimy dążyć w tym samym kierunku... Znowu dawna powściągliwość zdawała się go ogarniać i oprowadzając ją po dalszych salach, trzymał się ściśle faktów i historycznych opisów, a żona odnosiła wrażenie, że on tłumii jakieś wzruszenie i spokój jego jest tylko pozorny.

Gdy nadszedł czas lunchu, zapanował ponownie między nimi stosunek koleżeński i atmosfera jakiegoś oderwania czy obojętności otoczyła ich na nowo.

Amarylis westchnęła, chociaż za wcześnie było rozpaczać po nadziei, która wyłoniła się ze słów Johna. Dzięki łagodnemu usposobieniu postanowiła zaufać losowi.

Ale gdy pokojowa owego wieczoru szczotkowała jej jedwabiste włosy, nieznana jakaś tęsknota ogarnęła ją no nowo. Jaka — nie wiedziała, ani nie była w stanie wyrazić jej słowami. Starła się uprzytomnić sobie chwilę, kiedy John przycisnął ją mocniej do serca. Może, może to był początek zmiany w nim? Może wkrótce...

Ale zegar w długiej galerii wybił drugą, a w ubieralni obok nie było Johna.

Amarylis leżała w wielkim, wspaniałym, złożonym łóżku otoczona ciemnością i nareszcie łzy spłynęły po jej policzkach.

Co go wstrzymuje tak długo z dala od niej? Czemu nie przyszedł?

Duże, szerokie okna były otwarte i delikatne, nocne szmery wraz z ciepłym wietrzykiem dolatywały do sypialni.

Powietrze przepojone było oczekiwaniem czegoś...

Co to? Kroki na tarasie, równomierne kroki, a potem milczenie i głębokie westchnienie — to pewnie John, sam w ogrodzie... Byłaby chętnie została z nim, pogrążona w słodkim marzeniu, przyjmująca długie, gorące pocałunki. Ale on zaraz po obiedzie odezwał się do niej poważnie.

— Zagraj mi trochę, Amarylis, a potem idź się położyć dziecko, musisz być zmęczona.

Później nic już nie mówił, tylko złożył uroczysty pocałunek na jej czole i szepnął „dobranoc”. Ona pomyliła się, sądząc, że John niebawem przyjdzie i dlatego szybko pobiegła na górę.

A teraz jest już po drugiej i niebawem zacznie świtać, a John sam wzdycha w ogrodzie.

Podeszła do okna i wychyliła się na dół. Zdawało jej się, że rozróżnia jego sylwetkę, tam, obok kamiennej ławki.

— John! — Zawołała miękko. — Jestem taka samotna, Johnie najdroższy, czy nie przyjdiesz do mnie?

I zdawało jej się, że słuch ją myli, bo doleciał ją odgłos dławionego szlochu, a sekundę później mąż jej odpowiedział wesoło, zwykłym obojętnym tonem:

— Ty niegrzeczny, nocny ptaszku! Wracaj do łóżka spać. Tak, zaraz przychodzę. Ale kiedy wsunął się do sypialni w godzinę później, Amarylis, znużona wyczekiwaniem, usnęła.

Spojrzał na jej śliczną twarzyczkę, na długie, wywinięte rzęsy, rzucające cienie na jej zaróżowione policzki i na okrągłe, nieskazitelne kształty. Wszystko to należało do niego, mógł ją całować i tulić w swych ramionach; dwie duże łzy zabłyszczały w jego niebieskich oczach i bezszelestnie położył się obok niej.

* * *

— Tutaj są papiery, Hans, ale cała ta rzecz wydaje mi się nonsensem. Co to kogo obchodzi, ezego chce cała Polska? Jak nudne są te wszystkie polityczne kwiestie! Psuły nam one szczęście od samego początku, a teraz też, gdyby nie ta polityka, jak cudnie moglibyśmy tutaj spędzać czas.

Chciałabym wyjść na twoje spotkanie pod nosem Stanisława. Nikt z innych moich przyjaciół nie był taki jak ty! Mężczyzna zaklął półgłosem po niemiecku.

— Zawsze jesteś jednakowo lekkomyślna, Harietto, nie masz zdolności poświęcenia czy patriotyzmu!... Czyż kochając cię tak, jak kocham, zgodziłbym się na rozwód, bez poważnej przyczyny? Ten pies,

który teraz ciebie posiada, musi zapłacić za to dostarczeniem **nam** wiadomości, potem odbiorę ciebie z powrotem. Chytry wyraz pojawił się w piwnych oczach pani Boleskiej. **Wcale** a wcale tego nie pragnęła. Wrócić do Hansa? Do ubóstwa, **łączącego** z trudnością koniec z końcem? Nigdy, nawet pomimo tego, że wprawiał jej zmysły w zachwyt. Sami zaproponowali jej rozwód, dla **swoich** głupich celów politycznych, aby ją oddać Stanisławowi Boleskiemu, a teraz ona chce tutaj pozostać! Woląca sto razy być wielką damą w Paryżu i obecnie w Londynie, aniżeli wrócić do roli małżonki **Hansa** w Berlinie. Jakkolwiek miał on wielkie wpływy u władz, to jednak **nie** mógł jej ofiarować żadnego stanowiska towarzyskiego, a znaczenie w świecie towarzyskim, w wyższych sferach, było celem wszystkich jej pragnień.

Umiała zdobyć sobie kochanków w każdej sferze towarzyskiej, trudność polegała na tym, że nie potrafiła nigdy zdobyć pozycji w dobrym towarzystwie amerykańskim, ani nawet wtedy, gdy poślubiwszy Hansa, mieszkała parę lat w Ameryce. Rodacy wcale jej nie pragnęli, dlatego Harietta skierowała swe usiłowania w inną stronę. Nie lubiła wspomnień o swej młodości, pełnej upokorzeń, kiedy starała się wkupić do towarzystwa przy pomocy rozmaitych prac i zajęć społecznych, a w przerwach kompromitowała się z przyjaciółmi, którzy jednak nie ofiarowali jej małżeństwa. Hans, bawiący w jakiejś tajnej misji w San Francisco, gdzie ona pojechała jako dama do towarzystwa pewnej staruszki, wydał się jej przez Boga zesłanym zbawcą, wymarzoną królewiczem z bajki, kiedy mimo jej trzydziestu lat zaproponował prawdziwe małżeństwo, ujęty jej pięknnością. Pomimo że kochała Hansa taką miłością, do jakiej zdolna była jej natura, po pięciu latach pożycia i mniej lub więcej dotkliwej biedy, miała go już dosyć, a teraz nie tylko była wolna i bogata, ale używała rozkoszy, jaką dawał jej tajemny stosunek z Hansem, a równocześnie posiadała stanowisko społeczne, jako żona jednego z najbogatszych ludzi w Polsce. Jedyną niemiłą stroną tego położenia były wymagania tych władz, które zadecydowały o jej rozwodzie i które obecnie żądały od niej w zamian za to pewnych usług. Harietta nie interesowała się zupełnie polityką żadnego państwa. W rzeczywistości nic ją nie obchodziły **inne** sprawy tylko jej własna osoba. Wszystkie jej dążenia koncentrowały **się na** tym, żeby zapewnić sobie jak najwięcej honorów i rozkoszy.

Instynkt ten zmusił ją do nabycia okruchów wykształcenia, które umiała potem znakomicie wyzyskiwać, ze zdolnością i wrodzonym iście małpim sprytem, do osiągnięcia swych celów, przy czym pomagał jej również wrodzony dar aktorski. Obecnie grała rolę damy i grała ją świadomie i świetnie; i teraz zjawia się Hans i utrzymuje, że po wydobyciu przez nią wszystkich tajemnic od Stanisława, będzie musiała zrezygnować z wygodnego życia.

— Nigdy w życiu — powiedziała w myśli do siebie samej, gdy znalazła się w pokoju hotelu „Astoria”, gdzie wyznaczył jej spotkanie Hans. — Myśl sobie tak, jeżeli ci to jest miłe! To ciebie uspokoi, a mnie nic nie zaszkodzi. Na razie pragnęła Hansa, mężczyzny, i zdecydowana była nie tracić czasu na bezużyteczne spory. Zaczęła się więc przymilać, pokazywała mu z dumą swoje wspaniałe stroje i sznury pereł, każdą rzecz przeplatając pocałunkiem, aż w końcu Hans, oszołomiony żądzą, zmiękł w jej dłoniach jak wosk.

— Tego psa, który jest twoim mężem ja się nie obawiam i nie jego chciałbym zabić — rzekł po godzinnym szeptaniu z nią. — Nienawidzę tego Moskala, Weriszczenki. My mamy na niego oko, pilnujemy go i jeżeli zbliżysz się do niego, przekraczając dane ci instrukcje, będziesz miała wielkie nieprzyjemności, moja koteczko. Twój Hans potrafi skrócić kark temu niedźwiedziowi, a także i tobie, gdy zaistnieje potrzeba!

— Weriszczenko? — Roześmiała się Harietta. — Ależ ja go ledwie znam, on nic dla mnie nie znaczy! Jest przyjacielem Stanisława, a nie moim.

Pogładziła sumiaste blond wąsy Hansa i pocałowała go znowu. W promieniu słońca błysnął krwawo wielki rubin na jej palcu.

— Popatrz, co za piękny klejnot, Hans! — Mój stary Stach dał mi go parę dni temu, to moja najnowsza zabawka, patrz.

Hans obejrzał pierścień.

— Ty jesteś demonem, Harietto. Znam twoje wszystkie wady, twoją chciwość i zdzierstwo. Kłamiesz i oszukujesz mnie i każdego mężczyznę. Jediną dobrą rzeczą w tobie jest twoja uroda i dla niej mężczyźni dają ci się okłamywać. Harietta skrzywiła się.

— Nie rozumiem takiej mowy, Hans. To wszystko bzdury, jak mówią u nas na Zachodzie. Co znaczą przymioty? Co w nas jest **prócz** ciała? Wielkie rzeczy! To mi wystarcza, a diabła malują tylko na obrazku w dzieciennych książeczkach, dla postrachu. Jestem taka sama jak każda inna kobieta i pragnę użyć życia.

— Słyszałem, że jeździsz do Londynu — rzekł Hans z nagłą brutalną surowością — by zdobyć nowych kochanków i kupić nowe stroje, ale tam bardzo mi będziesz potrzebna. Instrukcje dla ciebie będą gotowe we wtorek wieczorem w szyfrach i musisz się ze mną spotkać, gdzie ci wygodnie, po dziewiątej wieczór. Może tutaj?

Harietta zmarszczyła brwi. Na wtorek wieczorem miała inne plany.

— Co ja przez to zyskam, że przyjdę i że dalej będę szpiegować Stanisława? Już mnie to wszystko męczy; łamię sobie głowę nad twoimi szyframi. Już mam tego wszystkiego zupełnie dość!

Twarz Prusaka słała się sina, a usta zacięły się, jak stalowa sprężyna. Spojrzał jej w oczy tak, jak spogląda pogromca lwów i wziął do ręki trzcinę, leżącą na biurku.

— Kobieto, nie mów takich rzeczy, bo wiesz dobrze, że nie ma dla ciebie odwrotu. Nie myśl, że jesteśmy bezsilni. Zdemaskujemy cię, zgubimy i przegrasz twą grę. Teraz mów, czy chcesz dalej służyć?

Harietta skuliła się ze strachu, zwykłego zwierzęcego strachu. Kij ten znała już dobrze; był on jej zmorą, tak jak bywa nią dla dziecka. Wiedziała, że Hans umie dotrzymać słowa. Jego siłę fizyczną ceniła i podziwiała, ale myśl, że ją skompromituje i zniszczy po tylu trudach poniesionych po to, aby się stać damą z wielkiego świata, tego było za wiele! Nie, jakkolwiek nudne były te stare papiery, będzie musiała dalej szpiegować, ale za to, że jej groził, zemści się. Te same papiery dostanie i Rosjanin i tak złe wyjdzie na dobre, bo zapłata będzie teraz podwójna. Czyż nie ma się prawa dbać o siebie, zwłaszcza gdy własna skóra jest w niebezpieczeństwie?

Zaśmiała się cicho. To był czarny humor, a Harietta umiała ocenić ten rodzaj humoru.

Hans ścisnął ją w ramionach.

— Odpowiadaj — rozkazał gardłowym głosem. — Odpowiadaj, ty szatanie!

Harietta zaczęła się przymilać; wyglądała na szczerą i pełną prostoty,

jak zawsze wtedy, gdy chciała zjednać sobie wytworne matrony i postawić na swoim. Spoglądała wtedy na nie łagodnie i pytała je o radę, mówiąc im, że sama jest bardzo niedoświadczona i nie tak mądra, jak one.

— Hans, kochanie, ja tylko żartowałam! Czyż nie jestem wierna tobie i twoim sprawom i władzom, którym ty służysz? Naturalnie, że przyjdę we wtorek wieczór i że dalej będę pracowała.

Wargi jej drżały, a oczy napęłniły się łzami, były to prawdziwe łzy, spowodowane myślą o zmęczeniu, z jakim trzeba będzie znów odcyfrować nowe szyfry.

— A więc do roboty, moja droga, uważaj dobrze. Musisz w Anglii postarać się o przyjęcie u dworu i nawiązać stosunki z najwyższymi kołami dyplomatycznymi i politycznymi. Anglicy są niedyskretni, ufają kobietom i powierzają im tajemnice. Musisz się przypodobać kobietom. Anglicy są rasą głupców, wielu z nich to arystokraci i dlatego zbyt głupi, aby podejrzewać podstęp; inni zaś udają arystokratów i są zanadto zarozumiali, by mogli mieć rozum. Możesz oddać niezmierne usługi, swej ojczyźnie, moja żono. — I Hans zaczął chodzić po pokoju w podnieceniu, z rękami założonymi w tył. Harietta obserwowała go kątem oka. Hans był dla niej wspaniałym okazem męskiej urody, a jego dzikość w miłości dodawała mu tylko w jej oczach uroku; w nikim innym jej nie znalazła z wyjątkiem Weriszczenki. Zawahała się, gdy go sobie przypomniała. Weriszczenko był ideałem, ale bała się go dużo więcej niż Hansa. Niemca zawsze potrafi ugłaskać namiętną miłością, a co do Weriszczenki, to miała wrażenie, że on tylko wtedy i o tyle jej ulega, o ile sam chce, a nie dlatego, że ona go zdobyła.

— Pożyteczna jesteś dla naszego kraju, Harietto, żono moja! — Mruczał znowu Hans.

— Nie jestem twoją żoną, mój piękny Hansie! — Uniosła w górę brwi i szyderczo wydeła wargi. — Oddałeś mnie na rozkaz wyższej władzy innemu. Jestem czasem twoją kochanką, gdy mi się chce, ale jestem żoną Stanisława. Ja wolę mężczyznę, gdy nie jestem jego żoną, bo wtedy nie mam nudnych obowiązków względem niego.

Hans mruczał pod nosem, niemiło mu było tego słuchać.

— Musisz uważać na twoje słowa, Harietto. Gdy będziesz w Anglii, nie możesz używać pospolitych wyrazów; ileż się namęczyłem, by cię

nauczyć gramatyki. Możesz używać amerykańizmów, a nawet tłumaczyć żywcem z obcych języków, ale błędy gramatyczne, pospolite zwroty.

uliczne, ba! To zepsułoby zaraz twoją karierę.

Harietta poczerwieniała, była próżna i nie znosiła **krytyki**.

— Uważam bardzo na mój sposób wyrażania **się, gdy jestem** w świecie. Mówią, że mam przyjemny głos, ale kiedy **jestem z tobą, to** zdaje mi się, że mogę sobie odpocząć. To prawdziwa ulga, **gdy można** sobie pozwolić na swobodę!

Umysłne zaczęła używać amerykańskiego akcentu, żeby **go trochę** podrażnić. Harietta stała przed nim i śmiała mu się w oczy.

Chwycił ją w objęcia. Zawsze umiała przemówić do jego zmysłów, w ten sposób go zdobyła i tym go trzymała w niewoli przez pięć lat. **To** było przyczyną jej powodzenia.

Mężczyzna nie mógł mieć cienia wątpliwości, co do tego, **co go** pociągało do niej — był to zew czysto zwierzęcej natury. Początek miłości zawsze jest taki, jeśli go analizować szczerze, na szczęście jednak duch ludzki otacza go mgłą złudzeń, tak że obie strony wierzą zupełnie, że ich sympatia pochodzi z pobudek wyższej natury i dlatego później, gdy namiętność przeminie, przychodzi rozczarowanie, chyba że duch znajdzie swój ideał. W przeciwnym razie uczucia duchowe odwracają się ze wstrętem od materii, mszcząc się za doznany zawód. Z Hariettą nie mogło być mowy o rozczarowaniu, nie obiecywała ona niczego duchowego, a mężczyzna, ulegający jej urokowi, nie stał przed sfinksem i wiedział, że pociąg ten jest wyłącznie zmysłowy, a jeśli jego zmysły były panami jego woli zamiast sługami, to zwycięstwo Harietty było zupełne.

Wreszcie Hans podjął rzecz na nowo.

— Do Paryża przybył pewien młodzieniec imieniem Ferdynand Ardayre. Jest on chytry, ale może nam oddać duże usługi. Staraj się z nim zaprzyjaźnić. Możesz to zrobić za pośrednictwem Albas Beja. Ten Ferdynand nienawidzi swego brata Johna, głowy rodu, nienawidzi też jego żony, z przyczyn, o których nie masz potrzeby wiedzieć.

Poznałem go w Konstantynopolu. Mam wrażenie, że on w duszy nie znosi Anglików, ciąży na nim jakaś plama.

— Ja go właśnie spotkałam — odparła Harietta z błyszczącymi oczami. — A jego żony i ja nienawidzę z moich osobistych racji. Jak **ci** mam w tej sprawie pomóc?

— Musisz skupić uwagę na Ferdynandzie. Nic mnie nie obchodzi jego brat i bratowa, chyba o tyle, o ile uda się nam wykorzystać jego nienawiść dla nich. Strzeż się, żebyś nie prowadziła gry na rachunek własnej nienawiści, bo na pewno popełnisz różne głupstwa i wszystko zepsujesz.

— Dobrze. Te dwa cele dadzą się pogodzić — myślała Harietta, nie lubiła marnować słów. Zapewne jednak będzie to nie lada rozkoszą, jeśli kiedyś w przyszłości uda się skrzywdzić tę dziewczynę, którą Werisz-czenko tak szanuje, o ile już się w niej nie zakochał.

Wybiła siódma. Dobrze jej było z Hansem, zadowalał ją pod wieloma względami, a przy tym mogła odetchnąć, bo nie potrzebowała grać komedii. Ale miłe spotkanie skończyło się, a Harietta miała inne przyjemności w programie i musiała wracać do hotelu, aby się przebrać. Pocałowała więc Hansa i odeszła, obiecując wrócić we wtorek wieczór. Od Hansa otrzymała dokładne pouczenia, czego ma się dowiedzieć od Ferdynanda.

Życie byłoby rajem, gdyby nie istniały te idiotyczne intrygi związane z polityką.

Harietta nie znosiła ich, połączone z nimi zawilości męczyły ją. Gdyby od razu na początku znalazła bogatego męża, to nigdy by się nie dała zaplątać w te sieci. A teraz, gdy już miała tego męża, postara się jak najrychlej z nich uwolnić. Na razie miała Ferdynanda, który zaczynał się w niej kochać. Spotkali się już trzy razy od czasu balu u Montevich.

— Z nim nie będzie trudności — zdecydowała z westchnieniem ulgi. Nie będzie tak, jak z Weriszczenką, którego jej kazano zdobyć, bo w Rosjaninie znalazła władcę zamiast niewolnika.

Na Champs-Elysees spojrzała na swój zegarek z brylantami. Było dopiero dziesięć minut po siódmej, a obiad w austriackiej ambasadzieznaczony był na pół do ósmej. Ubieranie się było dla Harietty kwestią poważną, ale dziś postanowiła je skrócić do pół godziny, ponieważ przed obiadem chciała odwiedzić pewne mieszkanie na Rue Cambon.

— Co za dziwny wybór ulicy — mówiono zawsze Weriszczence. — Wkoło same biura i skromne hoteliki. Ubogo wyglądająca fasada nie zdradzała, że wewnątrz kryje się dom w stylu ludwika XV przerobiony na biura, z wyjątkiem drugiego piętra, z widokiem na ogrody ministerstwa.

Weriszczenko wynajął go ze względu na jego **położenie i odosobnienie** i zamienił w piękny apartament z precudnymi **boazeriami** i rzadkimi obrazami oraz stylowym umeblowaniem. **Tam, wśród** wierzchołków starych drzew, panowała też zupełna cisza.

Pani Boleska lekko stapała po płytkich schodach (nie **było tam** windy) i zadzwoniła krótko trzy razy, co było umówionym znakiem. Piotr, rosyjski służący, otworzył natychmiast drzwi i przez **mały hall** wprowadził ją do gabinetu pana domu, ciemnego pomieszczenia z dębową boazerią i purpurowym jedwabiem.

Weriszczenko zajęty był pisaniem. Spojrzał na nią znad biurka i skinął głową. Harietta wyduła grubą dolną wargę i usiadła w fotelu.

— Mam tylko chwilę czasu — rzekła. — Przyszłam do ciebie, kochany Stefanie, głównie dlatego, aby ci coś ciekawego powiedzieć.

— Niemożliwe! — Odparł pieczętując starannie list i kładąc go między resztę korespondencji. Potem wstał i wzięwszy papierosy z emaliowanego pudełka, podał jej jednego.

Harietta paliła całymi dniami, ale teraz odmówiła.

— Przyszłaś więc dla przyjemności tylko na rozmowę. Do licha! Bardzo mnie to dziwi!

Każda inna kobieta byłaby ten ton i te słowa wzięła za obelgę, lecz nie Harietta Boleska. Nie miała pretensji do inteligencji, to była jej zaleta, a prócz tego nie zrażała się najbardziej brutalnym traktowaniem, jeżeli miała w zamyśle jakiś ważny cel.

Skinęła głową i to było wszystko.

Weriszczenko rzucił się na fotel naprzeciw niej, a jego zielone oczy pełne były ironii.

— Właśnie widziałem u Cartiera broszkę, piękniejszą niż ten rubinowy pierścionek i... pomyślałem sobie, że o ile będę z ciebie zadowolony, to ci ją może ofiaruję.

Harietta zerwała się z miejsca i usiadła na jego kolanach.

— Jesteś naprawdę aniołem, Stefanie! Uwielbiam cię! — Zawołała. On zaś, nie zwracając na to uwagi, rozkazał:

— Teraz mów!

Poczęła mówić szybko, a on słuchał z uwagą, ważąc jej słowa i szukając w nich prawdy. Doszedł do wniosku, że z przyczyny bliżej mu nieznaney, Harietta mówi prawdę, przy tym choćby kłamała, to nic nie

szkodziło, gdyż posiadał możność stwierdzenia prawdziwości jej zeznań. O ile te ostatnie okazałyby się wiarygodnymi, warte były owej broszki.

— Ktoś ją dotknął i zranił, prawdopodobnie fizycznie, bo rzeczy niematerialne nic jej nie obchodzą. Ale kto mógł to uczynić? — pytał siebie Rosjanin. — Kim jest jej niemiecki korespondent? Muszę to odkryć. Skoro zaś ona po raz pierwszy świadomie zdradza mi jego instrukcje, to dowodzi, że jej ptasi mózg knuje jakąś zemstę. Teraz pora, aby jak najwięcej od niej wydobyć.

Objął ją więc ramieniem i pocałował z mniej pogardliwą brutalnością niż zwykle. Powiedział jej, że jest uroczą istotą, upragnioną przez wszystkich mężczyzn, a do udzielonych mu informacji zdawał się nie przywiązywać wagi. Nie zadawał jej żadnych pytań i zapalił drugiego papierosa. To zmusiło ją do wyraźniejszych zwierzeń, wreszcie wszystko, co miała do powiedzenia zostało wyjawione.

— Ty sobie to wyobrażasz, moje dziecko — drwił z niej. — Ja potrzebuję na to dowodów, a jeżeli okaże się, że tak jest, jak mówisz, to tę broszkę na pewno dostaniesz.

— Naprawdę Stefanie, wiesz że cię kocham, a ta broszka tak mi się podoba. Stanisław jest od pewnego czasu wstrętnie skąpy dla mnie, a wszystko to, co już mam, znudziło mi się dawno.

— Przynieś mi jakiś dowód na dzisiejsze przyjęcie. Nie będzie mnie na obiedzie, ale wpadnę tam na chwilę o jedenastej.

Zgodziła się i wstała, ale znów skrzywiła usta, a wklęsły dołeczek pod jej dolną wargą pogłębił się.

— Ona wróciła już do Anglii, ta twoja ukochana, prawda?

— Tak jest.

Wszyscy się tam. spotkamy za parę tygodni. Stanisław jedzie odwiedzić kilku swych nudnych rodaków w Londynie, na tę konferencję, wiesz? I właśnie wynajęliśmy mieszkanie na Grosvenor Square, na kilka miesięcy. Dotychczas niewiele mam tam znajomości, ale ufam, że ty temu zaradzisz, prawda?

— Postaram się o to, abyś poznała tylu przystojnych Anglików, ilu ci potrzeba do pełnego zadowolenia.

Zaśmiała się rozkosznie.

— Ale mnie chodzi o kobiety, o mężczyzn to już ja sama się postaram

— Nie bój się niczego, będziesz przyjęta **wspaniale**.

W odpowiedzi rzuciła się w jego objęcia i uściskała **go, potem poszła** ku drzwiom.

— Jutro rano zatelefonuję do Cartiera — **rzekł Weriszczenko**, otwierając jej drzwi — jeżeli tej nocy przyniesiesz mi dowód **twojej miłości**.

A gdy odeszła wzięła do ręki list, przed chwilą pisany i zaadresował **go** jak następuje: *Pani Ardayre Ardayre Chase North Somerset Angletterre*

— Dla duszy mam ciebie, moja droga pani — myślał. — A kiedy **to** nie wystarcza, mam Hariettę.

Denzil Ardayre nie otrzymał przez długi czas urlopu i pozostał na północy, gdzie grał **W** krokieta i polo ile dusza zapragnęła. Głowa rodziny i jego śliczna żona spędzili gorączkowy sezon 1914 roku w domu przy Brook Street. Ardayre było zbyt odległe dla przyjęć na weekendy i innych rozrywek, więc wydali w Londynie kilka wspaniałych przyjęć i Amarylis stawała się już wzorową i podziwianą gospodynią domu w towarzyskim świecie.

Sama obdarzona pewnym instynktem i wybredna, wyrobiła się jeszcze przez zetknięcie z ludźmi dobranymi specjalnie przez Johna, który chciał, aby zapoznała się tylko z wyborowym gronem przyjaciół. Rodzina de la Paule ceniła ją wysoko i wspierała radą, pilnie kontrolując jej listy gości.

Wszystko szło w zbyt szybkim tempie, aby mogła analizować rzeczy i zastanawiać się nad nimi i gdyby ją ktoś zapytał, czy jest szczęśliwa, odpowiedziałaby mu z pewnością, że tak. John nie był szczęśliwy i wiedział o tym, ale twarz jego, zawsze pogodna, nie zdradzała nigdy jego uczuć.

Stosunki między nimi były wciąż jednakowe. Kiedy po tygodniowym pobycie w Ardayre powrócili do Londynu, wspólne życie stało się łatwiejsze, bo rzadko bywali sami. W końcu Amarylis przyzwyczała się do tej sytuacji i przestała się nad nią zastanawiać.

Co wieczora tańczyła na balach i odbywała różne wizyty, ale czasem w operze albo na balecie rosyjskim lub podczas powrotnej jazdy o świcie przez park, w duszy jej odzywała się jakaś romantyczna tęsknota i wtedy tuliła się do męża.

A John całował ją flegmatycznie i rozmawiał

o codziennych sprawach. Bywał jednak z nią wszędzie i nigdy nie zaniedbywał okazywania jej tkliwego szacunku.

Sam rzadko tańczył, więc pewnie mu nieraz było nudno, ale nigdy tego nie zdradzał przed żoną.

— Ciekawa jestem, o czym on rozmawia z przyjaciółmi? — Myślała Amarylis, obserwując go z daleka w pewnym domu po obiedzie.

W tydzień po ich powrocie do Londynu przybyli państwo Bolescy do Mount Lennard House, na Grosvenor Square, zaopatrzeni w wszelkie rekomendacje, a Harietta natychmiast zabrała się do olśniewania i podbijania ludzi. Suknie jej i klejnoty były niedoścignione, a ona sama szczerą, niemądra i pełną gracji, doskonale harmonizowała z duchem czasu.

Powściągnęła gwałtowność swoich ruchów w tańcu, stosując się do gustu angielskiego, hojnie sypała złoto na wszystkie akcje filantropijne

i urządziła przyjęcia olśniewające przepychem, które zaostrzyły apetyt towarzystwa, znużonego monotonią życia.

Mężczyźni w różnym wieku tłumnie ją otaczali, a ona bawiła się ze wszystkimi. Z ambasadorami, politykami, gwardzistami, przyciągnęła wszystkich swym urokiem i wdziękiem, a rozbrajała krytykę przez swą naiwność i przez zabawy, którymi starała się każdego zadowolić. Również szef kuchni, którego ze sobą przywiozła z Paryża, musiał zapewnić powodzenie każdej pani domu.

Nigdy w swoim trzydziestosześcioletnim życiu Harietta nie była tak szczęśliwa jak teraz. Była to godzina jej triumfu. Znajdowała się w kraju, gdzie mówiono jej rodzimym językiem (jej francuszczyzna była bardzo licha), posiadała wybitne stanowisko towarzyskie i szczęście do ludzi. Radość serca mąciło jej zbieranie informacji dla Hansa.

Weriszczenko zatrzymał się w Paryżu. Wypadki 27 czerwca w Sarajewie miały dla niego duże znaczenie. Dopiero w połowie lipca przybył ciężko zatroskany do hotelu Ritza.

Amarylis bywała na przyjęciach i balach u Boleskich, a teraz oni zaproszeni byli na trzy dni w końcu miesiąca, z powodu dojazdu do pełnoletności młodego markiza Bridgeborough, na bal do Ardayre.

— Nie możesz zapraszać dziś ludzi aż do North Somerset tylko dla twoich pięknych oczu, moje drogie dziecko — mówiła lady de la Paule do żony swego siostrzeńca. — Co roku jest gorzej. Człowiekowi pochlebia, jeżeli jego przyjaciele odpowiedzą na zaproszenie lub pozostaną pół godziny dłużej po skończonym obiedzie. Nie wiem, do czego to zmierza, ale wszelka etykieta przestała istnieć już dawno, dobre maniery i przyzwoitość także. Stajemy się barbarzyńcami w szybkim tempie; chwytamy rzecz dobrą, nie patrząc skąd ona pochodzi i rzucamy ją w kąt, gdy spostrzeżemy coś nowego. Ale cóż, kiedy trzeba iść zawsze z prądem, chyba że ktoś ma dość siły, by iść przeciwko niemu, a ja otwarcie mówię, że jej nie mam. Pełnoletność markiza Bridgeborough stanowi dla ciebie wdzięczny pretekst, by zaprosić do Ardayre grono gości. Ile osób możesz tam ulokować?

— Co najmniej trzydziestu gości ze służbą, a jeszcze siedem lub osiem osób w domu zarządcy.

Tak też rzeczy ułożono, a John wyraził radość, że jego słodka Amarylis będzie mogła okazać się idealną panią domu. Zaproszono samych najciekawszych ludzi, a towarzystwo zapowiadało się interesująco. Na dwa lub trzy dni przed wyjazdem, Amarylis, wróciwszy późno, zastała bilet Weriszczenki.

— Och! Johnie — zawołała radośnie — ten sympatyczny Rosjanin, którego poznaliśmy w Paryżu był z wizytą. Przypominasz sobie pewnie, że on pisał do mnie niedawno i przyrzekł nas powiadomić o swoim przyjeździe. Ach! Byłoby tak dobrze zaprosić go także na nasz bal. Zatelefonujemy zaraz do niego!

Weriszczenko sam podniósł słuchawkę, właśnie wrócił do domu. Wyraził radość z możliwości widzenia się z Amarylis i zapewnił, że na pewno będzie na balu.

— Spotkamy się tej nocy może w Carlton House Terrace, w niemieckiej ambasadzie — rzekł — a tam wszystko omówimy.

Amarylis dziwiła się sama podnieceniu, z jakim wstępowała na schody. Często myślała o Weriszczence i spodziewała się, że on przyjedzie do Anglii.

Myślała, ubierając się, o tym, że jej życie było bezmyślną gonitwą bez celu, od tej nocy, kiedy ze sobą rozmawiali o poważnych rzeczach w domu Montevich. Potrzebowała rad, które on jej przyrzekł dawać, bo ta szalona gonitwa nie przynosiła jej żadnej satysfakcji.

Weriszczenko szybko ją odnalazł. Nie należał do ludzi niezdecydowanych. Jego żółtozielone oczy pałały, spotkawszy Amarylis. Bez słowa podał jej ramię cudzoziemskim zwyczajem i poprowadził ją na obszerny taras. Bez wahania zaczął zdążać do celu. Gdy usiedli w półmroku, obejrzał ją krytycznie.

— Pani jest zmieniona. Połowa duszy przebudziła się, ale druga połowa usnęła jeszcze głębiej.

— Tak, czułam, że pan to powie, wstydzę się sama siebie.

— Proszę mi o tym opowiedzieć.

— Zdaje mi się, że płynę z bezmyślnym prądem, to wszystko jest tak szalone i bezcelowe, a jednak zabawne. Ale wszyscy są znużeni i niespokojni i nikt nie dba o nic naprawdę. Obawiam się, że nie mam dość siły, aby stanąć pewnie na nogach i myśleć, co się ze mną stanie.

Weriszczenko spoglądał na nią z powagą. Milczał parę chwil.

— Los może zmienić sytuację. Nad nami wiszą chmury, o których pani nie wie, mała Angielko! Może to i dobrze, że się pani cieszy życiem póki czas.

— Jakie to chmury?

— Nieszczęścia ludzkości. Ale proszę mi powiedzieć, czy już widziała pani Hariettę Boleską w jej londyńskiej „roli”?

— Tak. Ona ma ogromne powodzenie. Wszyscy u niej bywają. Jest zaproszona także do Ardayre.

Weriszczenko uniósł brwi, a uśmiech jego był ironicznie smutny.

— Widziałem rano Stanisława, stał się już manekinem, cyfrą. Ona zniszczyła jego ciało i duszę.

— Oboje wkrótce przyjadą.

— Będzie to zajmująca wizyta i ufam, że zwiedzę dom rodziny Ardayre.

— Mam nadzieję, że go pan polubi. Cieszę się, że go będę mogła panu pokazać wraz z galerią portretów. Dla Johna posiada on wielką wartość.

— Czy nie spotkała pani swego kuzyna Denzila Ardayre?. Weriszczenko badał jej twarz; zyskała ona na wyrazie i uduchowieniu, ale też coś straciła, a w jej oczach leżał cień.

— Denzila Ardayre? Nie. Dlaczego pan o to pyta?

— Bo ciekaw jestem, co pani o nim myśli, on jest bardzo podobny do męża pani.

Temat ten nie zajmował Amarylis, chciała coś usłyszeć o teoriach Rosjanina.

— Pan zna dobrze Londyn, prawda? — spytała.

— Tak, często bywałem tu, gdy bawiłem w Oxfordzie i później. Na ogół bywa on rozsądny, ale tego roku jest on, zdaje się, **najbardziej** niezrównoważonym miejscem na świecie.

— Mam niesamowite uczucie, jakby miało się stać **coś okropnego**, o czym pan wie. Proszę mi powiedzieć, co to takiego?

— Człowiek może tylko obliczać, za ile minut zakipi **kocioł**, **ale nie** może zapewnić, w którym kierunku wybuchnie ukrop. Cały **świat** gorączkuje, duch postępu zbudził się po setkach lat snu **i** wszystko niepokoi. Przy każdym wrzeniu piana wychodzi na górę; właśnie **teraz** się to dzieje, a my możemy tylko czekać i patrzeć.

— Ale zwykle mistycyzm i idealizm uwzniośli ludzkie sprawy?

— Oczywiście, gdy oparte są na prawdzie. Prawie wszyscy przywódcy ludzkości rzucają piaskiem w oczy innym albo sobie. Wielu z **nich** lęka się prawdy. Żyją w atmosferze zwodniczej. Religia przyszłości nauczy jednostki żyć prawdą, a wtedy powstanie nowa rasa. Proszę spojrzeć na tego mężczyznę, rozmawiającego z kobietą o dzikim spojrzeniu. Czy pani ich widzi w mroku? Koło nich unoszą się duchy morfiny i nikotyny i ściągają nieszczęście i zwyrodnienie. Każda siła musi mieć sprzyjającą atmosferę, albo przestanie istnieć — ryby nie mogą żyć na lądzie. Amarylis spozrzała we wskazanym kierunku — oboje byli dobrze znanymi ludźmi. On sławą literacką i artystyczną modnego świata, ona, osobą z wysokiej sfery i nieprzeciętnie inteligentną kobietą.

Weriszczenko patrzył też na nich. — Nie znam ich nazwisk — rzekł — sądzę tylko na podstawie dedukcji, wnioskując z ich wyglądu, jak każdy człowiek, posiadający rozwiniętą intuicję.

— Jakżebym chciała się tego nauczyć!

Niech pani czyta „Zadiga” Woltera. Przedstawione tam są metody dedukcyjne, bardzo pożyteczne w początkach. Niech pani następnie obserwuje wszystko, a widząc skutki, proszę szukać ich przyczyn; proszę sobie uświadomić, że wszystkie materialne zjawiska są fizycznym wyrazem sił eterycznych i że tak, jak możemy zbadać rzeczy materialne, tak samo możemy wedle upodobania przyciągnąć pożądane fale eteru.

Amarylis spojrzała znowu na tę parę ludzi. Oboje leniwie palili **papierosy** i przypomniła sobie, że słyszała raz o nich, że używają narkotyków. To zdanie dotychczas nic jej nie mówiło.

— **Czy** pan sądzi, że oni, paląc bezustannie i wstrzykując sobie **morfinę**, niszczą nie tylko swoje ciała, ale ściągają nie siebie zło duchowe?

— Oczywiście! Otoczyli się prądami magnetycznymi, które zniewalają człowieka pozbawionego woli. Trudno byłoby dobrym fluidom przedostać się przez taką zasłonę. Czy zwróciła pani kiedy uwagę na dziwny koniec wszystkich ludzi, oddających się narkotynom? Rzadko giną oni naturalną śmiercią. Złe istoty, które ściągnęli do siebie przez słabość swej woli, zabijają ich w końcu.

— Nie podoba mi się myśl, że te istoty, jak pan mówi, znajdują się w pobliżu nas.

— One nie znajdują się wcale; nie mogą się bowiem zbliżyć do nas, dopóki im na to nie pozwolimy. Czyż nie powiedziałem, że potrzeba im sprzyjającej atmosfery? Nasza wola może stworzyć zbroję, przez którą nie przenikną żadne magnetyczne wpływy. Karane są tylko słabość i bierność, one to ściągają prądy, odpowiadające bytowaniu owych wampirów.

— To wszystko wydaje mi się tak dziwaczne. **Amarylis** była zaciekawiona i przejęta wstrętem.

— Czy pani często myślała o telegrafie **Marconiego** i o falach eteru? Nie, nie często. Ludzie przyjmują takie rzeczy za fakty dokonane, z chwilą gdy one stają się udogodnieniem cywilizacyjnym, a tylko nieliczni zastanawiają się nad tym, jakie możliwości kryją w sobie te wynalazki i do jakich-nowych odkryć mogą one prowadzić. Nie są to rzeczy nadprzyrodzone, tylko my jesteśmy tak bardzo ograniczeni rozumowo. Kiedyś zaprowadzę panią do mojego laboratorium w moim domu w Rosji i pokażę pani wyniki moich badań nad drganiami i kolorowymi światłami.

— To byłoby cudownie. Ale przestraszył mnie pan przed chwilą, wliczając palenie do rzeczy przynoszących nieszczęście. Ja też czasem palę.

— **I** ja również. Czy pozwoli pani rosyjskiego papierosa? **Wyjął** papierośnicę i podał jej.

— A czy on przyniesie mi coś złego?

— Nie więcej jak szklanka wina — i zaświeciwszy **zapalniczka** pochylił się ku niej — jedna szklanka wina może być **zdrową rzeczą dla** pani, ale dwadzieścia szklanek wystarczy, by się pani upiła i **straciła** panowanie nad sobą. Zaśmiali się cicho i zapalili papierosy.

— Gdy jestem z panem, czuję się otoczona jakąś silną emanacją — i Amarylis oparła się wygodnie z głębokim westchnieniem — **tak** jakbym była rozbudzona i podniecona. To bardzo dziwne, bo pan **ma** taką niedobrą twarz, a jednak patrząc na pana, pragnę być dobra.

Jego głos, cichy i dziwny, nabrał innego tonu.

— Pragnę mieć w pani radość ducha, coś czystego i pięknego, dalekiego od ziemskich rzeczy.

Przez umysł Amarylis przemknęła myśl, że gdyby często widywać musiała Weriszczenkę, uczucia jej względem niego może nie utrzymałyby się na tak wysokim poziomie. Oczy jej zapewne zdradziły tę wątpliwość, bo Weriszczenko nachylił się bliżej.

— Ktoś inny musi dopełnić tego, czego mnie odmówiono. Pani jest zbyt młoda, aby żyć bez wzruszeń. Proszę się silnie trzymać, póki nie przyjdzie właściwa chwila.

Amarylis zdziwiła się, że on mówi tak, jak gdyby rozumiał, że ona nie może doznawać wzruszeń u boku Johna. To ją dotknęło.

— Mam przecież męża — odparła z godnością i zdawkową uprzejmością.

Weriszczenko roześmiał się.

— Pani jest rozkoszną, gdy pani mówi coś w ten sposób, rzetelną Angielką i dumną kobietą, ale posłuchaj moje dziecko, ze mną szkoda czas tracić nadaremnie. Ze mną trzeba być szczerym. Czy stać panią na to?

Amarylis doznała sprzecznych uczuć.

— Ma pan słuszość, będziemy mówili zawsze prawdę.

— Widzi pani, jeżeli pani coś sobą reprezentuje, to nie wolno pani tego niszczyć, trzeba raczej poświęcić swoją osobę tej służbie. Pani przedstawia ideał, ideał doskonałej żony Ardayrów. Musi więc pani wypełnić tę rolę. Ja jestem przedstawicielem pewnego odłamu opinii w mojej ojczyźnie. Służę jej całą duszą. Mogę sobie pozwalać tylko na to,

nad czym panuję siłą mej woli. Dogadanie sobie to nasza nagroda, nasze prawo, gdy opanujemy siebie, ale tylko wtedy i na tak długo, jak nasza wola na to zezwoli. Gdy mówi się, że coś jest silniejsze ode mnie, wtedy lepiej uciekać. Przegrało się bitwę, a namiętność chłostać nas będzie bez litości.

— Pan tak mówi, a jednak daleko panu do ascezy!

— Ufam, że tak! Mężczyzna czy kobieta powinni uświadomić sobie i starać się żyć pełnią najwyższego i najlepszego życia fizycznego, umysłowego i moralnego.

— Pan tak rozumuje, jak przed chwilą na temat palenia.

— Naturalnie, to jest jedyna rozsądna forma rozumowania. Trzeba swój sąd utrzymywać w równowadze i nie zaciemniać go przesadami, tradycją, zwyczajami i niczym innym, a tylko pytać o zdanie zdrowy rozum.

— Zdaje mi się, że my Anglicy, cenimy najwięcej w człowieku właśnie ten zdrowy rozsądek.

Weriszczenko odwrócił oczy od niej ku grupie nowych gości, wchodzących właśnie na taras. Była to gromadka młodych ludzi i wytwornych kobiet.

— Mimo wszystkich waszych wad, jesteście wielkim narodem, bo choć w ostatnich latach zauważyć się daje zanik poczucia obowiązku życiowego u jednostek, wrodzony jednak zwyczaj obowiązkowości przetrwał w stosunkach społecznych. Zdaje mi się, że u was wielkie rewolucje są niemożliwością. Każda rasa ma swoją odrębną mentalność. Francuzi patriotyzm i galanterię, Rosja zabobonność, ciemnotę i mistycyzm religijny, Niemcy bezwzględny materializm, ale to uparte, wytrwałe poczucie obowiązku jest cechą czysto angielską i rzeczą naprawdę piękną. Amarylis pomyślała o Johnie, jak doskonale reprezentował on tę właściwość rasy.

— Wiem, że pragnę spełnić mój obowiązek — rzekła cicho — ale...

— Proszę dalej pragnąć, a znajdzie się na to sposób. A teraz muszę panią odprowadzić do męża, którego widzę z daleka w towarzystwie Harietty. Ciekaw jestem, co on o niej sądzi?.

— Pytałam go o to. Odpowiedział, że jest ona zbyt otwarta, by mogła być szkodliwa i że podobają mu się jej stroje.

Weriszczenko nic nie odrzekł, Amarylis zaś rozmyślała **nad tym, czy** on jest tego samego zdania.

Musieli przejść długi korytarz, aby dostać się na schody, gdzie **stał sir** John z panią Boleską, opartą o balustradę, ale gdy tam przyszli, już **ich** nie zastali, więc Weriszczenko z głębokim ukłonem pozostawił **panią** Amarylis w towarzystwie ciotki de la Paule.

Wracając, zauważył sir Johna zatopionego w poważnej rozmowie ze starym chirurgiem, panem Lenonem Bridges. Stali we framudze, a sprytnego Rosjanina uderzył wyraz twarzy Johna Ardayre. Twarz ta była tak smutna i zrezygnowana, jak u człowieka słyszącego, że go niewinnie skazują na śmierć. Mijając ich, usłyszał słowa Johna: „W takim razie to rzecz beznadziejna. Tego się obawiałem”.

Weriszczenko zwolnił na chwilę kroku i nagle niespodziewana świadomość rozjaśniła jego żółtozielone oczy. Powoli zszedł ze schodów.

— Tu jest jakaś tragedia i w jakiś sposób wpływa ona na panią mojej duszy. — Pomyślał. Wyszedł na ulicę Pall Mail i koło szkoły spotkał Denzila Ardayre.

— Jesteśmy skazani na nieoczekiwane spotkania — zawołał młody człowiek z radością. — Jestem tu na jeden wieczór w interesach pułkowych i wpadam na ciebie.

Poszli razem do hotelu Ritza i usiedli w palarni. Długo rozmawiali o wielu rzeczach, o niepokoju w Europie i o chmurach na południowym wschodzie, o politycznych zapatrywaniach Denzila, wreszcie Weriszczenko rzekł:

— Dopiero co pożegnałem twego kuzyna i jego żonę w ambasadzie niemieckiej, poszli teraz na bal. On udaje pobłażliwego małżonka. Spodziewam się, że rzeczy-idą dobrze?

— Pomędzy nimi bardzo dobrze. Ten wstrętny Ferdynand rozszerza plotki, że oni nie mogą mieć dzieci, ale to jest mu potrzebne do osobistych celów. Muszę postarać się spotkać z nimi, gdy następnym razem będę w Londynie.

Słyszałem, że rodzina jest zachwycona panią Amarylis.

— Jest to istota z ciała, krwi i ognia. Mógłbym zakochać się w niej na śmierć, gdyby to było rozsądne.

Denzil spojrział uważnie na mówiącego. Znał go i wiedział, że rzadko się zawahał, gdy mu się podobała jakaś kobieta.

— A co jest powodem tego rozsądku?

— Pewne zaabsorbowanie umysłu. Mam inne szalenie ważne sprawy do załatwienia. Mąż jej jest zacnym człowiekiem. Ciekawe, co też przyniosą najbliższe lata? Ich temperamenty mają się do siebie tak jak dwa bieguny.

— Nikt żeniąc się, nie myśli o temperamentach, o dziedziczności, ani o niczym innym, tylko pragnie albo kobiety, albo jej majątku, albo zupełnie czegoś innego. — Denzil zapalił papierosa. — Małżeństwo wydaje mi się czymś okropnym. Skąd można wiedzieć, czy uczucie przetrwa próbę, jeżeli żona okaże się przy bliższym poznaniu strasznym rozczarowaniem, czy to pod względem fizycznym czy umysłowym? Wierzę, że to konwencjonalne małżeństwa, gdzie wyborem kieruje wyrachowanie i rozum, są jeszcze najlepsze.

Weriszczenko wzruszył ramionami.

— To nie jest konieczne. Dobrze wyćwiczony rozum potrafi pomimo miłości zachować trafny sąd i dlatego powinien sprzeciwić się chęci pojęcia za żonę osoby, której charakter albo zamiary są nieodpowiednie, ale na ogół mężczyźni umieją myśleć ściśle tylko w rzeczach naukowych i nie panują nad swymi niższymi pragnieniami. Dziś rano widziałem się ze Stanisławem Boleskim. To przykład i przestroga w jednej osobie. Stanisław był dzielnym mężczyzną, z umysłem wybitnym i wielką ambicją, ale nie panował nad zmysłami; dlatego ta słabość zrujnowała doszczętnie jego siły. Powinien był zadusić ją w pierwszym uścisku, tak jak ja bym to zrobił, gdybym czuł, że ona ma nade mną władzę.

Denzil uśmiechnął się. Stefan był taką mieszaniną czułości i dzikości.

— Zawsze sądziłem, że charakter rosyjski jest najbardziej upartym i samowolnym w świecie i że dąży do zadowolenia swoich pragnień za wszelką cenę, ty jednak zaprzeczasz temu, przyjacielu!

— Bo ja wcześniej powiedziałem sobie, patrząc na moich rodaków, a zwłaszcza kobiety — ci ludzie to półgeniusze, a pół szaleńcy i mają oni wszystkie przymioty, a rujnując je najczęściej przez niewolnicze uleganie swoim pragnieniom. Jeśliby Rosjanin przy swych zaletach potrafił być również zrównoważony, logiczny i opanowany, mógłby się podnieść do wyżyn człowieczeństwa.

I ty się podniosłeś!

— Jestem na dobrej drodze, ale czyż to nie te ważne sprawy są przyczyną, że nie przestąpiłem moich zasad?

— Tym lepiej dla głowy rodu Ardayre, że zajęty jesteś ważnymi sprawami! — Zaśmiał się Denzil i wracając do myśli, która go absorbowowała, rzekł:

— Czy myślisz, Stefanie, że Europa prędko stanie w płomieniach? Sam nieraz dziwiłem się w ostatnich miesiącach, że ten suchotniczy pokój jeszcze trwa.

— To trwać nie może. Jestem tu w ważnych sprawach, ale nie mogę mówić o faktach, a to, co teraz mówię, nie jest wynikiem moich wiadomości tylko rezultatem moich rozmyślań nad prądami magnetycznymi myśli i czynów hipercywilizowanych pokoleń. Nie zostawia się bezkarnie wśród zapalek bomby, gotowej do wybuchu.

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie znacząco, a Denzil odezwał się:

— Myślę, że na razie nie wycofam się z mego pułku, poczekam jeszcze rok.

— Tak, ja bym to samo zrobił na twoim miejscu.

Chwilę palili papierosy w milczeniu, kałmucka twarz Rosjanina była zamknięta i niezbadana, a dobroduszne oblicze Denzila niezwykle poważne.

— Ktoś mi mówił, że twoja przyjaciółka, pani Boleska, ma ogromne powodzenie w Londynie. Żałuję, że nie mam urlopu, chciałbym to zobaczyć.

— Harietta cieszy się chwilowym powodzeniem, które jest obecnie u zenitu. Nie wiem, skąd ona czerpie swe informacje, bo nawet mnie wywiodła w pole. Ona potrafi zdradzać obie strony w celu zyskania materialnych i prawdopodobnie trywialnych korzyści. Zasługuje na osobne studium. Jest niezwykle okazem przyrodniczym. Większość zbrodniarzy posiada jakąś granicę w niemoralności; Harietta niczym się nie da speszyć, żadne prawo boskie ani ludzkie u niej nic nie znaczy, rządzi nią tylko instynkt samozachowawczy. Jej kariera jest niesłychanie błyskotliwa.

— Czy ona miała kiedyś dzieci?

— Boże broń! — Odparł Weriszczenko, żegnając się. — Pomyśl, czym byłoby to dziecko, gdyby w nim odezwały się jej instynkty. Przynajmniej to zostało oszczędzone biednemu Stanisławowi.

— To by było istotnie straszne! Ale nikt o tym nie myśli przy wyborze żony.

— Ty jeszcze się nie żenisz, co?

— Pewnie że nie, nie mam najmniejszej potrzeby. Małżeństwo jest obowiązkiem tylko dla głowy rodu, a nie dla młodszych gałęzi.

— Ale gdyby sir John nie zostawił syna, wtedy, wedle krwi, ty jesteś najbliższym dziedzicem.

— Ferdynand zaś jest nim według prawa; ciężko nawet o tym pomyśleć.

Wówczas Weriszczenko nalał przyjacielowi whisky z wodą sodową i rzekł z uśmiechem:

— A zatem wypijmy raz jeszcze za zdrowie przyszłego dziedzica Ardayre!

* * *

Przyjęcie u państwa Ardayrów tak się udało, że lady de la Paule naprawdę była dumna ze swej siostrzenicy. Goście przybyli na bal do Bridgeborough Castle w dniu 23 czerwca, a nazajutrz stawili się na „garden party” i na uroczystym obiedzie w Ardayre. Obecnie, w ostatnim dniu ich pobytu, Amarylis wydawała bal u siebie.

Wszystkie okoliczne dwory były też przepełnione i wszystko udało się znakomicie.

John z zapalem przygotowywał wszystko na przyjęcie gości, z dumą wydawał zarządzenia, mające uświetnić rolę Amarylis jako gospodyni.

Jego zasługą była liczna służba, doskonałe auta i świetny kucharz, toteż kiedy większość gości udała się do swych pokoi, aby odpocząć przed balem, lady de la Paule i przyjaciółka Johna, lady Avonwier winszowały mu, siedząc z nim w cieniu brzoź na łące, pochylonej w stronę jeziora.

— Wszystko było doskonałe, nieprawdaż moja Mabello? — Rzekła pani Avonwier. — Nawet do tej nadzwyczajnej pani Boleskiej już się przekonałam. Wyznaję, że starałam się przez cały sezon jej unikać, bo my Amerykanie jesteśmy daleko więcej wybredni na punkcie towarzystwa w stosunku do naszych ziomków, od was Anglików, a w Nowym Jorku nikt by nie przyjął takiej osoby. Jest ona jednak tak głupią i tak

dekoracyjną postacią, że zgadzam się zupełnie z tobą Johnie w tym, żeście ją zaprosili.

Mnie ona się wydaje śliczna — odparła lady de la Paule — bez pretensji, a jej stroje są wspaniałe. Ty jesteś okropnie surowa, Etto. Jestem przekonana, że gdyby tylko chciała, miałaby pełne powodzenie także w Nowym Jorku.

— Mabello! Ty naiwna istoto! Ona ci pochlebia cały czas, to jej specjalność w stosunku do poważnych, starszych dam! Żadna Amerykanka nie dałaby się wprowadzić w błąd i my w naszym kraju nie lubimy, gdy ktoś niestosowny tak się wciska do towarzystwa. Ale tu, skoro ona nas bawi, nie mam nic przeciwko niej, tak samo jak bym nic nie miała przeciw orkiestrze murzyńskiej i nawet sama pošlę pani Boleskiej zaproszenie na mój bal kostiumowy w przyszłym tygodniu.

John Ardayre śmiał się dyskretnie.

— Ten uśmiech znaczy? — I Etta Avonwier utkwiała w nim swe piękne, mądre oczy.

John Ardayre nie odpowiedział słowami, lecz obie panie przyłączyły się do jego śmiechu.

— Tak, jesteśmy światowcami — przyznała lady Avonwier — którzy cenią ludzi w stosunku do korzyści, jaką z nich mają. Ale to jest jedyna możliwa rzecz, przy takim tempie życia.

— A ja tak żałuję jej biednego męża — rzekła dobrotliwie lady de la Paule. — On robi wrażenie takiego nieszczęśliwego człowieka ze swoją czarną brodą, czarnymi, melancholijnymi oczami i wychudłą twarzą. Jak myślisz, czy ona go bije, kiedy są sami?

— Kto wie? Ona jest naturą tak pierwotną, że i do tego może być zdolna.

— Jej stroje wcale nie są prymitywne — rzekł John, zapalając papierosa. — Wątpię, żeby była istotnie tak głupia.

— Ja wcale nie powiedziałem, że ona jest głupia — żywo odparła lady Avonwier. — Kto jest tak uparty jak ona, nie może być głupi. Głupcy są niezdecydowanymi ludźmi, ona jest tylko niewykształcona i niezbyt mądra.

— Podoba mi się pani różnica między głupotą a brakiem rozumu. — John Ardayre często dysputował z panią Avonwier. Byli oni wielkimi przyjaciółmi. — Niemądra osoba to często ulga i odpoczynek i często

zyskuje powodzenie. Głupia zaś denerwuje drugich i przegrywa zawsze. Ale kto to przechadza się z Amarylis na brzegiem jeziora?

John Ardayre podniósł głowę, objął spojrzeniem wodę i brzozy na pochyłości parku i dostrzegł żonę i Weriszczenkę w towarzystwie dwóch wielkich psów.

— Ach to ten ciekawy Rosjanin, którego poznaliśmy w Paryżu, gdzie podobno wszystkie piękne panie się w nim kochają. Miał przybyć tu na całe trzy dni, ale przypuszczam, że te niepokojące pogłoski rosyjsko-austriackie zatrzymały go, bo przyjechał dopiero na dzisiejszy bal.

A nad jeziorem Amarylis mówiła do Weriszczenki swym słodkim i głębokim głosem:

— Przyprowadziłam pana tutaj, bo stąd jest najładniejszy widok na dom. Mnie on się wydaje naprawdę piękny znad wody, czy nie?

Weriszczenko stał w milczeniu. Twarz miał bladą, a jego dziwne oczy były zamyślane i skupione.

Spoglądał na tę wspaniałą angielską rezydencję w stylu Henryka VII, na wieże strażnicze i szczyty dachów głównego gmachu oraz na dobudowany czworobok w stylu królowej Anny, a wszystko to razem zlewało się w harmonijną całość kształtów w odblaskach gasnącego słońca.

— Powinniście być dumni z takich posiadłości, wy Anglicy. To suma stuleci, zachowana dzięki pokojowi zewnętrznemu w kraju. Nic dziwnego, że jesteście zrozumieli. Nie bylibyście nimi, gdybyście mieli do stu pięćdziesięciu lat wstecz wspomnienia drewnianych baraków, pijaństwa, orgii i bicia niewolników. To jest wizja, jaką wywołują nasze wiejskie dwory, te, które nie uległy pożarom. A wy tutaj posiadacie tradycję sprawiedliwości, harmonii i spełnionych obowiązków społecznych. — Zdjął kapelusz i spojrzał na złote niebo. — Oby nie stało się nic złego Anglii i obyśmy też byli kiedyś tacy wolni jak wy.

Amarylis przeszedł dreszcz ale coś niewytłumaczalnego zmusiło ją do milczenia. Czowała, że jej przyjaciel nie pragnie w tej chwili rozmowy z nią. Po chwili znów przemówił poważnie.

— Pani mej duszy, jutro odjeżdżam w gwar i zgiełk, otrzymałem wiadomości z kraju i muszę być w centrum wypadków. Nie wiemy, co z tego wszystkiego wyniknie! Dziś przyjechałem tu kosztem ciężkiej

ofiary z czasu, aby się z panią pożegnać. Może już nigdy się nie zobaczymy, choć mnie się zdaje inaczej, lecz gdyby tak **miało być** w istocie, proszę mi przyrzec, że pozostanie pani **moją gwiazdą** nieskalaną brudem świata, że będzie pani usiłowała stać się **idealną** panią tego szlachetnego domu, rozwijać swój umysł i intuicję, **być** mężną i pełną zdrowego rozsądku. Byłbym chętnie kierował **pani** duchową istotą i prowadził ją na wyżyny, ale to może **nie mnie** przeznaczone w tym życiu. Proszę żyć godnie. Amarylis była głęboko wzruszona.

— Tak jest, przyrzekam to panu. Tak krótko pana znam, a jednak wydaje mi się, żeśmy się znali już od lat wielu, jestem taka niemądra w porównaniu z panem, lecz kiedy pan mówi, budzi pan we mnie jakby dawne, uszione wspomnienia. Tak, jakby przelotny błysk świecił w ciemności, doznaję rozjaśnienia umysłu, a potem ta jasność gaśnie, ale usiłuję ją zatrzymać i postaram się tak postępować, jak pan pragnie.

Oboje patrzyli w dal, na wspaniały zamek, a gdy Amarylis zwróciła wzrok na Weriszczenkę, twarz jego rozjaśniło jakieś wewnętrzne światło.

— Dziwne rzeczy dzieć się będą, moje dziecko. Kocioł kipiący przelewa się i nie wiadomo, kogo pochłonie strumień ukropu. W dniach przyszłości pamiętaj o tym wieczorze i wspomnij moje słowa.

Głos jego drżał, ale on patrzył tylko na dom za jeziorem.

— Ilekroć trudno ci będzie zdecydować się na wybór między dwiema rzeczami, użyj środka, który ci podam, a który pomoże ci do osiągnięcia szacunku dla własnej duszy. Nigdy nie wybieraj tego, czym gardzi twoje duchowe „ja”.

— A jeżeli obie rzeczy są równie dobre, a wybór jest tylko kwestią doczesnego zysku?

Weriszczenko uśmiechnął się.

— Nie bądź nigdy mglista. Istnieje przysłowie arabskie, które powiada: „Ufaj Bogu, ale przywiąż swego wielbłąda”. Zachodzące słońce rzuciło ostatnie złote blaski na okna wysokiej wieży zamkowej. Trudno było wyobrazić sobie piękniejszy widok. Aksamitny trawnik opadał ku jezioru, po prawej stronie złociła się grupa drzew, a spoza ich gałęzi wyzierał stary kościół, w oddali dokoła rozpościerał się wspaniały, bujnie zalesiony park.

Weriszczenko pochłaniał wzrokiem ten krajobraz, a jego oczy rozszerzała wizja, budząca się w jego wyobraźni. Nie, to miejsce nie może nigdy stać się własnością bastarda Ferdynanda, którego życie w Konstantynopolu było jednym skandalem. Ten pomnik sztuki i kultury zacnego rodu Ardayrów musi pozostać chlubą czystej, rodzinnej krwi.

Obróciwszy się, spojrział na Amarylis, stojącą obok, tak szczupłą, silną, zdrową i młodą i rzekł:

— Nade wszystko trzeba żeby pani pielęgnowała usilnie stałość i jasność sądu, co pozwoli pani poznawać cel rzeczy i uwolnić się od sentymentalnych i konwencjonalnych obaw, jakim często podlegają charaktery dobre i szczerze, ale tak nierozwinięte, jak u pani. Cokolwiek się zdarzy, niech pani zawsze pamięta o swym obowiązku wobec rodu Ardayrów i tego domu i zawsze zmierza do celu, którym jest utrzymanie świetności i bytu rodziny.'

Amarylis czuła, że Weriszczenko zwiastuje jej jakieś posłannictwo. Oczy jej były natchnione i zapatrzone w dal. Jakie posłannictwo? Nie pytała o to. Gdyby on chciał, byłby jej to dokładnie wytłumaczył. Światło przyjdzie w swoim czasie.

— Przyrzekam to — rzekła.

Spojrzeli na wieżę. Słońce zgasło już w niektórych oknach i w jednym z nich dostrzegli postać kobiety, odzianej w lekki szlafrok.

— To jest pani Boleska — zauważył Weriszczenko, zmieniając ton głosu i wyraz oczu. — To wprowadzie za daleko, aby być pewnym, aleja przysięgnę, że to ona. Czy się nie mylę? Czy to jest okno jej pokoju?

— Tak. Ależ to nadzwyczajne, że pan umie ją poznać z tej odległości!

— O czym ona myśli? Jeżeli jej intrygi godzi się nazwać myślami. Nie patrzy ona na krajobraz i nie podziwia na pewno jego piękności. Interesują ją tylko osoby, a jedynymi osobami w tym krajobrazie to pani i ja.

— Dlaczego mielibyśmy ją interesować?

— Dla kilku przyczyn. Sądzę, że musi pani w każdym razie mieć się dobrze przed nią na bacności. Jeżeli ona dłużej pozostanie w Anglii, radzę pani nie dopuścić do zacieśnienia stosunków.

— Dobrze. — Amarylis i tym razem nie pytała, czuła, że on wie najlepiej, dlaczego tak się dzieje.

— Ona miała tutaj wielkie powodzenie. Na balu w Bridgeborough bawiła się doskonale z oficerem niemieckim i zostawiła innych mężczyzn na boku. Ten oficer bardzo się nią zajmował, przywieźli go ze sobą goście z Bromgrove. Zaraz gdyśmy weszli, został jej przedstawiony i myślę, że oni dziś również z nim przybędą. Tworzyli tak dobraną parę w kadrylu!

— Było to zatem wspaniałe zwierzę?

— Tak, tylko...

— Powiedziała pani „dobra para”, tylko zwierzę może stanowić parę z Harietą! Proszę mi go opisać, jak wyglądał? I jaki miał mundur?

Amarylis opisała dokładnie wzrost, blond włosy i niebieskożłoty mundur.

— On byłby zupełnie przystojnym mężczyzną — dodała — tylko że nas razi jego sztywność.

— To cecha niemiecka, takich są tam tysiące; pochodzi widocznie z pruskiej piechoty. Mówi pani że został przedstawiony Hariecie? Nie byli więc dawnymi znajomymi? Nie?

— Słyszałem, jak pytał panią Nordenheimer swym gardłowym głosem o Hariettę, a pani domu przedstawiła mi go i prosiła, bym go zechciała z kolei przedstawić memu gościowi, pani Boleskiej. Uczyniłem to. Państwo Nordenheimer to są bogaci niemieccy Żydzi, którzy parę lat temu kupili Broomgrove Park. Teraz wszędzie już bywają.

— A jak Harietta przywitała tego pana?

— Zrazu wyglądała na znużoną, ale później tańczyli ze sobą bardzo często.

— Ach! — Weriszczenko tylko tyle odpowiedział, ale myślał dalej: — Oficer piechoty, to za mała zdobycz dla niej, żeby marnowała czas dla niego na publicznym przyjęciu, skoro przyjechała tu po to, aby zająć wysoko. Tańczyła z nim dlatego, że musiała. Trzeba sprawdzić, kim on jest.

Amarylis widziała, że Weriszczenko jest zajęty myślami. Spacerowali dalej wśród młodych zarośli i zbliżyli się ku domowi. Amarylis nie mogła narazić się na spóźnienie.

Weriszczenko ocknął się z zadumy i począł z nią mówić o różnych rzeczach, o przyjaźni dusz, według niego tylko wtedy możliwej, gdy już w poprzednim życiu istniała gorąca miłość i zjednoczenie ciał.

— Ufam, że my osiągnęliśmy ten stopień, moja pani. Mam w tym życiu ciężkie zadanie do spełnienia, a praca moja tak mnie pochłania, że muszę się wyrzec trwałych radości materialnych. Potrzebuję jednak jakiejś promiennej gwiazdy, która byłaby przedmiotem mej duchowej rozkoszy, a od chwili spotkania i naszej pierwszej rozmowy w rosyjskiej ambasadzie, wydaje mi się, że tak się działo z nami i że spełniwszy swe pragnienia w poprzednim życiu, dusze nasze mogą obecnie wznieść się wyżej. Czy ty dziecko czujesz to samo?

— Ja naprawdę sama nie bardzo wiem, co czuję — odparła Amarylis patrząc w dół — ale będę się starała pokazać panu, że umiem panować nad moimi uczuciami myśląc tylko o sympatii dusz, która nas łączy.

— To dobrze.

Doszli do domu i przez balkonowe drzwi weszli do zielonego saloniku w skrzydle królowej Anny. Amarylis podała obie zgrabne dłonie Weriszczence.

— Proszę czasem w zgiełku pracy też o mnie pomyśleć — szeptała — a ja będę odczuwała pana wpływ jako wzmocnienie duszy i woli.

— Pani mej duszy! — Zawołał w uniesieniu i pochylił się, jakby chcąc pocałować jej rękę, ale nagle wyprostował się i łagodnie odsunął jej dłonie.

— Nie! Chcę oprzeć się wszelkim pokusom! Teraz musi pani iść się ubierać do obiadu, tańczyć i spełnić swój obowiązek, a później pożegnamy się.

*

Harietta Boleska tupała nogami w swym czarującym pokoiku na wieży. Była zła jak głodny wilk w menażerii.

Weriszczenko nigdy z nią nie przechadzał się nad jeziorami ani się ku niej nie pochylał z wyrazem takiego szacunku.

— On kocha tę angielską lalkę! Ale ja ją zgniotę, a Ferdynand Ardayre mi w tym pomoże!

Potem zadzwoniła gwałtownie na Marię i kopnęła Fou-Chou, który odbył podróż do Anglii jako rekwizyt jej piękności, ukryty w futrze. Drobny jego tułów drżał z bólu i strachu, a oczka, okrągłe jak u chińskiego bożka, patrzyły na nią z wyrzutem.

60

Wreszcie schował się pod krzesło i tam go znalazła Maria drżącego ze strachu i zabrała po kryjomu do swej izdebki. — Mój pieścioszku — mówiła do niego idąc przez korytarz — ta diablica zabije się jeszcze kiedyś, jeżeli mi się nie uda ulokować cię gdzieś bezpiecznie. Ale gdyby to zrobiła, to wtedy ja ją zabiję! Co spowodowało dziś jej wściekłość? Musiał ktoś pokrzyżować jej plany.

W palarni wyłożonej dębową boazerią Weriszczenko rozmawiał ze Stanisławem po polsku.

— Ta nowina jest niezmiernie ważna, Stanisławie. Musisz ze mną wrócić do Londynu, za wszelką cenę musisz okazać teraz energię i zebrać twoich ludzi. Ja rano odjeżdżam. Wahasz się? Niemożliwe! Harietta cię trzyma? Ba! W takim razie umyłam ręce od Polski i od ciebie. Niedołęgo! Kobieta tobą rządzi! Dobrze, skoro tak, to idź sam do piekła! Ja z tobą skończyłem! — Wyszedł z pokoju, z twarzą bardziej niż zwykle kałmucką i dziką, wskutek gwałtownego wzburzenia. A kiedy ucichły kroki, drugi mąż Harietty pochylił się naprzód i zakrył twarz rękami. Galeria portretów tworzyła świetne ramy dla wytwornych gości zgromadzonych w zamku Ardayre. Było to towarzystwo doborowe, tańczące zawzięcie przy dźwiękach orkiestry, która od czasu do czasu śpiewała refreny popularnych melodii.

— Oto łabędzi śpiew — myślał Weriszczenko, patrząc na obrazy, na kilka minut przed samą północą. Musiał zaraz odjechać. Z Londynu przybył do niego spocony posłaniec, który gnał na motocyklu z szaleńczą szybkością i oznajmił, że skoro tylko jego lokaj zapakuje rzeczy, muszą wracać nie czekając do rana. Stosunki pomiędzy Austrią a Serbią zostały zerwane, pożar się rozpoczyna i nie ma czasu do stracenia. Musi wrócić do Rosji, jak się da najprędzej. Wyrzucił sobie teraz swoją wycieczkę do Ardayre.

— A jednak dobrze się stało — rozważał, bo wpadłem na trop podwójnej gry ze strony Harietty. Lecz gdzież są państwo Ardayre, trzeba się z nimi pożegnać!

John Ardayre tańczył walca z panią Avonwier, a postać Harietty falowała w ramionach słusznego Niemca, przybyłego z gośćmi z Broom-grove, ale Amarylis nie było w tej chwili w sali.

— Gdybym też mógł tylko dowiedzieć się, kim jest ta bestia, zanim

odjadę oraz czy ona go już przedtem знаła? — Myślał Weriszczenko. — Teraz bardziej niż kiedykolwiek muszę mieć nad nią władzę, a tak mało mam czasu!

Czekał chwilę, aż taniec się skończył, a kiedy przebrzmiały ostatnie tony walca i tłum gości ruszył w jego stronę, utkwiał wzrok w Harietcie.

Dla niej wieczór nie był dotychczas zbyt udany. Nie zdołała dotąd zamienić słowa ze Stefanem, który podczas bankietu siedział daleko od niej. Dręczyła ją zazdrość o Amarylis i przybycie Hansa, bo pragnęła właśnie opanować z powrotem Rosjanina, a obecność Hansa udaremniała jej zamiary. Jego zjawienie się w Bridgeborough nie było również miłe, ale ten jeden wieczór powinien mu wystarczyć. Nie miała już siły męczyć się z nim dłużej.

Jego nowe instrukcje dla niej, przywiezione od wyższej władzy, były również nieznośnie trudne i przychodziły w chwili, gdy cały jej umysł zajęty był utwierdzeniem stanowiska zdobytego w Anglii. Tego było już doprawdy za wiele!

Żeby tylko te nudne spory głupich starych mocarstw nie przeszkodziły, to nakłoni Stanisława do zwinięcia swego brzydkiego, starego domu w Polsce i osiadą oboje w Anglii w równie wspaniałym domu jak ten, tylko nieco bliżej Londynu. Teraz, kiedy poznała życie w Anglii, wiedziała, że to jest cel jej pragnień. Nie trzeba tutaj uczyć się trudnego obcego języka, a przy tym nigdzie mężczyźni nie są tacy przystojni i dyskretni, jak w Anglii. Jeżeli informacje zebrane przez nią dla Hansa w przeciągu tych kilku lat pomogły jego zwierzchnikom do rozniecenia zarzewia wojny, to ona bardzo tego żałuje, że ich dostarczała. Może jednak tarcia między mocarstwami przyczynią się do tego, że będzie musiała dłużej pozostać w Anglii. Zresztą Hans zapewnił ją, że Anglia nie zostanie wciągnięta w wir zmagania zbrojnych. W duszy śmiała się z tego Niemca, który żądał od niej ślepego posłuszeństwa, a którego ona zdradzała, wydając jego tajemne instrukcje Weriszczence!

Właśnie w tej chwili dostrzegła Rosjanina, który stał w drzwiach, słuszny, brzydki i dziwnie wytworny i dzika namiętność do niego opanowała ją całą. W tym momencie nienawidziła swego pierwszego męża za to, że w jego obecności lękała się rozmawiać z Weriszczenką. Musiała czekać, aż on pierwszy przemówi, Hans temu nie może przeszkodzić ani wyrzucać jej nieposłuszeństwa. Z radością więc ujrzała,

że Rosjanin zbliża się ku nim. Nie wiedziała o tym, że on za chwilę wyjeżdża i spodziewała się, że uda im się spotkać później, po odjeździe Hansa.

— Dobry wieczór pani! — Rzekł Weriszczenko słodko. — Czy mógłbym mieć przyjemność zatańczenia z panią? Jakże to miło, że się znów spotykamy.

Harietta wysunęła rękę z ramienia Hansa i stała cicho, zdecydowana zatrzymać Stefana za wszelką cenę.

Weriszczenko odgadł jej myśli i mówił dalej poważnym głosem, w którym drgała nuta ironii.

— Nie wiem, czy zdołałbym panią uprosić, by była łaskawa udać się ze mną na poszukiwanie jej męża. Pani zna ten dom, a ja nie. Muszę ze Stanisławem pomówić, o ile pani nie weźmie mi za złe, że ją nudzę przerywając jej zabawę z partnerem — i uprzejmie skłonił się w kierunku Hansa.

— Ręczę, że pan mi wybaczy, kapitanie von Pickelheim — odezwała się Harietta, gdy obaj mężczyźni zapoznali się ze sobą. — A proszę nie zapomnieć, że ma pan u mnie pierwszy taniec.

Weriszczenko obserwował ukradkiem Niemca i widział, że mimo wszystko w oczach jego pojawił się błysk gniewu.

— Oni z pewnością się już dawniej znali, a on zna mnie również. Trzeba się jeszcze zatrzymać. — Głośno zaś rzekł:

— Wyglądasz dziś jak marzenie, Harietto! — Przeszli przez hall. — Czy nie ma w ogrodzie jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie byśmy mogli pozostać chwilę sami? Oczarowałaś mnie.

Hariecie było miło słuchać tych słów, więc upojona triumfem podniosła głowę i pociągnęła go za sobą do jednego z saloników i przez balkon udali się do ogrodu okrytego cieniem nocy.

Dwadzieścia minut później Weriszczenko wrócił sam do domu z szyderczym uśmiechem na twarzy. Zazdrość wywołana niską namiętnością okazała się najlepszym środkiem do skłonienia Harietty do zwierzeń, silniejszych niż rubiny i broszki. — Co to za ciekawy typ, ta kobieta! Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej żywiołowego?

Tymczasem Harietta wróciła inną drogą do sali balowej zachwycona swą przygodą i myślą, że splatała figla Hansowi.

— Czy nie widziała pani naszej gospodyni? — Zapytał Weriszczenko panią de la Paule. — Szukam jej wszędzie. Czyż to nie piękny widok?

Przystanąli i rozmawiali parę minut, przypatrując się radosnym tańcom grupy gości, pomiędzy którymi znajdowała się tym razem również Amarylis. Weriszczenko pragnął się z nią pożegnać, gdy skończy się one-step i wszyscy udadzą się do stołu.

Mało zwracał uwagi na szczebiotanie lady de la Paule. Cienki jej głos oznajmił:

— Ufam, że te nieznośne swary bałkańskie uspokoją się. Bo gdyby Austria wypowiedziała wojnę Serbii, zepsułoby mi to moją kurację w Karlsbadzie.

Weriszczenko mimo woli głośno się roześmiał, ale zaraz odparł uprzejmie.

— Madame, to byłoby zbyt wielką szkodą. Nie powinniśmy przewidywać tak strasznych rzeczy!

Gdy zbliżył się do pani domu, twarz jego przybrała surowy wyraz.

Połowa cywilizowanego świata tak myśli i mówi jak ona. Groźne wypadki na Bałkanach nie przywodzą im na myśl niebezpieczeństwa, zajmują ich tylko o tyle, o ile przeszkadzają im w odbyciu kuracji karlsbadzkiej. Niestety, jak ten naród jest głęboko uśpiony!

Oznajmił krótko Amarylis, że musi odejść. Lady Ardayre zostawiła więc swego towarzysza i udała się za Weriszczenką do klatki schodowej.

— Do widzenia; niech Bóg czuwa nad panem — rzekła z uczuciem, ale spostrzegła, że on nawet nie chce uścisnąć jej ręki.

— Wszelkie błogosławieństwo niechaj niebios zleją na ciebie, moja gwiazdo — rzekł Rosjanin szorstkim niemal głosem, po czym szybko wybiegł na schody. Na pierwszym piętrze zatrzymał się i spojrzał na nią jeszcze raz.

— Słodka pani mojej duszy — szepnął miękko — po Hariecie nie mogłem nawet dotknąć twej rękawiczki.

* * *

Wypadki posuwały się w szybkim tempie. Czy warto pisać o tych niespokojnych, gorących dniach poprzedzających 4 sierpnia 1914 roku? Dobrze są one znane całemu światu. John jak zwykle spełnił swój obowiązek; wstąpił od razu do wojska i był na ćwiczeniach w North

Somerset z pułkiem obrony krajowej, który miał zostać wysłany w krótkim czasie do Francji.

W wigilię dnia, w którym została wypowiedziana wojna, John całą noc przesiedział w swym gabinecie w majątku Ardayre.

Jego czuwanie zaniepokoiło i zdziwiło Amarylis, która z brzaskiem jutrzeńki wysunęła się cichutko z łóżka i w korytarzu nadśluchiwała, czy nie wydobywa się jakiś dźwięk z pokoju jej męża. Panowała tam jednak kompletna cisza.

Ta dziwna między nimi powściągliwość i sztuczna atmosfera zaczęły jej nieznośnie ciążyć. Czy nigdy nie będzie w stanie przełamać lodów? Czy do końca życia będą musieli żyć tylko obok siebie, jak życzliwi znajomi, nie dzieląc się ze sobą myślami? Z tego, że wojna może osobiście dotknąć Johna, nie zdawała sobie sprawy, pułk, do którego należał, służył do obrony w kraju, nie niepokoiła jej więc w owym czasie żadna troska o męża.

Nazajutrz John był bardzo zajęty, mówił z nią poważnie o ich gnieździe rodzinnym i jego tradycjach, jak powinna je ukochać i zrozumieć ich wartość. Mówił także o wielkim pragnieniu dziecka, a Amarylis zdziwiona była tonem jego głosu, w którym przebijała nieraz nuta zgnębienia.

— Gdybyśmy tylko mieli syna Amarylis, nie dbałbym o to, co się ze mną stanie, gdybym tylko miał prawdziwego potomka! Myśl o Ferdynandzie, moim następcy, doprowadza mnie do szału!

Amarylis nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Spuściła wzrok i zaciskała nerwowo dłonie.

John podszedł do niej bliżej i spojrzał jej w oczy, jak gdyby chciał u niej szukać jakiejś pociechy, po czym chwycił żonę w ramiona.

— O Amarylis!

— Co takiego? Co to wszystko znaczy? — Zawołała biedna dziewczyna. — Dlaczego nie możemy mieć syna, tak jak inne małżeństwa w naszym wieku?

John pocałował ją ponownie.

— Musimy go mieć, musimy — odpowiedział i ujął jej twarzyczkę w swe dłonie.

— Amarylis, wiem, że nieraz zastanawiałaś się nad tym, czy naprawdę cię kocham. Uważałaś, że jestem głupim, niezadowolającym

cię mężem; rzeczywiście jestem nudnym towarzyszem, ale postaram się zmienić, drogie dziecko. Gdybym wiedział, że mam zapewniony kącik w twym sercu, byłoby to dla mnie wielką ulgą.

— Naturalnie, Johnie, że masz. Gdybyś tylko był serdeczniejszy i kochał mnie, bylibyśmy tak szczęśliwi!

Jeszcze raz ją pocałował. — Postaram się.

Po obiedzie sir John pojechał do Londynu i miał się spotkać z Amarylis dopiero następnego dnia w ich mieszkaniu przy Brook Street.

Lady Ardayre czuła się oszołomiona wypadkami, jak zresztą wszyscy. Wojna wydawała się jej zmorą, złudą, dotąd nie pojmowała wcale jej znaczenia. Myślała o Weriszcence i jego słowach. Chciała wiedzieć, jakie są jej powinności. Z pewnością w tak ważnej chwili, jak obecna, ma jakiś obowiązek do spełnienia.

*

W mieszkaniu przy ulicy Brook państwo Ardayre mieli miłą bibliotekę, w której zwykle przesiadywali. Tego wieczoru John Ardayre, gdy wrócił z miasta, długo spacerował nerwowym krokiem po pokoju, był bardzo blady i czoło miał poorane bruzdami, a w oczach jego odbijała się troska i zamyślenie.

Podjął wreszcie decyzję; zostały tylko do obmyślenia szczegóły przebiegu akcji.

Zbliżył się do telefonu i kazał się połączyć z Klubem Kawalerii. — Tak, kapitan Ardayre jest, i wkrótce odezwał się zdziwiony głos Denzila

— Hallo!

— Przypadkiem dowiedziałem się, że jesteś w Londynie. Sądzę, że twój pułk od razu wyruszy na front. To ja, twój kuzyn John. Widzieliśmy się jeszcze za lat chłopięcych. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Czy mógłbyś teraz przyjść do mnie?

Obydwa głosy były tak do siebie podobne, że każdy z mówiących zdawał sobie z tego sprawę.

— Gdzie jesteś i która jest godzina?

— Jestem w naszym mieszkaniu przy Brook Street numer 102. Dochodzi zaś siódma, możesz przyjść teraz?

Nastąpiła chwila przerwy, po czym Denzil **odpowiedział:**

— Dobrze, wezmę taksówkę i za pięć **minut będę** — **następnie** odłożył słuchawkę.

John Ardayre zbladł jeszcze bardziej i zagłębił się **w fotelu. Ręce mu** drżały i te oznaki słabości i zdenerwowania gniewały **go, więc wstał**, zadzwonił na służącego i kazał mu przynieść brandy.

Murcheson był starym, wiernym lokajem i patrzył na **swego pana** z niepokojem, ale zanadto dobrze go znał, aby czynić jakąś **uwagę. Jeżeli** ktokolwiek inny poza wielkim chirurgiem Lenonem Bridges **mógł** rozumieć myśli Johna Ardayre'a, to był nim tylko Murcheson!

Lokaj po chwili przyniósł stary koniak i natychmiast wycofał **się** z pokoju przed samym przybyciem Denzila. Bardzo słaby ślad **wzruszenia** pozostał na twarzy Johna, gdy wszedł jego kuzyn, którego serdecznie przywitał.

Stanęli obok siebie i można ich było wziąć za braci, a nie **tylko** krewnych, tak silne było podobieństwo. Denzil był może jaśniejszy, **ale** głowy obydwaj mieli małe i osadzone na szczupłych szyjach. John **był** nieco apatyczny, a młodszy mężczyzna uosabiał samo życie. Oczywiście **miał** bardziej niebieskie, włosy ciemniejsze i bardzo bujne, a świetne zdrowie biło z jego opalanej, świeżej cery.

Głosy mieli niezwykle głębokie i wymowę specjalnie czystą i melodyjną. John Ardayre z powagą uczynił parę uprzejmych uwag, a Denzil odpowiedział w podobny sposób, zapewniając, że bardzo pragnął poznać Johna i Amarylis i załagodzić rozbrat, jaki powstał między ich ojcami.

John podał mu cygaro i przy paleniu atmosfera wydała się mniej oziębła. Ale Denzil myślał o tym jaka jest przyczyna, dla której został tu wezwany.

John wreszcie zaczął z powagą cedzić słowa. Mówił o wojnie i swoim wyjeździe na front, o pułku Denzila i o tym, że obydwaj mogą zginąć. Wspomniał wreszcie o Ferdynandzie i o hańbie, opowiadał Denzilowi o swoich latach chłopięcych i ciężkich doświadczeniach, i postanowieniu, odzyskania rodzinnego gniazda i o wielkim powodzeniu, które go spotkało w City po wojnie afrykańskiej. Zaznaczył, że pragnienie potomka stało się myślą przewodnią jego życia.

Z początku zachowanie Johna było bardzo powściągliwe, ale

stopniowo intensywne uczucie, które go przejmowało, wyszło na jaw i Denzil zrozumiał, jak głęboką była miłość jego kuzyna do Ardayre i jak wielka jego duma rodowa.

Na dnie tego wszystkiego musi być jednak jakaś okropna troska, myślał Denzil i czuł się coraz bardziej zainteresowany.

Gdy Johny zbliżył się do najważniejszej części swego opowiadania, wstał z miejsca i szybkim krokiem mierzył pokój wszerz i wzdłuż. Potem zmusił się do spokoju i usiadł z powrotem.

— Chcę ci powierzyć coś, Denzilu, na czym zależy mi bardziej aniżeli na życiu. — John spojrzał prosto w oczy kuzyna. — Mam do ciebie zaufanie ponieważ jesteś najbliższym krewnym z prostej linii. Słuchaj bardzo uważnie, proszę, to się tyczy tak samo twego rodzinnego honoru, jak i mojego. Hańbą byłoby oddać Ardayre temu bastardowi Ferdynandowi, synowi czarodziejki węży, gdyby, co jest zupełnie możliwe, spotkała mnie śmierć na froncie.

Denzil odczuł jakieś dziwne podniecenie. Co te słowa wróżyły? Krople potu wystąpiły na czole Johna, a głos jego stał się tak cichy, że młody Ardayre pochylił się ku niemu, aby móc go lepiej zrozumieć.

John mówił urywanymi zdaniami, dzieląc myśli, które go dręczyły, pierwszy raz w życiu z kimś drugim, ale nie było czasu na przemilczenie. Denzil musi wszystko zrozumieć, aby móc się zgodzić na jego plan. I wszystko, co leżało na sercu Johna, zostało wreszcie wyjaśnione, a on wyczerpany wysiłkiem zapadł się w fotelu śmiertelnie błądy. Denzil zachowywał się spokojnie, słuchając wzruszającego opowiadania. Od czasu do czasu rzucał tylko słowa współczucia i ubolewania, ale gdy właściwy plan został mu przez Johna przedłożony i rola, którą miał odegrać wyjaśniona, zerwał się z miejsca i oparł o ścianę. Wyraz podniecenia malował się na jego stanowczej, przystojnej twarzy.

— Na razie nie mów nic — rzekł John. Zastanów się nad wszystkim spokojnie. Nie proszę cię o żaden czyn niehonorowy — i jakkolwiek nie cierpiałem jego matki, nie prosiłbym cię o to, gdyby Ferdynand był synem mego ojca. Ty jesteś najbliższym spadkobiercą; Ferdynand nie może nim być. Mój ojciec znał tę kobietę miesiąc przed ślubem, a dziecko urodziło się w pięć miesięcy po ślubie. Nie było mowy wtedy o jakichś trudnościach i inkubatorach lub specjalnych ostrożnościach to nie było siedmiomiesięczne dziecko! Dopiero po latach dowiedziałem

się, kiedy ojciec spotkał tę kobietę, ale nawet przed tym dowodem było wiele przekonywujących faktów, że Ferdynand nie jest Ardayre'm.

— Wystarczy popatrzeć się na to bydło — zawołał Denzil. — Jeżeli matka była Bułgarką, on jest mieszańcem tureckim; ani kropla angielskiej krwi w nim nie płynie.

— Z pewnością więc zgadzasz się ze mną, że byłaby to hańba, gdyby zajął miejsce głowy rodziny, o ile by mnie przeżył?

Denzil zacisnął ręce.

— Pamiętaj, że tu nie chodzi o kwestię moralną — ciągnął dalej John — tylko o kwestię prawną, która została spotwarzona przez mego ojca z najniższych pobudek — z powodu zemsty na mnie. Teraz więc ty i ja mamy prawo ocalić rodzinę i jej honor, podchodząc tego podłego człowieka. Ach, czy nie rozumiesz, co to dla mnie znaczy, skoro dla tej miłości do Ardayre, którą posiadam i pragnę dalej rodzinie przekazać, chcę tego... pragnę najsilniej... Denzilu, odpowiedz mi, powiedz mi, że tak samo jak ja zapatrujesz się na to. Należysz do rodziny. To ciebie Ferdynand odsunie na bok, ty zostaniesz sponiewierany, bo gdyby Ferdynand doszedł do rządów, mnie musiałoby już nie być. Dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie i twarze obydwóch były blade i surowe, ale niebieskie oczy Denzila błyszczały jakimś nadzwyczajnym wzruszeniem, kiedy spoglądały na Johna.

— Dobrze — rzekł wyciągając rękę. Doceniam szalone zaufanie, jakim mnie obdarzyłeś i rękę słowem honoru Ardayre'a, że nie nadużyję go ani nie wykorzystam w przyszłości. Mój pułk, sądzę, zaraz odejdzie; prawdopodobnie polegnę na froncie tak, jak i ty.

Uścisnęli dłonie w milczeniu.

— Nie możemy tracić czasu.

Potem John nalał dwa kieliszki brandy i wypili toast, nie wymieniając głośno na czyją cześć. Ale nagle Denzil przypomniał sobie dziwny zbieg okoliczności, przypomniał sobie, że pije już po raz trzeci na cześć potomka Ardayre'ów.

* * *

Amarylis przybyła z Ardayre następnego popołudnia, a John wyszedł na dworzec na jej spotkanie i wyjątkowo był dla niej serdeczny.

Wyglądał na niezwykle uradowanego z tego powodu, że ją widzi i w aucie **czule** przygarnął ją do siebie, pytając, jak chciałaby spędzić czas. — Do **teatru** naturalnie nie można iść, ale gdybyś miała ochotę można by zjeść **obiad w** restauracji. Zaczynają się już różne trudności z zaopatrzeniem. Amarylis, która natychmiast reagowała na najmniejszy objaw czułości **z jego** strony, promieniała zadowoleniem. Taka nieszczęśliwa była bez niego, taka przybita i zmartwiona myślą o wojnie i o tym, że on w niej bierze udział. Całą noc w Ardayre spędziła na rozmyślaniach o tych sprawach. Wszystko spadło tak nagle i nieoczekiwanie. Teraz więc, gdy siedzą obok siebie i wszystko jest po dawnemu, ta zmora wojny zdaje się oddalać. Dziś nie będzie się nad nią zastanawiała, spróbuje być szczęśliwa i odegnać wszelkie przykre wspomnienia. Nikt nie wiedział, co się dzieje **na** frontach. John spytał ją znowu, w jaki sposób pragnęłaby spędzić czas.

Odpowiedziała, że wcale nie ma ochoty wychodzić z domu i o ile kucharka i Murcheson postarają się o jakoś żywność, woli zjeść obiad we dwójkę w domu, a potem zagra trochę na fortepianie.

Amarylis zeszła na obiad uśmiechnięta i promienna; włożyła czarującą sukienkę i szare jej oczy błyszczały kokieteryą. Żaden mężczyzna nie oparłby się jej urokowi.

John przekonany był o tym i musiał to żonie powiedzieć. Nie był on wytrawnym kochankiem, kobiety odgrywały bardzo małą rolę w jego życiu, które zawsze wypełnione było pracą. Nie miał także w sobie tego wdzięku i łatwości, jaką posiadał Denzil. Ale kochał Amarylis i pierwszy raz pozwolił sobie na okazanie jej swych uczuć.

Ona z każdą chwilą bardziej była czarująca i nareszcie nieświadoma namiętność zatlila -się w jej źrenicach. John szeptał, chociaż niezręcznie, różne czułości i kiedy udali się do biblioteki otoczył ją swym ramieniem i przysunął do siebie.

— Tak mi dobrze przy tobie, Johnie — szepnęła-Amarylis. — Tak się cieszę, że jesteś taki elegancki — tu pociągnęła swoim ładnym noskiem — przepadam za zapachem, który używasz do włosów! Ach! nie wiem, pragnę się znaleźć w twych ramionach!

John pocałował ją. — Muszę ci ofiarować w takim razie butelkę tej **wody** toaletowej, podobno świetna jest na włosy: sporządziła ją niegdyś gospodyni mojej matki i odtąd zawsze używam tej recepty. Są w niej **goździki** i inne aromatyczne zioła.

— Tak, właśnie czuję goździki, boska woń. Ciekawa jestem, czemu zapachy tak działają? Może jestem bardzo zmysłowym stworzeniem. Pod ich wpływem jestem dobra lub zła. Niektóre zapachy rozkosznie mnie upajają. Na przykład ten twój. Gdy jestem blisko ciebie chciałabym, abyś mnie ścisnął i całował, Johnie.

W Johnie każdy nerw drgał bólem. Co za okrutna ironia tkwi w tym wszystkim!

Nikt inny tak nie pachnie — ciągnęła dalej Amarylis, ocierając policzek o ramię męża w najbardziej kuszący sposób.

— Poznałabym go wszędzie, bo oznaczałby mego Johna!

Odwrócił się pod pozorem szukania papierosa. Czuł, że oczy zachodzą mu łzami.

Tymczasem Murcheson wszedł do pokoju z kawą i to przerwało nastrój, a John bezwzględnie prosił ją, aby mu zagrała, sam zagłębiając się w fotelu.

Zanadto był torturowany, aby nie przerwać czułości. „To, co mogłoby być”, zanadto boleśnie go raniło.

Obserwował jej delikatny profil na tle zielonej firanki. Była tak czysta i młoda. Jeżeli o tym czasie na drugi rok będzie miał dziecko — syna — a jego nie zabiją, będzie siedział na tym samym miejscu, patrząc na nią, kołysząc niemowlę. Jakich uczuć będzie doznawał? Czy pewność, że jest Ardayre, który przedłuży ród, uśmierzy bunt jego duszy?

— Ach Boże — modlił się — pozbaw mnie wszelkiego uczucia jako nagrodę za moje poświęcenie dla rodziny.

— Czy sądzisz, Johnie, że naprawdę musisz iść na wojnę? — Zapytała Amarylis, wstając od fortepianu. Będzie koniec przed Nowym Rokiem, a w każdym razie twój oddział służy do obrony kraju, prawda? Usiadła na niskim taborecie i oparła głowę o jego ramię.

John gładził włosy żony.

— Obawiam się, że nieprędko będzie koniec, Amarylis. Sądzę zaś, że pójdziemy na front i to niebawem. Nie chciałabyś przecież mnie zatrzymać, prawda dziecko?

— Co to jest w nas, Johnie, co czyni, że oddajemy naszych najbliższych i najdroższych nawet na śmierć z chwilą, gdy przychodzi potrzeba. Budzi się w nas wtedy triumf i litość, chwała i smutek, ale nie ma zatrzymywania. Czy to patriotyzm, Johnie?

— Jedna **jest** tylko na to nazwa, kochanie. Ale w tej wojnie jest coś **więcej**, bo nie będziemy walczyć za Anglię, lecz o sprawiedliwość. Zdaje **mi się**, że to uczucie iż musimy iść, jest pewną ofiarą duszy, która nareszcie uwolniła się z więzów ciała. Przez tyle lat wszyscy pogrążeni byliśmy we śnie.

— Jest to niemiłe obudzenie.

Przez chwilę oboje milczeli, każde zajęte swoimi myślami.

Jakieś uczucie bliskości i zrozumienia powstało między nimi, uczucie nowe i niebezpiecznie słodkie.

Amarylis czuła to rozkosznie zmysłami i dotknięcie Johna sprawiało jej radość.

John bronił się, nie chcąc ulegać wzruszeniu.

— Muszę przejść przez dzisiejszą noc — myślał — ale nie będę miał **sił**, jeżeli ten ból, wywołany przez świadomość tego, z czego muszę zrezygnować, zapanuje nade mną. Muszę być silny.

Gładził ciągle jej włosy, co wywołało u Amarylis miły dreszcz, tak że żartem ugryzła go w palec, śmiejąc się wdzięcznie.

— Pragnęłabym zdać sobie sprawę z tego, co czuję, Johnie — szepnęła, a oczy jej pałały. — Pragnęłabym wiedzieć, co czuję.

— Muszę cię więc pouczyć o tym — odpowiedział i z nieznaną jej namiętnością pochylił się i ucałował jej usta, po czym kazał jej iść się położyć.

— Po podróży jesteś pewnie zmęczona, Amarylis, idź dziecko do łóżka.

Lekko się nadaśała, drżała bowiem na całym ciele nowym, zupełnie nieznanym, wzruszeniem. Chciałaby zostać przy mężu i zatonać w pieszczotach. Chciała, nie wiedziała sama czego, wszystko w niej drgało namiętnym ciepłem.

— Czy muszę iść? To dopiero dziesiąta.

— Mam dzisiaj mnóstwo pisaniny do załatwienia, Amarylis. Idź teraz spać, około dwunastej przyjdę i zbudzę cię! — Spojrzał na nią miłośnie, a ona westchnęła.

— Ach! Gdybyś teraz przyszedł!

Pocałował ją znowu niemal szorstko, odprowadził do drzwi i stał długo, wodząc za nią płonącymi oczyma, gdy wchodziła na schody. Potem wrócił do biblioteki i nacisnął dzwonek.

— Będę dziś długo siedział, Murchesonie, nie czekaj na mnie, sam pogaszę światła. Dobranoc.

— Dobrze wielmożny panie — odparł lokaj, opuszczając pokój. Ale John nie załatwiał żadnej korespondencji; usiadł w głębokim, skórzanym fotelu, usta mu drżały, aż wreszcie szloch wstrząsnął mu piersi, twarz ukrył w dłoniach i poddał się cierpieniu.

Przed samą dwunastą wyszedł do hallu i zgasił światło. Cały dom pogrążony był teraz w ciemności, a on trzymał w ręce małą, kieszonkową latarkę. Nadśluchiwał, a wkoło panował głęboka cisza.

Wsunął się cicho do swej ubieralni i wrócił z flaszką wody toaletowej do włosów, pachnącej goździkami.

— Jak szczęśliwie, że o tym wspomniała — pomyślał.

— Jak wrażliwe są kobiety. Nigdy by mi do głowy nie przyszło coś podobnego.

— Tak... teraz. — Usłyszał wyraźnie szmer.

* *

Dwunasta uderzyła, gdy Amarylis spała spokojnie, śniąc o Johnie.

— Ach! Najdroższy — szepnęła, drzemiąc, ale na pół obudzona poczuła, jak otaczają ją silna para ramion. — Ach ty wiesz, że kocham ten zapach goździków. Ach! Johnie... Kocham cię!

* * *

Gdy Amarylis obudziła się rano, głowa jej spoczywała jeszcze na piersiach Johna, a ramię jego otaczało jej kibić. Podniosła się na łokciu i spojrzała na niego. Spał jeszcze i twarz miał niesłychanie smutną. Pochyliła się więc nad mężem i pocałowała go z nieśmiałą czułością, ale on nawet nie poruszył się i westchnął tylko ciężko.

— Czemu on wygląda tak smutno, skoro byliśmy tak szczęśliwi? Myślała o czułych słowach które jej szeptał w czasie obiadu,

a potem!... Zadrżała wzruszona. — Życie jest wspaniałą rzeczą i John jest pewnie dlatego smutny, że musi iść na front. — Wspomnienie tego faktu spadło na nią nagle, jak podmuch zimnego powietrza. Muszą się

72

więc rozłączyć! Wojna rzuca swój okropny cień i John zdaje sobie pewnie sprawę z tego nawet we śnie i dlatego wzdycha.

— Jaka ironia w tym, że właśnie teraz musi iść!

John obudził się z lekkim drżeniem i zobaczył żonę pochyloną nad sobą, a w oczach jej wyczytał głębię uczucia i uprzytomnił sobie ból, który się dopiero zaczął.

Przy śniadaniu Amarylis była rozkoszna; nowy, świeży wdzięk emanował z jej postaci. Była radosna, drocząc się z nim i przypominając mu jego uporczywe milczenie w nocy.

— Dlaczego nie chciałeś nic do mnie mówić, Johnie? Ale to nic nie szkodziło. — Potem zaczęła go zasypywać różnymi pieścizotami, których dotąd nie śmiała mu okazywać, a każde czułe słowo, które wypowiadała, było dla Johna pchnięciem sztyletu.

— Czy nie mogłabym gdzieś w pobliżu przebywać, gdy będziesz w szkole ćwiczeń? — Pytała. — Nie zniosę samotności.

On odpowiedział jednak, że to niemożliwe i że powinna wrócić do Ardayre.

— Postaram się o urlop, gdy tylko będzie okazja, moja dziecinko.

— Ach koniecznie, Johnie.

I gdy wyszedł do ministerstwa wojny, Amarylis śpiewała wesoło, rozkładając wiązanek róż, którą mąż po drodze kupił i kazał jej przysłać do domu.

— Własnoręcznie muszę je włożyć do wody, nikt ze służby nie może tego uczynić. — Mówiła do siebie. — Czy to myśl grożącego niebezpieczeństwa i rozłąki zmieniła tak Johna i przeistoczyła go w kochanka? — Zaczęła rozmyślać nad jego słowami w bibliotece, kiedy to powiedział, że wyjaśni jej znaczenie wzruszeń. Przeżywała na nowo radość i rozkosz jego namiętnego pocałunku.

— Ach! Jakże wspaniałe jest życie! Jak piękna miłość! Ukochana! Słowo to dzwoniło jej w uszach. Przedtem nigdy tak jej

nie nazywał. W ogóle John rzadko kiedy używał serdeczniej szych zwrotów i nie posunął się nigdy poza „droga” i „kochanie”. A teraz ma tak rozkoszne wspomnienie tego jedynego słowa „ukochana”, szeptanego miękko wśród cienia nocy.

John wrócił na lunch, ale dwie osoby z rodziny de la Paule zjawiły się także i rozmowa toczyła się na temat wojny, trudności wydostania

pieniędzy z banków i zdobycia artykułów żywności. Zastanawiano się, czym to wszystko się skończy.

Ale Amarylis ogarnął jakiś czar, wszystko wydawało jej się złudą, nie mogła zająć się zwykłymi rzeczami, miała wrażenie, że posuwa się i mówi, jak ktoś we śnie.

Świat i życie, śmierć i miłość były jakąś zagmatwaną tajemnicą, która zaczynała się odsłaniać i zbliżać ją do Johna. Dnie mijały szybko.

John w obozie dziękował Bogu za wyężdżające ćwiczenia, które tak mu pochłaniały czas, że nie mógł myśleć o Amarylis ani o całej swej tragedii. Gdy pożegnał ją siódmego sierpnia, wróciła sama do Ardayre i oddała się pracy w szpitalu i w różnych komitetach dla żołnierzy. Pisywała nieustannie do Johna przez cały sierpień i w wielu z tych listów były różne czułe aluzje, które sprawiały mu ból.

Wreszcie przyszły okropne wiadomości o bitwie pod Mons, potem wieści znad Marny, okrutne i wspaniałe. Smutek i żałoba zawisły nad krajem. Amarylis jak wszyscy zresztą, straciła zainteresowanie do życia.

Młody jej kuzyn poległ i wielu z jej znajomych i przyjaciół, a teraz dowiedziała się, że niebawem mąż wyrusza na pole walki. Pułk jego z North Somerset sam zgłosił się na front. Amarylis czuła się nieszczęśliwa. Ale z początkiem września pomimo ogólnego smutku, nowy horyzont przestawił się jej oczom, jak gdyby nowa jutrzienka zaświtała przed nią i stopniowo ożywiła ją nadzieją, która uraduje także serce Johna.

I w domu, kiedy po raz pierwszy upewniła się, że pragnienia przyszłości zostaną spełnione, nadziemską błogość napełniła jej duszę. Gdy doktor Geddis odjechał północną aleją, Amarylis chwyciła z hallu płaszcz Johna i bez kapelusza wyszła do parku. Wiatr rozwiewał jej brązowe, miękkie włosy i promiennosc wyzierała z jej źrenic. Jesienne słońce zachodziło na niebie, złocąc okna wiekowego domu. Amarylis odwróciła się i spojrzała z brzegu jeziora na stare mury.

A duch jej ukorzył się przed Bogiem, pełen wdzięczności. Dusza zaś rozśpiewała w radosnym Magnificat.

Ona więc także przyłoży rękę do tej wielkiej i wspaniałej idei! Ona także będzie matką Ardayre'a!

Trzeba napisać do Johna.

Oto nowa przyjemność. Co on powie? Co odczuje drogi John? Listy jego były spokojne i rzeczowe, ale już taka jego natura. Nie szkodziło jej **to** teraz. Kochał ją i z tą cudowną świadomością w sercu słowa były już dla niej bez znaczenia.

— Mieć dzieciątko! Jej własne i Johna. Jak cudownie będzie! Jakże bosko!

Drobne jej stopy ledwie dotykały mchu, po którym stąpała. Pragnęła skakać i śpiewać.

W maju, w maju! Wiosenny kwiat, małe istnienie, którym będzie musiała się opiekować, gdy wojna naturalnie się skończy i świat znowu będzie mógł być młody i szczęśliwy.

Doszła do małego, starego kościółka, od którego miała przy sobie złoty klucz. John wręczył go jej, gdy po raz pierwszy przybyła do Ardayre.

Słońce wdzierало się przez witraże i kładło na stopnie ołtarza utkany ze swych promieni złoty, przezroczysty dywan. Amarylis wsunęła się do nawy i zatrzymała między sarkofagami dwóch rycerzy z szesnastego wieku, potem uklękła w smudze słonecznego światła przed rzeźbionymi balaskami.

I nikt nigdy nie wznosił do Boga gorętszej i czystszej modlitwy niż ona owej chwili.

Pozostała w świątyni tak długo, aż ostatnie promienie słońca zgasły na zachodzie, wreszcie podniosła się z klęczek i wróciła do zamku. Usiadła w cedrowym pokoju i postanowiła napisać do Johna.

Zacząła raz i drugi, lecz każdą kartkę darła. Wiadomości jej były najwyższym szczęściem, ale tak trudne do wyrażenia!

Nareszcie skończyła trzy strony listu na dużym formacie papieru, ale kiedy odczytała go, nie czuła się jeszcze zadowolona. List nie wyrażał tego wszystkiego, co czuła i pragnęła przekazać Johnowi.

Jakże jednak może marny list wypowiedzieć radość jej serca?

Chciała powiedzieć mężowi, jak będzie uwielbiała ich dzieciątko i jak będzie się modliła, aby mieli syna i jak będzie pamiętać wszystkie jego gorące słowa, które wypowiedział, gdy ostatni raz byli razem. Postara się wplątać ich własne szczęście i radość wokoło małej istotki, tak by zstąpiła na ziemię mile widziana i błogosławiona i wyrosła potem na silną, piękną i promienną!

Gdy wszystko to nareszcie zostało skreślone tak zakończyła swój list:

Johnie, czy to nie jest cudowne i błogie i tajemnicze, ten dowód naszej miłości? Gdy leżę obudzona, powtarzam sobie ciągle to słodkie słowo, którym mnie nazwałeś i którym się podpiszę! Nie jestem już tylko Amarylis, ale Twoją jedyną Ukochaną

John otrzymał ten list popołudniową pocztą w obozie. Siedział sam w swojej lepiance i czytał raz po raz każdą linijkę. Potem zamyślił się i uzbroił w stoicki spokój.

Nie mógł analizować swoich wzruszeń. Były one mieszaniną wdzięczności i bólu, a na dnie spoczywała dzika, paląca zazdrość.

— Ukochana! — Rzekł głośno, jak gdyby to słowo było klątwą.

— Czy mam ją tak nazywać? Ukochana! **O** Boże! To za ciężko.

— Zacisnął dłonie.

Tą samą pocztą nadszedł list od Denzila, którego John prosił o wiadomości. Denzil donosił, że 110 pułk huzarów wyrusza na front i że prawdopodobnie niebawem spotkają się we Francji.

John napisał do Amarylis. Siła jego uczucia jednak zdawała się mrozić moc wyrażania się i kiedy skończył list, wiedział, że to było zimne pismo zupełnie nieodpowiednie na odpowiedź na jej serdeczne słowa.

— Moje biedne, drogie dziecko! — Westchnął, odczytując swój list

— wiem, że to cię rozczaruje. Co za okropne drwiny to wszystko. Zmusił się wreszcie do post scriptum, metody zupełnie mu obcej:

Nie zapominaj, że Cię kocham Amarylis, ukochana! — Dodał.

John udał się później do swego pułkownika i poprosił o dwa dni urlopu, a kiedy go otrzymał na następną sobotę i poniedziałek, zatelegrafował do żony, naznaczając spotkanie w mieszkaniu przy ulicy Brook.

— Muszę ją zobaczyć. Nie mogę tego znieść — rzekł do siebie. W nocy skreślił parę słów do Denzila, uważał to za swój obowiązek.

Żona moja będzie miała dziecko, gdyby tylko był to syn. Możemy teraz obydwaj polec, przynajmniej rodzina będzie ocalona i nie zaginie!

John starał się wlać w słowa serdeczną nutę. Przyznać musiał, że Denzil zachował się z największą delikatnością i chociaż potem widzieli się jeszcze i zamienili parę listów, nie uczynił najmniejszej wzmianki, co do rozmowy w bibliotece przy Brook Street.

Denzil tak postępował i pisał, jak gdyby nic pomiędzy nimi nie istniało. On, Denzil, w ostatnich siedmiu tygodniach ogromnie był zajęty i gdy siły jego skupiały się na przygotowaniach wojennych, w rzadkich chwilach w ciągu nocy, kiedy sen go nie pochłonał, pozwalał sobie na marzenia nieskończenie słodkie i tajemnicze. I każdy puls drgał mu w zachwycie, a wtedy wołą tłumił natrętne myśli i próbował myśleć

O czym innym.

W tym okresie nie mógł urzeczywistnić sobie cudu swych wzruszeń, ani nie tworzył jeszcze w swej wyobraźni romantycznych obrazów.

Tej soboty, kiedy John dostał urlop, Denzil przybył do Londynu w sprawie umundurowania i miał być na obiedzie w Carltonie z Werisz-czenką, który przyjechał także tego dnia w ważnych interesach.

Gdy obaj weszli do hallu, jakiś mężczyzna zatrzymał Rosjanina, a wzrok kapitana Ardayre powędrował po zebranej publiczności.

Wojna tą wczesną jesienią wycisnęła już swoją ponurą pieczęć

1 na tym wesołym lokalu. Ludzie wyglądali jakby zawstydzeni, że się pokazują, nikt się nie uśmiechał. Denzil ukłonił się niektórym znajomym, po czym spojrzenie jego padło na śliczną, smukłą szatynkę, siedzącą spokojnie w fotelu przed wejściem do restauracji.

Miała na sobie skromną czarną suknię, a przy pasku przypięte goździki.

— Co za śliczne stworzenie! — Pomyślał, a gdy Weriszczenko pożegnał się w tej chwili ze swoim znajomym, zwrócił się do niego:

— Stefanie, jeżeli chcesz zobaczyć typową Angielkę i po prostu rozkoszną, popatrz na tę dziewczynę w fotelu. Ciekaw jestem kto to jest?

— Co za szczęśliwy traf! — Zawołał Weriszczenko. — To twoja **kuzynka**, Amarylis Ardayre. Chodź!

I za sekundę Denzil został przedstawiony i powitany serdecznie, do czego upoważniało ich pokrewieństwo. Ale Weriszczenko, którego oczy nie pominęły niczego, zauważył, że pomimo opalenizny. Denzil nagle bardzo zbladł.

Amarylis była zachwycona spotkaniem swego przyjaciela Rosjanina. — John poszedł do telefonu — mówiła — i naturalnie będzie uradowany z powodu powiększenia naszego grona.

Denzil tymczasem, widząc wkrótce powracającego kuzyna, wypowiedział parę uprzejmych słów powitania i krew uderzyła mu z powrotem do głowy. Nie jego przecież wina — pomyślał, że spotkał się z Amarylis.

John spostrzegł już z daleka Denzila i Weriszczenkę, tak że miał czas się opanować i pogodzić z trudną sytuacją. Widział, że spotkanie było nieprzewidziane i że nie może pominąć znajomyh. W chwili właśnie, gdy wchodzili do restauracji, nadeszła Harietta Boleska z mężem. Mieszkali w hotelu. Harietta była zachwycona spotkaniem. — Co za miła niespodzianka to spotkanie! Więc razem zjedzą obiad! Szczebiotała do Johna, podczas gdy jej wzrok obejmował z zadowoleniem przystojną sylwetkę Denzila — i Stefan był także. Musi się postarać olśnić ich obydwóch!

John powitał przybycie Boleskich z ulgą; to odpręży trochę sytuację, w której znaleźli się z Denzilem. Zjawienie się państwa Boleskich odpowiadało także Weriszczence z różnych powodów, a Denzil również powiększenie grona przyjął z zadowoleniem.

Nie wyobrażał sobie, że dozna takiego wzruszenia przy poznaniu Amarylis. Sytuacja jego była niezwykła! Cieszyłby się tym poznaniem gdyby nie obecność Johna. Zdawał sobie sprawę jednak z cierpienia kuzyna i ta świadomość denerwowała go.

Gdy kapitan Ardayre przypomniał się pani Boleskiej, wszyscy udali się do restauracji i zajęto stół państwa Boleskich stojący na prawo przy oknie. Harietta posadziła Johna po jednej swojej stronie, a Denzila po drugiej, obok usiadł Weriszczenko i Stanisław, Amarylis zaś znalazła się między nimi, naprzeciwko Denzila.

Harietta gdy chciała, potrafiła być zawsze czarującą gospodynią. Dziś miała zamiar pokazać się w najlepszym świetle. Ten obrót rzeczy, który sprawił, że i Anglia została wmieszana w wojnę był nieznośny,

myślała w duszy. Popsuło jej to wszystkie odwiedziny na wsi i zniszczyło wiele planów i korzyści, jakie postanowiła wydobyć ze swego stanowiska w obiecującym kraju.

Stanisław także stawał się nieznośny. Straszyl ją natychmiastowym powrotem do Polski, co tłumaczył, jest jego obowiązkiem, ale na szczęście udało jej się myśl w zarodku stłumić łzami i scenami. Potem poddał jej wyjazd do Paryża, ale informacje od Hansa wskazywały, że to nie będzie wygodne i bezpieczne miejsce, bo w każdym razie o ile Francuzi będą walczyć o drogie życie, nie będą mieli swobody zabawiania jej. Wobec tego wołała już pozostać w ponurej i nudnej Anglii.

* * *

Hans także wydał jej swe polecenia. Miała na razie pozostać w Londynie, a ponieważ wygasł termin najmu domu Mount Lennard na Grosvenor Square, więc przeprowadzili się do Carlton Hotel.

Nędzą spowodowaną wojną, hekatombą najszlachetniejszych synów narodu, wszystko to dla niej jakby nie istniało. Szkoda zapewne, bardzo szkoda tych miłych młodych gwardzistów, którzy z nią tańczyli, a teraz padli na polu bitwy, ale co pomoże żal po niewczasie? Lepiej myśleć o tych nowych, którzy przyjdą na ich miejsce. Równie obojętne jej było, która strona zwycięży. Zbieranie informacji dla poprzedniego męża stanowiło też wielką udrękę, ale Hans groził jej straszną zemstą gdyby odmówiła dalszej współpracy, a przy tym w głębi duszy nie miała najmniejszej wątpliwości, co do tego, kto w końcu zwycięży i dlatego rozum sam nakazywał zachować dobre stosunki z przyszłymi zwycięzcami.

Bardzo pożyteczny okazał się przez całe lato Ferdynand Ardayre, który przeniósł się ze swego biura handlowego z Konstantynopola do Holandii. Miał niebawem nadejść, gdy już Stanisław zostanie bezpiecznie wyprawiony do klubu St. James'a.

Harietta nie posiadała wyobraźni zdolnej do przejmowania się okropnymi opisami wojennymi. Nie widziała ich naocznie, toteż wojna była w jej rozumieniu tylko niewygoda, a nie okropnością lub rzeczą straszną. Ale była to niewygoda wstrętna i nużąca! Zmuszała ją do ciągłego udawania współczucia i troski, do przytłumienia wrodzonej

żywości, do sztucznego entuzjazmu dla każdej pracy związanej z wojną, a mogącej urozmaicić nudę jej życia. Gdyby nie lęk i pewne wątpliwości, co do rodzaju przyjęcia towarzyskiego w Ameryce, pomimo że nosiła imię polskiego magnata, Harietta nie namyślałaby się wcale, tylko uciekłyby do Ameryki, aby się znaleźć jak najdalej od tej całej zmory wojennej, która już od dłuższego czasu śmiertelnie zaczynała ją nudzić. Ludzie znanadto byli zajęci i zmartwieni, aby na nią zwracać uwagę, więc znalazła się samotna i opuszczona. Toteż spotkanie z Weriszczenką, który zawsze działał na nią podniecająco i z Denzilem, który mógł zostać w przyszłości jednym z jej wielbicieli, wydało się jej szczęśliwym trafem losu. Amarylis i John byli tylko niepożądanym balastem, z którym się trzeba pogodzić z musu.

Denzil podobał się jej bardzo. Była w nim jakaś delikatność, jakiś sposób zachowania się wyszukany i wytworny. Wszystko to potęgowało urok jego postaci; posiadał on te wszystkie przymioty, których brakło Johnowi Ardayre. To samo wrażenie odniosła mimowolnie przed końcem obiadu Amarylis, pomimo że Denzil starannie unikał wszelkiej z nią rozmowy, poza tym, co koniecznie nakazuje towarzyska uprzejmość. Całą swoją uwagę poświęcił wyłącznie Harietcie, ku jej szczeremu zadowoleniu; Weriszczenko zaś rozmawiał z Amarylis, zostawiając Johna na łasce Stanisława. Jednak już sam fakt rzucającego się w oczy podobieństwa między Denzilem a Johnem zwracał wciąż uwagę Amarylis, która czuła urazę do niego za to, że był bardziej przystojny od Johna i że obudził w niej to dziwne zainteresowanie.

Głos jego był głębszy niż Johna, a ciemne włosy tak ładnie okalały czoło, przy tym wyglądał tak zgrabnie, elegancko i po wojskowemu!

Denzil ze swej strony ocenił na pierwszy rzut oka panią Boleską, a teraz w subtelny i delikatny sposób bawił się rozmową z nią, przy czym często ironiczny błysk pojawiał się w jego oczach, a raz i drugi oczy ich spotkały się niespodziewanie w niemym porozumieniu, gdy Weriszczenko rzucił jakąś szczególnie tajemniczą uwagę. Amarylis czuła, że miałyby wielką ochotę z nim porozmawiać.

Weriszczenko przyglądał się jej uważnie. W oczach jej pojawił się jakiś nieznanym przedtem wyraz, który go zdziwił. Rysy jej wyszlachetniały, a pod oczami leżały fioletowe cienie. Czy przygnębiała ją

atmosfera wojny? Nie, to nie było to, gdyż wyraz jej oczu był pogodny, a nawet pełen szczęścia.

— Gdybym nie wiedział, że to jest rzeczą zupełnie niemożliwą, to bym pomyślał, że ona ma zostać matką. Co to za tajemnica? — Czuł się zaciekawiony. Zwłaszcza ciekawy był, jakie wrażenie zrobił na niej Denzil. W ciągu obiadu spostrzegł, że podobał się jej bardzo.

— Otóż tu jest początek rozdziału romansu koniecznego i pożytecznego — pomyślał sobie. — Jeżeli tylko Denzil nie zginie. — Ale co miała oznaczać ta nagła bladość jego twarzy, gdy się dowiedział, że to Amarylis, jego kuzynka?... To nie jest jasne, tu grały rolę jakieś ukryte sprężyny. A w jaki sposób może to wpłynąć na panią jego duszy?

Przy obiedzie nie mogli rozmawiać poufnie, rozmowa dotyczyła bowiem kwestii publicznych, wojny i jej okropności. Rosja zwyciężała, ale Weriszczenko pomimo tego nie był jakoś usposobiony optymistycznie. W jego ojczyźnie były prądy, które mogły stanowić przeciwwagę działań wojennych, tłumaczył pani Amarylis.

Stanisław Boleski miał wygląd ciężko przygnębionego człowieka. Siedział z miną wisielczą i wymuszoną, a przyjacielskie traktowanie go przez ramię ze strony Weriszczenki odczuwał dość boleśnie. Do niedawna błyszczał jako przewodnik i kierownik w życiu Stefana, a teraz, po burzliwej scenie w zamku Ardayre, jeśli Stefan mógł go przywitać zdawkową uprzejmością i nie odwrócił się od niego z gniewem, to znaczy tylko, że bardzo nisko upaść musiał w jego opinii i że Weriszczenko uważa go za nicość, nie wartą nawet nagany. Ten obiad był dla Stanisława ciężką próbą.

John również był niezadowolony. Tęsknił tak za żoną, a jednak jej widok i jej serdeczne i dużo mówiące półsłówka i pieszczoty sprawiały mu niewypowiedziany ból. Uczucia jego były sprzeczne i skomplikowane. Stało się zadość jego pragnieniom, ale pomijając już wrodzony wstręt do wszelkiego oszustwa, nawet ta nieznana przedtem serdeczna tkliwość żony dla niego, budziła w nim nieokreślone uczucie zazdrości. Przywitała go z taką radością, a on zachował się świadomie z większą jeszcze rezerwą i oschłością niż zwykle. Czuł i widział, że ona się rozczarowała i że prawdopodobnie zmroził to gorące uczucie, przebijające z jej listu, zanim zdołała ubrać je w słowa.

Wszystko to doprowadzało go do rozpacz, ale **nie mógł przełamać** swej wrodzonej nieśmiałości.

A w dodatku jako korona niepowodzenia zjawił się **zupelnie** przypadkowo Denzil i przebywa w towarzystwie Amarylis! **John był** pewny, że jego kuzyn i Amarylis nie spotkają się przed wyjazdem **ich obu** na front. A wszystko to on sam spowodował swą propozycją **pójścia do** restauracji dlatego, że ich służąca z Brook Street właśnie wyjechała w odwiedziny do rannego brata.

Amarylis zgodziła się na to z lekkim westchnieniem i z uwagą, **że** można by też zjeść coś zimnego w domu.

Ale w drodze do Carlton, Amarylis znów stała się czuła i kochająca, przytuliła się do niego, wreszcie wyjęła zza paska goździk i dała mu **go** powąchać.

— Zerwałam go dziś w cieplarni, to był ostatni z nich; miałam **ich** tyle, tyle zawsze dokoła siebie, bo one mi przypominały ciebie, najdroższy i wszystkie cudowne rzeczy.

John czuł, że odtąd nienawidzić będzie olejku goździkowego **do** włosów i że nie potrafi go już nigdy używać.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że Denzil, siedzący po drugiej stronie pani domu, mógł i powinien był się podobać każdej kobiecie i oczarować **ją** swym zachowaniem. Widział równocześnie, że Amarylis przygląda mu się z zajęciem i uczucie bliskie rozpacz napełniło jego duszę.

Życie jego było zawsze ciężkie i przyzwyczał się do ciosów, ale ten ostatni był szczególnie ciężki dlatego, że John naprawdę kochał Amarylis i pragnął z nią szczęścia, choć wiedział, że jest to rzeczą niemożliwą.

Jedynie Harietta była zupełnie zadowolona. Postanowiła rozmówić się ze Stefanem przy kawie w hallu. Zdobycie serca Denzila uważała za fakt dokonany i dlatego dała mu swobodnie rozmawiać z panią Amarylis; jej celem głównym był Rosjanin. Jego brzydka, szorstka twarz i dziwne kałmuckie oczy zawsze ją pociągały.

— Dlaczego nie zajechałeś do tego hotelu, drogi mój? — Szepnęła mu wychodząc. — Gdybyś tu był...

— Ależ mieszkam tu — odparł Weriszczenko i zostawiwszy **ją** na chwilę, zatelefonował do swego sprytnego lokaja do Ritza, aby natychmiast przeprowadził go do Carltonu.

— Trzeba ją bacznie śledzić. Nie mam czasu do stracenia. Po czym powrócił do reszty towarzystwa w hallu.

*

Denzil Ardayre wziął do rąk pocztę, przysланą mu z jego pułku. Znajdował się wraz z Weriszczenką w hallu domu swojej matki, dokąd udali się po wyjściu z Carltona na papierosy i pogawędkę.

Dom ten stał na St. James Place i był to stary, mały budynek, którego cały parter przeznaczony był do użytku Denzila, ilekroć ten przyjeżdżał do Londynu. Matka jego bawiła chwilowo na jesiennej kuracji w Bath.

— Nie krępuj się mną, mój kochany — zauważył Weriszczenko, widząc zaciekawienie, z jakim Denzil spojrział na leżący u góry list od Johna. — Przeczytaj pocztę. — I poszli obaj do saloniku. — Chciałbym właśnie ten jeden list przejrzeć, to od Johna Ardayre, z którym spotkaliśmy się przed chwilą. — I Denzil otworzył list. — Ciekaw jestem o czym pisze; w czasie obiadu o niczym mi nie mówił. — Przeczytawszy krótki list, Denzil wydał stłumiony okrzyk: — Dobry Boże! — Po czym umilkł, wyraźnie wzruszony. Weriszczenko śledził go uważnie. Sprawa dotycząca Johna, dotyczyć musi tym samym Amarylis, a przez to nabiera dla niego szczególnego znaczenia.

— Spodziewam się, że nie dostałeś złych wiadomości? — Zapytał. Denzil stał wpatrzony w ogień, a na jego twarzy malowało się zdziwienie i zachwyt.

— O! Nie — odparł. — Raczej doskonale. — Był tak dziwnie wzruszony, jak nigdy przedtem w życiu; zwyczajna pewność siebie

1 wymowność opuściły go zupełnie, a obserwujący go Weriszczenko, począł kojarzyć w myśli pewne fakty.

— Powiedz mi, jakie masz zdanie o twej kuzynce lady Ardayre? — Zapytał nagle od niechcienia.

— O Amarylis? — Denzil obudził się z marzenia. — Ach, tak! To bardzo miła istota, nieprawdaż, Stefanie? Weriszczenko zmrużył swe kocie oczy.

— Już ci mówiłem, że ją uwielbiam, ale tylko duchem. W przeciwnym razie przemawiałaby ona bardzo silnie do moich zmysłów. Czy czułeś to samo?

— Czujęm.

— No i?

— No...

— Ona chce zrozumieć życie; szuka po omacku. Czemu nie zajmiesz się jej wychowaniem?

— To jest rzeczą jej męża.

— Nie w tym wypadku. Ja uważam, że to twój obowiązek. Ty jesteś towarzyszem dla niej. John Ardayre to dobry człowiek, ale on tu nic nie znaczy. Czemu zmarnowałeś czas z Hariettą, skoro czasu masz tak mało?

— Nie miałem wyboru.

— Ale później, w hallu?

Dla Weriszczenki było jasne, że wzmianka o Amarylis dziwnie przejmuje Denzila.

— Nawet nie starałeś się zbliżyć do niej, dlaczego? Denzil zapalił papierosa.

— Uważałem, że jest bardzo piękna. Widziałem ją pierwszy raz w życiu, jak wiesz.

— I to jest powód, żeby siedzieć cicho i sztywno jak hak! Wy Anglicy jesteście dziwnym narodem!

Denzil uśmiechnął się. Gdyby Stefan wiedział o wszystkim, co by powiedział?

— Wy jesteście dla siebie stworzeni. Gdybym był tobą, nie straciłbym ani sekundy!

— Mój stary, zapominasz, zdaje się zupełnie o tym, że ta dziewczyna ma męża!

— Wcale nie! Właśnie dlatego, z powodu tego męża mówię. Więcej nie powiem. Jesteś dość inteligentny, by zrozumieć.

— Uważasz więc za rzecz dopuszczalną u kobiety, aby miała kochanka? — Denzil uśmiechnął się, puszczał kłęby dymu. — To ciekawe, jak najuczciwsi z nas mało mają sumienia w tych rzeczach.

Weriszczenko otrząsnął popiół z papierosa i rzekł w zamyśleniu.

— Świat byłby nieznośnym miejscem dla kobiet, gdybyśmy go mieli więcej! Jakkolwiek zasada moralna jest jedna, to zdarzają się okoliczności wyjątkowe. A tymczasem dana rzecz jest z góry określona jako „nieuczciwa”. Czasem to prawda, a czasem nie, nie ma ogólnej reguły.

Denzil wyciągnął się w krzesło. Lubił słuchać sofizmatów i rezonowania Weriszczenki, więc czekał z radością dalszego ciągu.

— Jest ogólną zasadą, że mężczyźni nie wolno kochać cudzej żony. Człowiek wierzy w to, a prawo tę wiarę popiera i karze go za złamanie tego zakazu. I gdyby człowiek trzymał się tej zasady tak, jak zachowuje się dżentelmen w interesach, wszystko byłoby w porządku. Ale to rzadko się zdarza, bo wchodzi tu w grę silny bardzo instynkt ludzki, nie liczący się z honorem; nieświadomy popęd do rozmnożenia rodzaju, co utrudnia osądzenie i krytykowanie tej gałęzi odpowiedzialności moralnej, bo prawo nie jest w stanie zmienić ludzkiej natury, zaślepionej namiętnością, chyba że sumienna autokrytyka ukaże człowiekowi prawdę i obowiązek i przez to pozwoli duchowi zapanować nad niższą naturą. Najlepszym środkiem byłoby opieranie się energicznie pierwszym początkom upodobania, jakie wzbudza w nas kobieta zamężna, zanim to uczucie owładnie zmysłami, ale tylko mały procent ludzi tak postępuje. Niektórzy opierają się pożądanemu z powodów moralnych, inni z powodu opinii i strachu przed konsekwencjami. Aby uciszyć sumienie, wielu ludzi pisze i mówi górnolotne frazesy i potępia upadki ludzkie, podczas gdy ich własne postępowanie pozostaje z tym wszystkim w jaskrawej sprzeczności. Ta hipokryzja mnie oburza! Nikt nie chce tej kwestii spojrzeć prosto w oczy, obnażyć ją z sofizmatów. Są i tacy, co myślą, że o kobietę trzeba walczyć, jest to instynkt ludzi jaskiniowych, i jeżeli jej nie można zdobyć siłą pięści, to trzeba się uciec do strategii. Jeśli zaś mąż nie umie zatrzymać kobiety przy sobie, to jego wina. Gdybym miał żonę, dbałbym usilnie o to, żeby ona nie pragnęła nikogo innego, lecz gdybym był nudnym, zimnym, złym mężem, nie dziwiłbym się, gdyby inni starali się mi ją odbić. To jest instynktowny odruch ludzki. Dla większej liczby ludzi prawdopodobnie nie byłoby pokusą złoto, leżące w pokoju, nawet gdybyśmy byli ubogimi, ale straszną pokusą byłby wykwinicie zastawiony stół, gdybyśmy przymierali głodem. Jeśliby kobieta pokochała niedozwolonym uczuciem, ganiłbym za to siebie, nie ją.

Denzil zgodził się z przyjacielem.

— Jednak zazdrość jest też uczuciem wrodzonym — rzekł — i choćby to nie na wiele się zdało, większość mężczyzn siłą chciałoby zatrzymać kobietę.

— W tym wypadku chodzi o obrazę prawa własności. **Próżność jest** zraniona, a wskutek tego rozum i logika idą spać. **Ale głupie jest** postępowanie tych mężczyzn, którzy zaniedbują żony, a potem **spodziewają** się od nich wierności; to jest nielogiczne i śmieszne, oni są **zaślepieni** konwencją i nie widzą istoty rzeczy.

Głos Weriszczenki brzmiał stanowczo. Denzil uśmiechnął się.

— Znowu walczysz z wiatrakami!

— Ja walczę z konwencjami i hańbą. Studiuj rzecz do głębi, w **jej** istotnej treści, jeżeli ta zgadza się ze zwyczajem, to dobrze, **ale** jeśli konwencja jest tylko naroślą, to odetnij ją i zbadaj rzecz samą w sobie.

— Zdaje mi się, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć mężczyzna żeni się dlatego, bo wie, że danej kobiety nie można osiąść w inny sposób, a potem, gdy sam już stał się obojętnym, żąda od niej przywiązania. Masz rację, Stefanie, to jest nielogiczne.

— Terroryzuj ją lub zamknij w klatce, jeżeli żądasz od niej wierności wymuszonej lękiem, ale nie spodziewaj się takiej wierności, skoro ona znajduje się na wolności i jest przez ciebie zaniedbywana; nie myśl, że którykolwiek z twych przyjaciół jest aż takim osłem, aby miał z nią inaczej postąpić, niżbyś ty sam postąpił z żoną drugiego. Jeżeli to jest ten typ kobiety, który działa na zmysły, to nie znam wypadku, w którym mężczyźni nie zabiegaliby o jej względy.

— To wszystko znaczy i z tego wynika, że ja mam prawo kochać się w Amarylis Ardayre?

— Oczywiście, że tak.

Denzil rzucił koniec papierosa w ogień.

— Otóż tym razem nie masz racji, Stefanie w swoim filozofowaniu. — Wstał z krzesła. — W tym wypadku istnieje racja, która czyni to niemożliwością. Absolutnie, pod żadnym warunkiem, póki żyje John, **ja** nie zrobię ani kroku, by zbliżyć się do Amarylis! Tu prócz sumienia odgrywa rolę i punkt honoru.

Weriszczenko poczuł, że w tym wszystkim tkwi na dnie jakaś tajemnica, dotychczas nie wyjaśniona; ogniwa łańcucha gubiły się w pewnym miejscu. Najbardziej go dziwiło wyznanie Denzila, że widział panią Amarylis tego wieczora po raz pierwszy w życiu.

— Jeśli tak jest, to wielka szkoda! — Odezwał się po chwili

milczenia. W normalnych czasach można by to pozostawić losowi i ufać w szczęśliwy zbieg okoliczności, ale teraz, o ile ty i John zginiecie na wojnie, to żal pomyśleć, że Ferdynand stanie się głową rodu. Taka kreatura jak on nie idzie na pole walki, ukryje się bezpiecznie, podczas gdy wy obaj narażać będziecie życie.

Denzil podszedł do okna, pod pozorem otwarcia nowej paczki cygar w pobliskiej szafie.

— Pisał mi dzisiaj John, że jest nadzieja na potomka, mimo wszystko, więc może niepotrzebnie się martwisz — rzekł głosem szorstkim od wzruszenia. — Ta wiadomość przejęła mnie do głębi, my wszyscy mamy wstręt do Ferdynanda.

Weriszczenko był zaskoczony i dziwnie wzruszony.

— Gdy dziś widziałem lady Amarylis, przyszło mi to na myśl, ale uważałem tę rzecz za niemożliwą. To zatem też cud wojenny? — Zapytał uśmiechem.

— Widocznie.

Denzil wybrał cygara i usiadł w szerokim fotelu, zanim nawiązała się urwana rozmowa.

— Pojmuję, że w tym wszystkim tkwi jakaś tajemnica i że ani ty nie możesz mi wszystkiego powiedzieć, ani ja nie mogę stawiać ci pytań, jednak może nadejść chwila, że będę ci potrzebny. Posiadam dość ciekawe informacje dotyczące osoby Ferdynanda Ardayre i jego działalności. Możesz zawsze liczyć na mnie. — Weriszczenko powstał głęboko wzruszony myślą, która przemknęła przez jego mózg.

— Denzilu, kocham tę kobietę, jestem absolutnie pewny, że to miłość wyłącznie duchowa. Pragnę jej szczęścia, chcę, żeby była bezpieczna. Ona ma wspaniałą duszę. Byłbym ją tobie oddał z radością, bo ty jesteś stworzony dla niej.

Denzil milczał i nigdy jeszcze nie widział Stefana tak podnieconego. Sytuacja jednak była naprawdę niezwykłą.

Wreszcie zapytał:

— Czy myślisz, że Ferdynand będzie protestował?

— Jest to możliwe.

— Ależ tu nie ma żadnych podstaw do sporów; sam fakt istnienia dziecka zadaje kłam dawnym pogłoskom.

— Prawnie tak.

— Pod każdym względem tak. — Rumieniec **wystąpił na czoło** Denzila.

— Czy znasz doktora Lenona Bridges? — spytał **Weriszczenko**.

— Tak. A dlaczego?

— Jest to wybitny chirurg. Ma być również dżentelmenem. **Jeśli go** ta wiadomość zdziwi, prawdopodobnie nie okaże swych uczuć.

Stefan śledził bacznie swego przyjaciela, równocześnie rozmawiając niedbale i leniwie, jakby o najbardziej obojętnej sprawie i dostrzegł w źrenicach Denzila błysk lęku.

— Nie widzę powodu, by ktokolwiek miał tu coś do powiedzenia — i zapalił swobodnie cygaro. — John jest uszczęśliwiony.

— I ja także, i ty, i pani Amarylis. Wobec tego możemy tylko sobie życzyć szczęścia, a nie uprzedzać ewentualnych trudności, które mogą się nigdy nie zdarzyć! Kiedy oczekiwane jest to wydarzenie?

— W początku maja — odparł bez wahania Denzil, po czym zaczerwienił się mocniej, bo nagle przypomniał sobie, że w liście Johna nie było żadnej wzmianki o dacie.

Temat stawał się drażliwy, więc aby zmienić przedmiot rozmowy, rzucił pytanie:

— Co porabia teraz twoja przyjaciółka pani Boleska?

— Ona? Otrzymuje z Niemiec wiadomości, które muszę od niej wydobyć. Mam także podejrzenie, że wysyła ona stąd wszelkie informacje, jakie jest w stanie zebrać, do Niemiec, ale co do tego, nie mam jeszcze zupełnej pewności. Gdy ją zdobędę, będę bez miłosierdzia. Ta kobieta zdradziłaby każde państwo za cenę jednej godziny osobistej przyjemności lub zysku. Dotychczas nie stwierdziłem, kim był ten mężczyzna na balu u Ardayrów. Mówiłem ci o tym, prawda? Właśnie wtedy miałem pilniejsze rzeczy na głowie i nie mogłem tej sprawy zbadać.

— Ona jest fizycznie piękna i wszystko, co mówi jest rozumne i właściwe, zachowuje się swobodnie w towarzystwie, ale, o Boże! Pomyśl, czym byłoby życie przy boku takiej kobiety — i Denzil roześmiał się.

— Bardzo mało jest takich kobiet, z którymi ktoś na zimno i spokojnie rzecz rozważający, zechciałby spędzić całe życie, bo wymagania u każdego człowieka zmieniają się, a u kobiety również. Węzeł dozgonny to kajdany, chyby że obie strony zdobywają się na zdrowy

rozsądek, ale mnie się zdaje, że mężczyźni są tak samo nielogiczni jak kobiety i są tak przerażająco próżni! Wszystkie niedole pochodzą stąd, że przymieszaliśmy tyle sentymentu do tak prostej funkcji natury, a także trzeba przyznać, że my mężczyźni zawsze jesteśmy niesprawiedliwi w stosunkach z kobietami. Każdy z nas na przykład myśli, że kobieta nie powinna zdradzać swego ukochanego, a równocześnie jeżeli ona zdradza go z drugim w sekrecie, mężczyzna słusznie oceni to jako niehonorową zdradę, bo to ubliża jego dumie i poniża jego prestiż. Ale tu znów brak logiki w tym się objawia, że on sam nie zawaha się przed spełnieniem tego samego czynu i wcale tego nie będzie uważał za zdradę, bo stwórca obdarzył go taką grubą skórą, jak nosorożca, wskutek czego nie jest zdolny do wstydu przy ocenie swego postępowania względem drugiej płci. Denzil zaśmiał się głośno.

— Surowo nas sądzisz, Stefanie, ale zdaje mi się, że masz słuszość.

— My ze zwyczaju i z konwencji jesteśmy czy uważamy się za bogów. Gdyby kobieta miała równe szanse, to kto wie, czym byłaby dzisiaj? Wszystko u nas jest ponumerowane, opatrzone etykietą i poukładane w szufladki. Kobiety są słabe i nielogiczne, i nie można na nich polegać. Mężczyźni są dzielni, zdrowi, trzeźwi i godni zaufania. Ba! Bywa tak nieraz, a jeżeli tak, to dlaczego? Kobiety są przedziwnymi istotami z wielu względów. Jak pogodnie znoszą cierpienia i kłopoty. Pomyśl, co one wycierpią przy dzieciach. Ty nie wiesz pewnie o tym, my to traktujemy jako rzecz naturalną, ale ja widziałem moją siostrę, która umarła po wielu godzinach męczarni.

Denzil szarpnął nagle rękę i przewrócił szklanę lemoniady na stoliku obok.

Weriszczenko zauważył to, ale ciągnął bez zmiany dalej.

— To jest dla nich agonია nawet w najlepszych okolicznościach. One są nieraz rozpieszczane. To trochę wyrównuje ich cierpienia. Mam nadzieję, że John otoczy swoją żonę opieką.

Wyraz troski zjawiał się w oczach Denzila, a Weriszczenko obserwował go dalej. — Czy był inny idealniejszy towarzysz dla Amarylis nad niego? — pomyślał. Zdławił w sobie całą męską zazdrość. Własna intuicja prawdopodobnie odsłoni mu całą tajemnicę, a tymczasem o ile potrafi obmyśleć coś dla dobra Amarylis i dla bezpieczeństwa jej rodu, na pewno to wykona.

— Teraz muszę cię pożegnać, mój stary — rzekł, spoglądając na zegarek. — Mam rendez vous z Hariettą. Będą musiał grać rolę mocno zakochanego, a przy tym nie będzie mi wolno skreślić jej karku.

Zostawszy sam, Denzil stał patrząc w ogień.

— Że John będzie się nią opiekował? Ależ John pójdzie w pole, a on sam też i obaj mogą zginąć. I co wtedy?

— Stefan wie wszystko, jestem tego pewien — pomyślał — i jest szczerzy jak złoto. On musi jej bronić, jeśli byśmy nie wrócili.

I znów jego myśli pomknęły do wizji Amarylis, siedzącej naprzeciwko niego przy stole, do jej słodkich oczu, raz po raz zwróconych na niego, podkrążonych fioletowym cieniem, do przeźroczystej cery, nadającej jej nowy wyraz piękności. Ach! Co za szczęście mieć ją w objęciach i szeptać namiętne wyrazy miłości do jej małych uszek, przeżywać sen-jawę z jej zgrabną główkę złożoną na własnym sercu.

— Amarylis, ukochana! — szepnął głośno i wzdrygnął się na dźwięk własnego głosu.

Zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem z zaciśniętymi pięściami. Ród może trwać, ale dwaj jego członkowie muszą cierpieć męczarnie wyrzeczenia.

Czyj los był cięższy; czy jego rola beznadziejnych wspomnień i żalów, czy siła zaparcia siebie i wyrzeczenia się Johna?

Nigdzie na świecie sytuacja nie mogła być dziwniejsza ani bardziej okrutna.

Czuł to głęboko, zanim zobaczył Amarylis. Myślał o baśni Erosa i Psyche. Uczucia jego pokrywały się z uczuciem Psyche, podnoszącej lampę. A oto teraz lampa była wzniesiona: oczy jego ujrzały to, co obejmowały ramiona, rzeczywistość okazała się piękniejsza od marzeń, a miłość rozgorzała pełnym płomieniem i zwała go z nóg.

Zapomniał o wojnie i powadze chwili. Zapomniał o wszystkim, prócz jednego — że tęskni do Amarylis.

— Ona jest moja, tylko moja! — szepnął gwałtownie — nie Johna! Ale nagle przypomniał sobie obietnicę daną Johnowi, zanim osobiste uczucia weszły w grę: nigdy nie wyzyskać sytuacji.

Do kogo będzie podobne dziecko? Będzie to prawdziwy Ardayre, oczywiście. Może powiedzą, że wdał się w tego Denzila z epoki elżbietańskiej, z portretu w galerii zamku Ardayre.

Potem usiadł i usiłował rozważać, czym jest ojcostwo. Zazwyczaj niewiele ono znaczy dla mężczyzny. Inne poglądy, o jakich czytywał nieraz, uważał za romantyczne nonsensy. Było rzeczą naturalną i rozsądną, że człowiek z majątkiem i imieniem pragnie zostawić je synowi, poza tym sentymenty na ten temat to czyste bzdury.

A jednak w tej chwili poczuł się przepelniony wzruszeniem. Chciałby z nią o tym mówić i usłyszeć, co ona myśli. Przypomniawszy sobie liczne rozmowy z Weriszczenką na temat reinkarnacji i powrotu dusz i począł myśleć o tej duszyczce, która miała ożywić ciało istoty, należącej do niego i do niej.

I nagle przed oczyma jego ducha rozstały się mury domu i uczuł, że rozciąga się przed nim przestrzeń niezmiernie duża i że w tej chwili on sam spogląda w wieczność i po raz pierwszy pojmuje cuda istnienia.

* * *

Tymczasem Weriszczenko powrócił do hotelu i cicho zbliżał się do drzwi państwa Boleskich. Drzwi ich apartamentu były na rogu korzytarza i kiedy był od nich oddalony o jakie dziesięć kroków, wyszedł z nich jakiś mężczyzna, spiesząc do windy w dół korytarza. Jasne światło lampy padło na jego twarz i Weriszczenko poznał Ferdynandę Ardayre.

Zatrzymał się w miejscu, aż do chwili, gdy usłyszał zatrzaśnięcie drzwi windy, a nawet wtedy przeszedł się parę razy tam i z powrotem, zanim wszedł do pokoju. Harietta nie powinna domyślać się, że spotkał jej poprzedniego gościa. — Kochany brutalu! Jesteś nareszcie! — zawołała z radością Harietta, wstając z sofy i rzuciła się w jego ramiona. — Wyprawiłam Stanisława do St. James na karty. Byłam sama i czekałam całą godzinę na ciebie. Zaczynałam się obawiać, że nie przyjdiesz.

Weriszczenko spojrzawszy na nią z cynicznym, lekko drwiącym uśmiechem, którego znaczenia nigdy nie mogła odgadnąć. Zauważył jej powiewne odzienie i schyliwszy się, podniósł męską chusteczkę od nosa, leżącą na stoliku. — Cóż to, Harietto! — zauważył flegmatycznie. — Od kiedy to Stanisław używa tych wschodnich perfum?—I powąchał chustkę z odrazą.

Piwnie oczy pani Boleskiej rozszerzyły się ze zdziwienia pełnego naiwnej niewinności.

— Zdaje mi się, Stefanie, że Stanisław ma jakąś kochankę. Od jakiegoś czasu zauważyłam na jego rzeczach te perfumy... Jak wiesz, nie używał jej nigdy przedtem.

— Chusteczka znaczona jest literami F.A. Pewnie praczka zamieniła rzeczy w hotelu. Spalmy to memento niedozwolonych kaprysów męża. W każdym razie gust w perfumach ma ta jego dama niezbyt wybredny. — I Weriszczenko rzucił batystę do ognia, płonącego na kominku.

— Mnóstwo rzeczy mam ci do powiedzenia, kochany brutalu! Ale jeszcze nie teraz! Czy przyjechałeś do Anglii, aby się widzieć z tą twoją Angielką? Czy...

Ale Weriszczenko z dziką siłą, którą uwielbiała, chwycił ją w swoje ramiona.

*

We wtorek rano, po owym obiedzie w hotelu Carlton, los najniespodziewaniej w świecie spletał figła Denzilowi i Amarylis, każąc im się spotkać nagle i przez to spotkanie zmieniając radykalnie ich przyszłe koleje życia. Wszystko to stało się zupełnie spokojnie i po prostu, przy absolutnym braku owych nieprawdopodobnych sytuacji, o których się mówi „jak w bajce”, a które nieraz czynią rzeczywistość dziwniejszą od bajki.

Amarylis siedziała w pustym przedziale ekspresu w Paddington. Poprzedniego wieczoru pożegnała Johna, który powrócił do obozu. Sama jechała do Ardayre z uczuciem ciężkiego przygnębienia. Rozczarowanie było zupełne. Rezerwa Johna jeszcze się spotęgowała i nic nie było w stanie jej przełamać, jej zaś uczucia i nowe wzruszenia, które chciała wypowiedzieć i z nim podzielić, umilkły zmrożone jego obojętnością.

Przypuszczalnie John cieszył się z nadziei posiadania syna, skoro tak bardzo pragnął mieć dziedzica, lecz zdawać by się mogło niemal, że ten temat wprawia go w zakłopotanie! Wszystkie te cudowne rzeczy, o których chciała z nim pomówić, zostały nie wypowiedziane.

John był uparcie praktyczny i zimny. Co to wszystko ma znaczyć? W końcu, głęboko dotknięta tym Amarylis, zawołała rano w dniu jego odjazdu:

— Ach! Johnie! Jak ty się zmieniłeś! Nie jesteś tym Johnem, który mnie trzymał w objęciach i nazywał ukochaną. Co ja zrobiłam, żeby cię rozgniewać? Czy nie cieszysz się z tego, że będę miała dziecko?

On pocałował ją i z powagą zapewnił, że jest bardzo, nad wyraz uradowany. A jego oczy były pełne rozpaczy i dodał, że jest wprawdzie nudny i tępy, ale niech ona się tym nie zraża, bo to już taka jego natura.

— Niestety! — Odparła i zamilkła. Rozmyślała teraz nad tym, siedząc w pociągu i patrząc przez okno na puste pole. Tak. Radość zamieniała się z wolna w zatruty owoc Morza Martwego. Jak inne były jej myśli, kiedy jechała na spotkanie męża!

Była pełna entuzjazmu na widok cudu miłości, stwarzającej życie i pragnęła z głębi serca podzielić swe radosne wizje z ukochanym. Bo tak nazywała Johna w swej wyobraźni.

Myśl o posiadaniu dziecka była dla niej świętym cudem, mało mającym w sobie ziemskiej treści i Amarylis często wyobrażała sobie rozkosznie, jak będzie szeptała swe myśli Johnowi, leżąc na jego sercu; a on również będzie szczęśliwy i pełen uniesienia, bo przecież ta wspianiała tajemnica jest nie tylko jej własna, ale ich wspólna.

Teraz wszystko sposepniało.

Łzy stanęły w jej oczach. Pomyślała, że może znów jej głupia romantyczność prowadzi ją na bezdroża. Dla mężczyzny może to wszystko nie ma żadnego, znaczenia, prócz dumy z posiadania potomka. Jeżeli urodzi się córka, Johnowi może być zupełnie obojętna.

Łza spadła na duży, purpurowy goździk, zatknięty do płaszcza i pochodzący z bukietu przysłanego jej przez Johna, który kazała położyć na półce nad głową.

Na szczęście była sama w przedziale. Nikt nie próbował wejść, a za chwilę pociąg miał ruszać. Znaleźć się z dala od Londynu, wrócić do siebie, jak najprędzej!

Nagle jej myśli pomknęły do Weriszczenki. Powiedział jej, że sprawy jego kraju mogą wymagać częstych przyjazdów do Anglii w najbliższych miesiącach.

Zobaczy go zatem znowu. Co by on jej teraz kazał czynić? Na pewno

radziłby zapanować nad wzruszaniem i rządzić się zdrowym rozsądkiem.

Przyszedł jej na myśl obiad w Carltonie i twarz Denzila, widziana przez stół, tak podpbna, a jednak tak niepodobna do Johna.

Czy gdyby Denzil miał żonę, byłby dla niej tak samo zimny? Czy to takie usposobienie rodzinne u Ardayrów?

W tym momencie pociąg powoli zaczął się poruszać, a do przedziału wpadł odziany w mundur khaki mężczyzna, który omal nie przewrócił się u jej kolan, za nim zaś posługacz wrzucił walizkę i krzyknąwszy, „gotowe proszę pana!” — zatrzasnął drzwiami. Z zaciekawieniem poznała w przybywszu Denzila Ardayre.

— Jak się miewa kuzynka! Na Jowisza! — Bardzo mi przykro

— rzekł, wyciągając do niej rękę. — O mało nie spóźniłem się do pociągu i wpadłem tu nie prosząc o pozwolenie.

Jadę do Bath, pożegnać się z moją matką. Proszę mi przebaczyć, jeżeli kuzynkę przestraszyłem.

— I spojrział zmartwiony szczerze swą nieostrożnością. Amarylis uśmiechnęła się, była zdenerwowana i rozstrojona.

— Wejście twoje kuzynie istotnie było bardzo nagłe. W tym prowincjonalnym samowarze będziemy musieli pogodzić się wzajemnie z myślą przymusowego towarzystwa. Czy cię to cieszy?

— Bardzo! Prawdę mówiąc, jestem tym zachwycony!. Fortuna darowała mu te dwie godziny bez jego starania: miał czyste

sumienie i trudno mu było oprzeć się uczuciu szczerzej radości! Dwie godziny z nią — sam na sam!

Bywają takie niebieskie oczy, w których zda zawsze się czai iskierka chochlika, nawet kiedy są poważne. Denzil miał właśnie takie oczy. Kobiety z trudem opierały się ich urokowi i co prawda nigdy nie starały mu się zbyt silnie opierać. Życie, nauka, praca, polowania, nie pozostawiły im jednak zbyt wiele czasu na psucie go i na szczęście przebył różne przygody bezpiecznie, nie poczuwszy niczego więcej nad przemijające wzruszenie, aż do chwili, gdy znalazł się naprzeciw Amarylis i zdał sobie sprawę, że jest w niej zakochany i stanowi ona krystalizację jego marzeń.

Amarylis obserwowała go, podczas gdy rozmawiali o zwykłych rzeczach, o wiadomościach wojennych i o tym, kiedy pójdzie na front. Czuła się silnie związana z tym człowiekiem, i poprzednie jej przy-

gnębienie zniknęło. Zauważyła, jak słońce, przedarłszy się spoza chmur, oświetliło jego gęste, brązowe włosy. Amarylis nieraz rzeźbiła dla rozrywki, więc umiała ocenić linie i kształty.

Denzil był bardzo dobrze zbudowany, stwierdziła, a nade wszystko **był** taki żywy i energiczny. Był jakby urzeczywistnieniem tego, co ona w marzeniach przypisywała Johnowi podczas jego nieobecności. Denzilowi wydawało się, że rozmawia obojętnie, ale spojrzenie jego było gorące, a atmosfera przesycona wzruszeniem, choć słowa były bez znaczenia. Amarylis czuła, że Denzil jest nią bardzo zajęty.

— Czy znasz kuzynie mego przyjaciela Weriszczenkę? Prawda, że to ujmujący człowiek? Ja w jego obecności zawsze czuję się podniesiona na duchu i wydaje mi się, że muszę dokonać wielkich rzeczy.

— Stefan jest naprawdę nadzwyczajnym człowiekiem. Byliśmy razem w Oxfordzie. On potrafi wszystko, czego zapragnie. Jest muzykiem i artystą, ma dużo zdrowego rozsądku i nie jest zepsuty. Pewnie by doszedł do wysokich godności, gdyby nie to, że został wyrzucony z uczelni.

Amarylis chciała się o nim czegoś więcej dowiedzieć i z zajęciem wysłuchiwała opowieści o szalonych wybrykach Weriszczenki, które tak zgorszyły dziekanów. Z wolna jej nerwy uspokoiły się, stała się naturalna i swobodna, a pomimo że niezwykła sytuacja działała podniecająco na Denzila, to jednak był on zbyt światowym człowiekiem, aby doświadczyć uczucia skrępowania. Rozmawiali więc swobodnie długi czas o różnych zajmujących rzeczach. Gdy wreszcie nastąpiła chwila milczenia, Amarylis wyjrzała przez okno a Denzil zdał sobie sprawę, że musi się mocno trzymać na wodzy i wówczas ogarnął go jakiś radosny szal.

Nagle Amarylis zbladła gwałtownie i powieki jej zatrzepotały; pierwszy raz w życiu omdlała.

Denzil pochylił się wystraszony ku niej, widząc, że skłoniła głowę na poduszki.

— Co ci jest, maleństwo? Czy mogę coś ci pomóc? — Zawołał, nie zdając sobie wcale sprawy z użycia pieśczośliwego imienia, ale Amarylis, choć na pół tylko przytomna, usłyszała to słowo i choć fizycznie była bardzo chora, dusza jej drgnęła z niewypowiedzianej radości. Denzil zbliżył się i podnosząc do góry przegrody między fotelami, podniósł ją

na rękach, jak dziecko i położył płasko na kanapie. Potem wyjął ze swej torby flaszkę i wlał w jej zbiele usta trochę wódki, natarł jej ręce i szeptał słowa współczucia.

— I pomyśleć, że ona czuje się tak dlatego, że... A mnie nie wolno nawet jej pocałować ani pocieszyć lub powiedzieć, że ją uwielbiam i rozumiem.

Wreszcie Amarylis otworzyła oczy i usiadła.

Nie zemdląca całkowicie, tylko na chwilę zniknęło jej wszystko przed oczu i nie wiedziała, co się z nią stało, ani czy Denzil istotnie wypowiedział słowo pieszczoty, czy też nie. Uśmiechnęła się blado.

— Tak się dziwnie poczułam — tłumaczyła się. — Jak to niemądrze! Nigdy jeszcze nie zemdlalam. To głupie!

I nagle zarumieniła się mocno, przypomniawszy sobie przyczynę tego omdlenia.

— Zaraz otworzę szeroko okno — odparł Denzil. — Zmieńmy miejsca. Nie powinna kuzynka siedzieć tak tyłem do maszyny.

Podniósł ją na nogi i ostrożnie posadził na swym miejscu, potem usiadł sam naprzeciwko i patrzył na nią z lękiem.

— Siadłam tak, aby uniknąć kurzu. Naturalnie, że to było powodem, ale zwykle nie jestem taką gąską. Doznałam nieznośności uczucia.

— Biedna mała kochana dziewczynko! — Odrzekł swym głębokim głosem. — Musisz teraz zamknąć oczy i nic nie mówić.

Uśluhała, a on wpatrywał się w nią, leżącą z zamkniętymi oczami, z długimi rzesami, które rzucały cień na blade policzki. Wyglądała tak dziecinnie, a zarazem tak bezbronne, że cała jego istota drżała od pragnienia zaopiekowania się nią. Nigdy w życiu nie doświadczył uczuć tak głębokich, a cała sytuacja była dziwnie skomplikowana. Usiłował sobie uprzytomnić fakt, że nie podróżuje z własną żoną, którą mógłby się troskliwie zaopiekować, dlatego, że ma ona zostać matką jego dziecka, lecz z żoną Johna, którego bardzo mało znał i że nie powinien zajmować się nią bardziej od któregośkolwiek innego członka rodu Ardayre. Mógłby się śmiać z dziwnej ironii losu, gdyby nie była ona tak wzruszająca.

Gdyby Weriszczenko był obecny, to by z radością analizował uczucia, jakie natura budziła w nich obojgu.

Amarylis zdawała sobie jedynie sprawę z tego, że Denzil jest

uosobieniem jej marzeń o Johnie i że jego bliskość sprawia jej przyjemność, a Denzil czuł tylko, że kocha ją nad życie i że musi opanować uczucie i pamiętać o danym słowie. Więc też trzymał się mocno, gdy ona otworzyła oczy i z wolna atmosfera podniecenia uspokoiła się. Zaczęli mówić o swych gustach i upodobaniach i odkryli, że mają wiele ze sobą wspólnego oraz że oboje są tak czytani, że z łatwością mogą dyskutować na temat swoich ulubionych autorów.

Cicha sympatia i porozumienie rosły między nimi, zanim dojechali do Westbury, a jednak Denzil szczerze usiłował dotrzymać danego słowa tak co do litery, jak co do ducha.

Amarylis była swobodna i bardziej przyjacielska, niż z jakimkolwiek innym tak krótko znanym mężczyzną. Przecież byli krewnymi, więc to było zupełnie naturalne.

Mówili o Oxfordzie i o wpływie jego na młodzież i znowu o Werisz-czence i o jego marzeniach, podzielanych niegdyś przez Denzila.

— Czy wejdiesz do parlamentu, gdy powrócisz z wojny? — spytała go. — Twoje marzenia staną się rzeczywistością.

— Taki mam zamiar. Wojna może potrwać jeszcze długo, ale powinna nas czegoś nauczyć, a po wojnie Anglia będzie zupełnie innym krajem i może ci młodszy ludzie, którzy się bili, będą mogli przyjść do głosu.

— A jakie są twoje zamierzenia?

— Sądzę, że pierwszą rzeczą będzie to by dać ludowi lepsze mieszkania. Sprawa mieszkaniowa jest kwestią, której zamierzam poświęcić moją energię. Jestem przekonany, że jej zaniedbanie jest korzeniem wszystkiego złego. Każdy pracujący, mężczyzna czy kobieta, ma prawo do dobrego domu. Mam takie dwa cele; ten jest pierwszy a drugim jest usunięcie marnotrawców i głupców. Jestem bezwzględny, może tak pomyślisz, ale zwykle tyle się miesza wstrętnego sentymentalizmu do planów poprawy bytu robotników. Zgadzam się ze Stefanem, który zawsze głosi zasadę: „Patrzcie na rzecz z punktu widzenia zdrowego rozsądku. Najpierw wyluskujcie ziarno z plewy konwencji i sentymentu, a potem będziecie mogli sądzić”.

Amarylis zamyśliła się; jej duże oczy zdradzały skłonność do marzeń, a głowa leżała odrzucona w tył. Denzil zauważył piękną linię jej białej szyi i brody. Czemu takie kobiety jak ona zawsze były własnością innego

mężczyzny? Nigdy nie spotkał takiego czaru u dziewczyny. A może dopiero małżeństwo dodaje im tyle uroku? Oboje milczeli kilka minut zajęci myślami.

— Pragnę działać — rzekła wreszcie Amarylis — nie tylko ciągle szyć koszule i robić pończochy. — Po czym zaraz jej twarzyczka zarumieniła się, bo przyszło jej na myśl, że przez długi czas nie będzie zdolna do żadnej cięższej pracy, a potem naturalnie, będzie już po wojnie.

Denzil to samo pomyślał, tylko bez tej ostatniej uwagi. Nie miał on żadnych złudzeń, co do szybkiego końca walki. Nie mógł nie myśleć

O tym, czym dla niego byłaby nadzieja posiadania syna, gdyby ona istotnie była jego żoną; jaką miłością i przyjaźnią otoczyły ją w tych miesiącach, które miały nastąpić. Jakby ze sobą mówili o swych pragnieniach i życzeniach, o tajemnicy i ewolucji życia. Myśląc podobnie, Amarylis zarumieniła się cała, ale nie wolno im było słowa zamienić na temat tej sprawy. Pragnął pytać ją o tyle rzeczy i doznał uczucia silnej zazdrości. Przecież ona swoje zwierzenia chowa dla Johna, dla niego zatrzymuje wszystkie swe wzruszające myśli, rozbudzone przez macierzyństwo. Potem zastanawiał się nad tym, co ona sama będzie robić przez całą zimę. Czy ma kochających krewnych? Pragnąłby bardzo, żeby Amarylis mogła poznać jego matkę, która była bardzo dobrą i wyrozumiałą staruszką. Głośno odezwał się:

— Chciałbym, żebyś mogła spotkać moją matkę. Ona będzie cały miesiąc w Bath. Ma silny reumatyzm w nodze, którą złamała przed pięciu laty. Zdaje mi się, żebyś ją polubiła.

— Bardzo bym się cieszyła. To nie tak daleko od nas. Mogę pojechać i odwiedzić ją, jeżeli opowiesz jej o mnie i przygotujesz na moją wizytę.

— Ona się bardzo ucieszy. — I pomyślał, że będzie mu lżej na duszy, gdy te dwie kobiety poznają się bliżej.

— Czy bardzo ją kochasz? Bo niektóre matki są wszystkim dla dzieci

— rzekła z westchnieniem; jej własna matka była chłodna, nigdy nie były sobie bliskie a teraz drugi mąż i jego dzieci pochłaniały resztki jej uczuć.

— Ona jest bardzo kochana; to jeden z mych najlepszych przyjaciół

— rzekł z promiennym wzrokiem. — Zawsze byliśmy przyjaciółmi, bo nie miałem rodzeństwa. Zdaje mi się, że ona mnie psuła.

— A ja myślę, że ty byłeś zupełnie grzecznym, małym chłopczykiem.

— Z uśmiechem odparła Amarylis — I że to musi być bosko mieć syna. Zdaje mi się, że bardzo łatwo go rozpieścić. Denzil zacisną dłonie; wyglądała tak uroczo, gdy mówiła te słowa, a oczy jej były pełne tkliwej nadziei. Jakże nieznośne było, że oni mieli na zawsze pozostać obcymi, dalekimi kuzynami i... niczym więcej.

— Co za wielka odpowiedzialność, gdy się posiada dzieci. — Rzekł, obserwując ją bacznie. — Czy nie myślisz tak samo?

Zaróżowiła się znów i odrzekła uroczyście:

— Tak.

Po czym pospiesznie zaczęła mówić:

— Chciałoby się poznać ich charaktery i prowadzić je do najwyższego dobra, tak jak ogrodnik czuwa nad kwiatami, aż dojdą do doskonałego rozkwitu. Ale o jakich poważnych rzeczach my mówimy.

— I roześmiała się nerwowo. — Jak dwoje starych filozofów.

— Lubię mówić o poważnych rzeczach. Tak rzadko spotyka się kogoś, z kim można o nich mówić... kto je rozumie.

— Rozumie? — westchnęła. — Ach! Jak cudne byłoby życie, gdyby... — urwała nagle.

Gdyby dokończyła zdanie, słowa jej zawierałyby krytykę Johna.

Denzil pochylił się naprzód. Co ona chciała powiedzieć?

Ujrzała jego niebieskie oczy wpatrzone w nią tak głęboko i przeszedł ją gorący dreszcz. Ale Denzil oprzytomniał i oparłszy się o fotel, zmienił nagle temat rozmowy.

— Nigdy nie widziałem zamku Ardayre. Chciałbym spojrzeć na naszych wspólnych przodków. Ojciec mój nieraz opowiadał, że jest tam portret Denzila z czasów Elżbiety, który podobny jest do mnie. Myślę, że wszyscy mamy wspólne cechy rodzinne.

— Ja go znam! — Zawołała Amarylis z radością. — To ten na końcu galerii w białej kryzie i w bufiastym jedwabnym stroju. Ma zupełnie takie same oczy.

— Cała rodzina jest podobna; my jesteśmy upartą rasą.

— Jeżeli John i ty dostaniecie urlop na Boże Narodzenie, to musisz przyjechać z nim i spędzić go w Ardayre. Do tej pory ja poznam twoją matkę i namówimy ją także na przyjazd.

Opowiedział coś uprzejmego, czując równocześnie, że John nie

poprzez tego zaproszenia. A jakby on sam postąpił na jego miejscu? Jakkolwiek położenie jego było trudne, położenie Johna było jednak o wiele cięższe.

Pociąg zatrzymał się w Westbury.

Denzi wyszedł kupić dzienniki, których wskutek pośpiechu nie zdążył nabyć w Paddington, a po drodze dał napiwek konduktorowi, tak że pewien starszy pan, usiłujący dostać się do tego wagonu, został umieszczony w innym przedziale, a Denzil i Amarylis pozostali sami, gdy pociąg ruszył w dalszą drogę.

Amarylis przysłała już do siebie i wyglądała prawie jak zwykle, z wyjątkiem fioletowych cieni pod oczami. Rzuciła okiem na gazety, które jej podał, a Denzil zasłonił się Times'em. Chciał myśleć; musi uważać na siebie, aby się nie zdradzić. Musi stłumić wszelkie wzruszenie, jakie ona w nim obudziła: Denzil brzydził się wszelką słabością.

Pomyślał o słowach Weriszczenki, że prawo jest bezsilne wobec czynów ludzkich, powodowanych instynktem naturalnym, chyba że człowiek bada sam siebie i w ten sposób zyskuje jasną świadomość swych motywów działania i pozwala duchowi wziąć górę nad instynktem. Przypomnił sobie, że nieraz w przeszłości postępował inaczej, ale teraz wchodził w grę jego honor, niezależnie od przekonania, zgodnego z ulubionym powiedzeniem Stefana, że mężczyzna nie powinien nigdy splamić się niemoralnym czynem. Również wspomniął ich częste dysputy na temat dogadzania sobie i o prawdziwości zdania, że tylko wtedy można sobie dogadzać w czymś, gdy ta rzecz jest nam podległa, a nie rządzi nami.

On sam miał uczucie szczęścia przez dwie godziny jazdy do Westbury i o mało co nie zaczęło ono nad nim panować, więc teraz czas nim zawładnąć, czas nie tylko zaprzestać słodkich słówek i igrania z zakazanymi tematami, ale przestać czuć i kochać.

Zmusił się więc do czytania nowin wojennych i wyobrażania sobie okrutnej rzeczywistości zamaskowanej w słowach urzędowych komunikatów. I powoli uspokoił się, tak że go przestraszył głos Amarylis, która ukradkiem go obserwowwała i zaczęła się dziwić jego przejęciu się lekturą, więc nieśmiało zapytała:

101

— Czy możesz podnieść trochę okno? Zaczyna być zimno. Zauważyła jego zaciśnięte usta i roztargnione spojrzenie. Wówczas Denzil przemówił, zupełnie swobodnie, ale mówił już tylko o wojnie, umyślnie tak długo, że Amarylis położyła się w swym kąciku i zamknęła oczy.

— Chcę się trochę zdrzemnąć — rzekła.

I ona również zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa leżącego w dalszej rozmowie na tematy osobiste: uświadomiła sobie, że Denzil ją interesuje i że jest on zupełnie niepodobny do Johna.

Jakiś czas trwali w milczeniu, a gdy pociąg dojeżdżał do Frome, on odezwał się pierwszy. Rozmyślał bowiem nad tym, co powinien teraz uczynić. Wysiąść i zostawić ją, by uzyskać połączenie do Bath? Czy też wyrzec się tego, a ją odwieźć bezpiecznie do domu i może nająć auto z Bridgeborough?

To ostatnie było jego gorącym pragnieniem i wydawało się mu jedynie rycerskim zachowaniem wobec Amarylis, bardzo jeszcze bladej, ale...

— Otóż jesteśmy już we Frome — rzekł.

Jej zdziwione oczy wyrażały zakłopotanie. Jak okropnie będzie zostać samą. Zostawiła swoją pokojówkę na parę dni w Londynie.

— Ty tutaj przesiadasz się do Bath? — Wyjąkała niepewnie.

On zaś błyskawicznie się zdecydował. Nie, nie mógł być barbarzyńcą. Obowiązek i pragnienie tworzyły jedno.

— Tak, ale ja pojedę z tobą. Nie zostawię cię, aż zobaczę, że jesteś w swym aucie. Może wówczas będę mógł wynająć jakiś wóz, aby odbyć resztę drogi.

Doznała ulgi, a może myślała tylko, że to uczucie ulgi tak ją podniosło na duchu.

— Jaki ty jesteś dobry! Nie bardzo mi się uśmiechała samotna jazda. To niemądrze. Ale w Bridgeborough nie dostaniesz auta, którym byś mógł dojechać na miejsce przed nocą, tam są same stare graty, musisz więc pojechać ze mną do Ardayre, to po drodze do Bath, zjeść lunch, a potem ja ci dam mój samochód. W ten sposób przybędziesz do Bath za godzinę, na herbatę.

To była nowa, potężna pokusa. Usiłował rozważyć to tak, jak zwyczajną sytuację, kiedy to dokonuje się jakiegoś wyboru. Gdyby nie

to wzruszenie i zajęcie się Amarylis, nie zawahałby się ani na chwilę. A więc trzeba opanować się i tak się zachować, jak w najbanalniejszej sytuacji; będzie to dobrą próbą siły charakteru.

— Bardzo dobrze! Doskonale! I będę mógł przy okazji zwiedzić Ardayre.

Gdy znaleźli się w aucie blisko siebie, Denzila opanowała silna pokusa, aby objąć Amarylis i przytulić do siebie. Z największym wysiłkiem woli zdołał się powstrzymać od chwycenia jej w objęcia. Starał się patrzeć przez okno i interesować się parkiem, w który wnet wjechali. Powtarzał sobie, że Ardayre zasługuje na jego uwagę i wyteżał oczy, by dojrzeć dom, ale to wszystko zdołało zaledwie zewnętrznie go uspokoić, bo w myślach jego trwał dalej bunt.

Amarylis trochę odczuwała to, że Denzil mimo wszystko nie był spokojny i jej własne serce zaczęło bić mocno.

Dużo mówiła o miejscowości i jej historii i oboje z uczuciem ulgi powitali widok domu.

W hallu pachniały powitalnie drwa płonące na kominku, a stary służący nie mógł powstrzymać zdziwienia na widok podobieństwa Denzila do swego pana.

— To jest kapitan Ardayre, Filsonie — rzekła Amarylis — kuzyn sir Johna, — Po czym wydała rozporządzenia szoferowi, aby zawiózł Denzila do Bath.

Przeszli przez wewnętrzny hall w stylu Henryka VII do zielonego salonu, zacisznego i wygodnego, pomimo wielkich rozmiarów i wspaniałości.

Nie było tu portretów, lecz tylko piękne obrazy szkoły holenderskiej, a duże, płowe psy wstały, aby powitać swą panią i zostały przedstawione nowemu „krewnemu”.

— Zaraz zjemy lunch — rzekła — a potem przebiegniemy galerię portretów, zanim odejdiesz do Bath.

Oboje starali się mówić o rzeczach zwyczajnych, nim podano posiłek, ale coś opętało Amarylis, która zachowując ściśle przepisy dobrego tonu, jednak stawała się coraz bardziej czarująca. Twarz jej nabrała kolorów, a oczy błyszczały. Nie umiała sama wytłumaczyć swego usposobienia; była podniecona i promienna.

Denzil staczał zażartą walkę ze sobą w następstwie czego stał się niemal szorstki. Cierpiał naprawdę.

Musiał podziwiać ją w roli pani domu; w całym urządzeniu i porządku domowym znać było jej rękę. Denzil pochłonięty myślą

O niej, na nic innego nie mógł zwrócić uwagi, choć kiedy indziej zapewne zainteresowałby go zamek.

Teraz jednakże Amarylis ześrodkowała w sobie wszystkie jego uczucia; wiedział, że albo musi wyznać jej swą gorącą miłość, albo czym prędzej stąd uciec.

— Czy masz zamiar pozostać tu przez całą zimę? — Spytał ją teraz, wstając od stołu — czy też wyjedziesz do Londynu? Będziesz zbyt samotna, jeśli tu pozostaniesz?

— Lubię wieś i nauczyłam się kochać to otoczenie. John tego pragnął. Dla niego Ardayre znaczy więcej niż cały świat. Ja pozostanę tu w każdym razie na Boże Narodzenie. Ale chodźmy, chcę ci jeszcze pokazać kościół, bo są tam dwa nagrobki naszych przodków, twoich

1 moich. Możemy wyjść tędy, balkonem, a wrócimy na czarną kawę do cedrowego pokoju.

Denzil zgodził się, bo pragnął bardzo widzieć ten kościół. Za parę minut Amarylis otworzyła drzwi własnym kluczem i wprowadziła go w głąb nawy, gdzie leżeli zmarli dawno rycerze, po czym szeptem zaczęła opowiadać mu ich dzieje. Stała w miejscu, gdzie smuga światła słonecznego, odbitego od szyby, złocistą aureolą otoczyła jej włosy.

— Chciałbym wiedzieć, jakie było ich życie — rzekł Denzil. — I czy oni także żyli i kochali i zwalczali swe pragnienia, tak jak my. Twarz tego młodego wygląda tak, jak gdyby nieraz nie umiał opanować swych namiętności. Stefan powiedziałby o nim, że dogadzanie sobie było jego panem, a nie podwładnym.

— Weriszczenko jest nadzwyczajnym człowiekiem, budzi w każdym pragnienie silnego charakteru — westchnęła Amarylis. — Ciekawa jestem, ilu z nas usiłuje przynajmniej zacząć zwalczać swe pragnienia?

— Człowiek musi być zawsze silny, jeżeli chce osiągnąć cel, ale czasem ludzie kierują się tylko honorem; słabość charakteru budzi litość.

— Co jest honorem? — Jej oczy pytające i smutne patrzyły na niego. - Czy to, że człowiek ulega prawom rycerskości, czy też jakiemuś wyższemu nakazowi własnego ducha?

Denzil oparty o nagrobek zamyślił się głęboko, po czym spojrzał jej prosto w oczy, mówiąc:

— Honor polega na tym, by nie zdradzić czyjegoś zaufania, ani co do litery, ani co do ducha.

— Zatem gdy o kimś mówimy: ten człowiek postąpił z honorem, to znaczy, że nie zdradził zaufania położonego w nim, nawet jeżeli ono powstało tylko wskutek zbiegu okoliczności, a nie z woli danej osoby?

— Tak, to znaczy po prostu dochować wierności. Gdyby ktoś ukradł pieniądze przyjacielowi, niehonorowym czynem byłaby nie kradzież (to znów inna zbrodnia), ale oszustwo popełnione na przyjacielu.

— Więc zdrada jest czynem niehonorowym?

— Naturalnie!

— Czy ten rycerz — tu dotknęła dłonią marmurowej twarzy — powiedziałby, że musi zabić drugiego, który mu ukradł żonę, aby pomścić swój „honor“?

— To właśnie stanowi konwencjonalną stronę rzeczy. To jest właśnie, jak mówi Stefan, przeszczepianie pewnych idei, aby służyły cywilizacji. Bardzo było wygodnie dogodzić osobistej żądzy zemsty i uczyć ludzi, że nie wolno im niczego bezkarnie kraść. Gdybyśmy zanalizowali ten rodzaj honoru, okazałoby się, że była to zwyczajna próżność. Niehonorowo postąpiła żona, zdradzając męża oraz ten drugi, jeżeli był jego przyjacielem; jeżeli zaś nim nie był, tu uprowadzenie żony nie było czynem niehonorowym, bo nie posiadał niczyjego zaufania, była to więc prosta kradzież.

— A więc co właściwie należy czynić, gdy się jest wystawionym na silne pokusy? — Spytała tak cicho, że ledwie mógł ją usłyszeć.

— Czasem najlepszą rzeczą jest ucieczka — odparł i odwróciwszy się począł zmierzać ku drzwiom.

Amarylis poszła za nim zdziwiona. Sama nie wiedząc po co wszczęła tę dyskusję. Czowała, że przez cały dzień była dziwnie niezrównoważona.

Wrócili w milczeniu do domu i przez zielony salon weszli na szerokie schody, gdzie całą ścianę zajmowało malowidło sir Wiliama Hamiltona, przedstawiające dekoracyjną grupę rodzinną Ardayrów.

Wreszcie znaleźli się w cedrowym pokoju i zastali tam kawę i papierosy.

Dziwne napięcie panowało między nimi, a każde z nich wiedziało że drugie jest niespokojne. Amarylis zaczęła mu pokazywać widok

z **okien na** park, następnie stary kominek i wyłożone dębowymi taflami ściany.

— My zwykle tu przesiadujemy, gdy jesteśmy sami — rzekła. — Ja wolę ten pokój niż tamte wszystkie.

— Stanowi on stosowne dla ciebie ramy. Zapalili papierosy.

Denzil chciał jej wiele rzeczy powiedzieć o tym domu i o wrażeniu, jakie wywarł na nim ten pobyt, ale wstrzymał się. Chodziło o to, żeby jak najprędzej odjechać. Udali się do galerii i zaczęli ją zwiedzać od końca, a gdy doszli do Denzila z czasów królowej Elżbiety, Denzil stanął na chwilę. Istotnie podobieństwo portretu i patrzącego nań żywego imiennika było nadzwyczajne.

Tymczasem Amarylis myślała:

— Gdyby też John miał to coś w sobie, co mają ci dwaj w oczach, jacy bylibyśmy szczęśliwi! A Denzil tymczasem rozważał;

— Ufam, że dziecko będzie do mnie podobne.

Czuł, że byłoby to pewną satysfakcją dla niego, gdyby jej syn był do niego podobny.

— Jakie to dziwne — zauważyła Amarylis — że ty jesteś zupełnie podobny do tamtego Denzila, a jednak przypominasz Johna, który do niego wcale podobny nie jest, chyby podobieństwem ogólnie rodzinnym. Ten portret mógł być malowany dla ciebie.

Spojrzał na nią nagle i nie zdołał stłumić czułości, odbijającej się w jego oczach. Myślał właśnie o tym, że dziecko musi być na pewno do niego podobne, a wtedy jaką wieść z jego oczu wyczyta matka?

Amarylis była niespokojna. Pragnęła go spytać, co oznacza to uczucie i dlaczego prześladowuje ją jakieś złudne wspomnienie. Zmieszła się i przeszli do następnego portretu lady Amarylis, o której cudownych włosach pisano niegdyś sonety. Była to piękna osoba, ale nie podobna zupełnie do obecnej pani Ardayre.

Denzil spoglądał na nią przez chwilę, po czym rzekł zamyślony:

— Ona jest ukochaną, ale to nie ty!

Było coś czulego w jego głosie, gdy wypowiedział to słowo „ukochana” i Amarylis wstrzymała oddech. Coś jej to przypominało, coś bardzo szczęśliwego, cichy szept wypowiedziany do ucha w nocy. Ukochana! Słowo, które John niestety nigdy przedtem ani potem nie użył,

z wyjątkiem jednego listu, w odpowiedzi na jej list pełen uniesienia i szczęścia. Słowo to budziło jakieś echa w jej sercu. Jakże podobny był głos Denzila do głosu Johna, tylko trochę niższy. Czemu on powiedział to słowo „ukochaną”?

Nie mogła niczego jasno sobie przypomnieć, miała uczucie, że patrzyła przez chwilę na odległą scenę, budzącą echa w jej pamięci, a potem zasłona spadła, zanim zdołała wizję dobrze zapamiętać.

Czuła się zdenerwowana, a Denzil, obróciwszy się do niej, spostrzegł jej bladą twarz i niespokojne oczy.

— Jestem pewny, że to pokazywanie całego domu męczy cię, kuzynko. Nie będziemy już patrzeć na inne portrety, a poza tym ja muszę już odjechać.

Nie zaprzeczała mu.

— Obawiam się, że musisz jechać, jeżeli chcesz przybyć na miejsce za dnia.

I kiedy wrócili do zielonego salonu, powiedziała parę uprzejmych słów o poznaniu z jego matką i starała się być bardzo prosta i swobodna, ale ręka podana mu na pożegnanie, gdy Filson oznajmił, że auto czeka, była jak lód.

I o ile oczy jego w galerii portretów wyrażały namiętne wzruszenie, o tyle teraz jej własne pełne były pytań i rozpaczy.

— Do widzenia, Denzilu.

— Do widzenia, Amarylis. — Nie mógł się zdobyć na zwyczajne banalne zwroty i w milczeniu poszedł ku drzwiom. W tym momencie Amarylis doznała olśnienia. Strach i niepewność zalały jej umysł jak potop.

— Denzilu!

Zawrócił z niepokojem. Po co ona go wołała?

— Denzilu! — Twarz jej stała się jeszcze bledsza, a w oczach było widoczne przerażenie i prośba.

— Ach! Powiedz mi, co to wszystko znaczy?— i upadła w jego ramiona.

Chwycił ją bez tchu. Czy zemdląca? Nie. Stała wciąż na nogach, ale twarzyczka leżąca na jego piersi była biała jak lilia, a spod zamkniętych powiek wymykały się łzy.

— Na Boga! Denzilu, czy nie masz mi nic do powiedzenia? Nie zostawiaj mnie tak!

Zadrżał z bólu.

— Nic, dziecko. — Głos jego był ochryply. — Jesteś rozstrojona. Nie mogę ci nic powiedzieć, tylko do widzenia.

Trzymała się jego płaszcza patrząc błędnym wzrokiem.

— Denzilu, to byłeś ty, nie... John! Rozplótł jej rękę.

— Muszę iść.

Nie, nie pójdziesz póki mi nie odpowiesz. Mam prawo wiedzieć.

— Już ci mówiłem, że nie mam ci nic do powiedzenia — był wprost surowy wskutek cierpienia moralnego, jakie mu sprawiał przymus milczenia.

Chwyciła się go kurczowo.

— Czemu więc użyłeś słowa „ukochana”? To było twoje słowo? O! Denzilu, nie powinieneś być tak okrutny i zostawiać mnie w niepewności, powiedz mi prawdę, inaczej umrę!

Ale on wyrwał się z jej ramion i milczał.

Nie mógł kłamać, że jej nie rozumie, więc pozostawało mu tylko jedno: odejść, choć brutalność takiego postąpienia sprawiała mu ból.

Ona zaś wybuchnęła płaczem i o mało nie upadła na ziemię. Denzil pochwycił ją i zaniósł na pobliską sofę; po czym zdjął go strach. Co będzie, jeżeli ona rozchoruje się naprawdę z tego wzruszenia i podniecenia.

Ukląkł przy niej i gładził jej włosy. Ale ona łkała jeszcze mocniej.

— Jacy mężczyźni są okrutni! Czemu nie możesz mi odpowiedzieć na pytanie? Nawet nie śmiesz udawać, że nie rozumiesz!

Czuł, że milczenie jego stanowi przyznanie się; był nieszczęśliwy.

— Kochanie! — Zawołał w rozpacz. — Na Boga, daj mi odejść!

— Denzilu. — I płacz jej ustał, a tylko ostatnie łzy błyszczały na białych policzkach. Płacz jej nie szpecił, wyglądała jak cierpiące dziecko.

— Denzilu, gdybyś wiedział wszystko, nie mógłbyś mnie opuścić. Ty nie wiesz co zaszło, ale będziesz musiał się niedługo dowiedzieć.

Pochylił głowę i położył obie jej ręce na swym czole z gestem rozpacz.

— Cicho, błagam cię! Nic nie mów. Ja wiem, ale kocham cię — muszę odejść!

Wówczas Amarylis wydała radosny okrzyk i przyciągnęła go do siebie.

— Teraz nie pójdziesz! Nic mnie już nie obchodzą prawa ani etykieta! Jestem jak człowiek pierwotny! Ty jesteś mój! John musi wiedzieć o tym. Jemu chodzi tylko o ród; ja jestem tylko narzędziem i środkiem do osiągnięcia trwałości rodu, ale my, Denzilu, jesteśmy oboje młodzi, kochamy i żyjemy. Ja ciebie pragnę i teraz wiem, że do ciebie należę. Ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą, a dziecko będzie naszym dzieckiem! Nikt ze znajomych łagodnej Amarylis nie poznałby jej w tej dzikiej, pierwotnej kobiecie, żądającej ukochanego mężczyzny.

Szalona, wzajemna namiętność ogarnęła Denzila. Była to chwila decydująca, w której prysnęły wszystkie nakazy i tradycje cywilizacji, a natura wzięła górę i ze wszystkich sił pracowała dla tych dwojga ludzi, zbliżonych do siebie przez los.

Porwał ją w objęcia i całował w usta, oczy i szyję.

— Moja, moja — wołał — moja ukochana!

I na kilka chwil, które zdawały się im wiekiem szczęścia, zapomnieli

O wszystkim prócz swej radości.

Ale teraz Denzil przypomniał sobie rzeczywistość i prawie jęknął.

— Muszę mimo tu opuścić cię, ukochana. Dałem słowo honoru Johnowi, że nigdy nie wykorzystam sytuacji. Los nam kazał się spotkać

I przytłoczył nas siłą. Zdaje mi się, że nie jesteśmy bardzo winni, ale to nie uwalnia mnie od danego słowa. To wszystko jest straszną ceną, którą zapłacić musimy za rodową pychę. Kochanie, dopomóż mi znaleźć odwagę do spełnienia obowiązku.

— Nie chcę! To wstrętne okrucieństwo! — I przytuliła się do niego — my mamy się rozstać teraz, gdy jestem naprawdę twoją, a nie Johna? Cała moja istota pragnie ciebie, ty jesteś rzeczywistością mego marzenia, twój obraz przyświecał mi przez tyle miesięcy. Kocham cię, Denzilu i ty masz prawo pozostać ze mną teraz i opiekować się mną, a ja powiedzieć ci wszystko, co myślę o dziecku. Ach! Gdybyś wiedział, co ono dla mnie znaczy! Co za radość, podziw i rozkosz! Nie mogę dłużej milczeć! ginę z głodu, z zimna, pragnę wszystko wypowiedzieć memu najdroższemu!

Przytulił ją znów do siebie, a ona wypowiadała mu swe najświętsze tajemnice i myśli, on zaś słuchał z zachwytem, zapominając o czasie i miejscu.

— Denzilu! — Wyszeptała w końcu — czułam się tak dziwnie szczęśliwa od tej chwili, a teraz będę zawsze miała w pamięci ciebie i moją miłość. Ale co będzie w przyszłości? Czyż mogę udawać wobec Johna? Nie potrafię. Powiem od razu całą prawdę. Dla mnie ty jeden istniejesz, nie tylko ten Denzil z ostatnich dni, od czasu gdy cię ujrzały me oczy, lecz także ten, o którym śniłam i którego kochałam, jako mego najdroższego, moje szczęście. Czyż będę mogła szeptać z Johnem

0 moim szczęściu, patrząc na wzrastające dziecko? Nie, to byłoby rzeczą potworną, groteskową. Nie mam siły znieść tego bólu. John oddał mnie tobie. Myślał, że tak musi uczynić. Był to pakt między wami dwoma zawarty w interesie rodu i gdyby nie to, że ja cię kocham, nienawidziłabym teraz ciebie, a sama zabiłabym się. Ale ja ciebie kocham! — I zarzuciła znów ręce na jego szyję. — Musisz ponieść skutki swego czynu. Ja o to nie prosiłam, John zrobił to dla własnych celów, ale teraz musicie liczyć się ze mną. — Policzki jej pałały i oczy płonęły.

— I ja ciebie kocham, ale nie mam wyboru, nawet gdybyś była moją żoną, a nie Johna. Zapominasz o wojnie. Muszą iść walczyć.

Cała jej namiętność opadła i Amarylis oparła głowę o poduszki sofy

I zamknęła oczy. Istotnie, zapomniała o tym krwiożerczym molochu, zajęta losem ukochanego i własnym.

Tak, on musi iść walczyć, a John również, obaj mogą zginąć, tak jak tylu znajomych, jak jej kuzyn i ci, co polegli pod Mons i w bitwie nad Marną.

Nie, nie wolno jej być tak nędzną i myśleć tylko o sobie i swoich sprawach, nawet gdy idzie o miłość. Musi wznieść się ponad egoizm i nie utrudniać mężczyźnie spełnienia obowiązku. Twarzyczka jej przybrała wyraz zrezygnowany i-smutny, a Denzil, zapatrzony w nią, czekał na jej odpowiedź.

— To prawda — odparła — na razie nie myślałam o niczym tylko o tobie i o sobie. Ale ty masz słuszość, Denzilu, nie mogę ciebie zatrzymywać. Cieszę się tylko, żeśmy zakosztowali choć, tej jednej chwili szczęścia. Denzilu, ja wierzę w to, że nasze dusze należą do siebie, nawet gdybyśmy się już nigdy nie spotkali na ziemi.

Kiedy nareszcie rozstali się i Amarylis usłyszała turkot motoru, wstała z sofy i wyszła do parku i do kościoła, a tam upadła na stopnie nagrobka młodego rycerza, łkając i modląc się. Pozostała tak aż do zmierzchu.

* * *

Parę dni przed odjazdem do Francji Denzil jadł obiad w towarzystwie Weriszczenki. Przygotowania do wyjazdu na front zajęły mu tyle czasu, że nie mógł myśleć o swych osobistych zmartwieniach. Czuł się nieszczęśliwy, ilekroć wspomniał Amarylis, lecz był mężczyzną, toteż inny silny instynkt zaprzętał jego istotę — ochota do walki. Weriszczenko był przygnębiony. Jego ojczyzna nie dawała mu sposobności do spełnienia się jego marzeń, toteż gryzł się, że musi kierować akcją z tak daleka.

Siedzieli w spokojnym kącie sali u Berkeley'a i rozmawiali cichymi głosami.

— Mam już tego wszystkiego dość — rzekł wreszcie Weriszczenko. — Mam ochotę czasami z tym wszystkim skończyć!

— I zadać kłam swojej filozofii. Nie bądź szaleńcem Stefanie! Mówiłem ci zawsze, że w temperamencie każdego Rosjanina leży pociąg do samobójstwa. Teraz odezwał się on w tobie. Wypij jeszcze tę szklanę szampana, stary, a nabierzesz z powrotem rozumu. Przykro jest okaleczyć, lub być zabitym, z obowiązku, ale zabijać się umyślnie to szaleństwo i głupota. Piję z tobą! — I zawołał kelnera. Zamówił szampana, pokazując w uśmiechu swoje mocne, zdrowe zęby.

— Oni nie mają przyzwoitej wódki, ale koniak ją zastąpi. — I zaraz jego usposobienie zmieniło się, zanim przyniesiono trunki.

— Wiem Denzilu, że gdy mówię takie głupstwa, to jest to echo któregoś poprzedniego życia.

To jest wsłuchiwanie się w długie miesiące ciemności, smutku i śniegu, w wycie wilków i świst knuta. To życie nie jest moim pierwszym rosyjskim życiem, jak wiesz!

— Możliwe, że nie, ale w każdym razie zawsze musiałeś mieć rozumnych ludzi przy sobie, gdyż w przeciwnym razie, przy twoich rozstrojonych nerwach, byłbym cię znalazł już dawno otrutego werona-lem lub innym jakimś paskudztwem. Jednak jestem o ciebie spokojny, Stefanie, jesteś zasadniczo zdrów.

— Cieszy mnie, że tak myślisz. Anglicy rzadko nas rozumieją.

— Dlatego, że wy sami siebie nie rozumiecie. Jesteście zbiorowis-

111

kiem wszystkich wad i zalet, a nie umiecie ich odpowiednio używać. Nie macie obawy przed opinią, jak my, nie lękacie się wyglądać na wariatów, więc u was każde silne wrażenie wywołuje wybuch. Żaden z nas, mając połowę waszej inteligencji, nie powiedziałby tak głupiego słowa, przeciwnego wszystkim zasadom, pod wpływem chwilowej depresji i niepowodzenia

Weriszczenko roześmiał się.

— Dalej, Denzilu! Wypuść parę! Już mnie przekonałeś!

— Dobrze, nie bądź na drugi raz takim głupcem.

— Nie będę. Jak się miewa lady Amarylis? Denzil spojrzał na niego uważnie.

— Dlaczego się pytasz?

— Ponieważ pisała do mnie i jadę ją odwiedzić.

— W takim razie wiesz, jak ona się ma?

— Domyślam się. Słuchaj, Denzilu! Staraj się być otwartym ze mną. Znasz mnie dobrze i wiesz, czy można mi ufać czy nie. Wiesz i to, że kocham ją duchem. Ty i jej małżonek idziecie na śmierć, a jednak tak po angielsku skryci, że nie możesz zdobyć się na jedyne rozumne wyjście, to jest na powiedzenie mi wszystkiego, tak, żebym mógł zaopiekować się nią i dzieckiem z jego prawami, w razie twojej śmierci. Ty jesteś niemądry, nie ja! Że ja trochę się upiję i w złym humorze mówię o samobójstwie, to jest czarne gadanie, ale ja nie namawiałbym cię do zwierzeń, bo nie uważam za właściwe mówić o kobiecie, nawet w celu zapewnienia jej opieki i korzyści. Mam więcej zdrowego rozumu. W przyszłości mogą powstać zakłócenia z Ferdynandem, a chcę znać całą prawdę, aby móc go zniszczyć. Jeżeli zaś ty masz jakieś ukryte karty w zanadrzu, to nie będę mógł tak skutecznie bronić pani Amarylis.

Denzil odłożył na chwilę nóż i widelec, czuł, że przyjaciel ma rację, ale trudno mu było mówić.

— Powiedz mi Stefanie to, co ty wiesz, a ja zobaczę, co potrafię zrobić. Nie dlatego, żebym ci nie ufał, tylko że cała moja istota wzdryga się przed wypowiedaniem pewnych rzeczy.

— Oto znów samolubstwo i konwencja. Myślisz z punktu widzenia Anglika, a nie troszczysz się o dobro tej kobiety, którą kochasz; wiem o tym z jej listu, że tyją kochasz, a ona ciebie. Domyślam się, że dziecko

jest twoje, a nie Johna, ale jakim cudem, skoro nie widziałeś jej przed spotkaniem w Carlton, tego nie wiem.

Denzil wychylił szampana, a potem w paru słowach wytłumaczył Rosjaninowi całą historię.

Weriszczenko zapalił papierosa i puszczał kłęby dymu.

— A więc biedny John ułożył ten plan, a jednak on ją kocha! Musi być opętany troską o ciągłość rodu.

— Tak jest, przy tym jest to człowiek niesłychanie zamknięty w sobie i pewien jestem, że zmroził on Amarylis od pierwszego dnia pożycia.

— Ja miałem tę samą myśl, gdy byłem w Ardayre. Czułem tajemniczy zew rodu w tym starym domu. Myślałem, że ty jesteś idealnym partnerem dla niej. No, wiesz Denzilu, John ma zdrowy rozum i geniusz, a nie my!

— To tylko złudzenie: on nie wziął w rachubę ludzkich uczuć. Powinien był wiedzieć, że gdy tyko ujrzę Amarylis, zakocham się w niej, i zrozumieć, że natura może wzbudzić w niej pociąg do mnie. Teraz położenie jest tragiczne, jakkolwiek chcesz na nie spoglądać. John będzie miał piekielne życie, jeżeli powróci. Musi być zazdrosny, ile razy ujrzy dziecko, a naprężenie pomiędzy nim i żoną teraz, gdy ona wie

o wszystkim, będzie wielkie. Amarylis jest nieszczęśliwa, jest ona z natury namiętna i żywa, jak śpiewający ptak.

Każdy jej nerw drży pragnieniem radości i życia, a ona prowadzić będzie żywot pustelnicy! Ja ją uwielbiam. Jestem szalenie zakochany i dlatego smutne mam widoki na przyszłość, o ile będę żyć. Nie wiem, czy postąpiłem dobrze jak John? I czy rodzina warta jest tego cierpienia? Może lepiej trzeba było pozostawić wszystko losowi!

Denzil westchnął i odsunął półmisek, podany przez kelnera.

— To jest rzeczą pewną — odezwał się zamyślony Weriszczenko — że świadome odwracanie naturalnego biegu wypadków musi mieć poważne następstwa. Ja bym to doradzał ze względu na tego Turka Ferdynanda, ale to mogło zniweczyć jakiś plan kosmiczny, a w takim razie któryś z was musi za to zapłacić. Nie chciałbym, żeby tym kimś była pani Amarylis. Cały jej dramat leży w twojej tragicznej, honorowej obietnicy. Teraz nie możesz starać się o jej rękę, bo mężczyzna nie łamie danego słowa. Gdybyś szedł za moją radą, nie byłoby tego i miałbyś

trochę szczęścia! Ale kto wie? Fałszywa pozycja jest też gorzką rzeczą, a przy tym splamiłaby moją gwiazdę, dotąd nieskalaną. Więc może tak jest lepiej. Ale czy analizowałaś teraz, co znaczy słowo zakochać się, stary chłopcze?

— To niebo — to piekło.

— Tak, wszystko! Amarylis jest przeciwieństwem Harietty w tym, że pociąga ona tak samo silnie jak tamta, ale nie daje rozczarowania. Zakochanie jest stanem fizycznego uniesienia, kochanie zaś, to zjednoczenie ducha, które pędzi fizyczny instynkt rozmnażania się do rzędu niebiańskich, nadziemskich rozkoszy. Mężczyzna może zakochać się w Hariecie, ale nigdy nie może jej kochać. Amarylis można kochać zawsze, tak dalece, że się nie wie, iż połowa tej radości stąd pochodzi, że się jest w niej równocześnie zakochanym.

— Wiesz co Stefanie, ludzie dużo mówią nonsensów o tym, że są ideały, cele i rodzaje szczęścia w życiu, ale to głupstwa. Kto jest szczerzy przyzna, że prawdziwe szczęście znajduje się jedynie w miłości. Wszystko inne jest nędzne. Czasem bywa dobrem, ale zawsze to tylko namiastka w porównaniu z miłością.

— I gdy ludzie mówią szczerze inaczej, to stąd pochodzi, że prawdziwej miłości nie znali, albo są zbyt zezwierzęceni dogadzaniem namiętnościom i nie znają uczuć wyższych.

— A zatem na cześć miłości! — Denzil wychylił szklanę.

— Amen! — Dodał Stefan i wypił swoją.

— Dotychczas piliśmy zdrowie przyszłego dziedzica Ardayre, a teraz pijemy na cześć tego, co ufam, było jego twórcą.

Chwilę milczeli, po czym Weriszczenko zaczął mówić:

— Gdy mija stan zakochania, zostaje często przywiązanie, ale to jest nowe uczucie. Ja byłbym niespokojny, gdyby kobieta kochająca mnie dotąd, zaczęła czuć do mnie przywiązanie!

— Określ więc miłość.

— Miłość tętni rozkoszą ciała i wprawia ducha w pełne uszanowania drżenie, czaruje w piękno zwyczajne rzeczy, zbliża w smutku i nieszczęściu i nie zmienia się. Kobieta, która prawdziwie kocha, ma w sobie czułość bezinteresowną matki, namiętność kochanki i godność i poświęcenie żony. Jest z ognia i ze śniegu, szczerą i kapryśną, gorącą i powściągliwą, rozkazującą i posłuszną, królową i dziecko.

— A mężczyzna?

— Przestaje być zwierzęciem i staje się bogiem.

— Czy to trwa? — Westchnął Denzil.

— Mogłoby trwać, gdyby ludzie byli mniej głupi. Zwykle sami niszczą uczucie drugich bezmyślną głupotą, bo nie rozumieją, że ogień nie może trwać bez paliwa. Rozczarowują się nawzajem. Mając szczęście w rękę, nie troszczą się o to, by je zatrzymać. Kobieta, pewna swej władzy nad ukochanym, robi rzeczy, których by nigdy nie zrobiła wtedy, kiedy starała się zdobyć jego serce. Tak sajno czyni mężczyzna, nie zdając sobie sprawy z tego, że zakochanie jest oszołomieniem zmysłów, które łatwo można zniszczyć czy też zagłuszyć.

— Stefanie, co mam zrobić z Amarylis? Jeśli powrócę, będzie to piekłem, tęsknotą i bólem, a ja chciałbym czegoś dokonać w życiu i nie pragnąłem wcale, żeby miłość dla kobiety zawiązała mi oczy i ręce. Czuję, że można zdławić beznadziejne uczucie, ale tam, gdzie kobieta odpłaca mi wzajemnością, a tylko prawa i przyrzeczenia nas dzielą, jest to położenie okropne. — Zakrył na chwilę twarz rękami. Twarz jego była poważna.

— A jej życie także takie smutne! Mówisz, że pojedziesz do niej; musisz mi opowiedzieć, jak ją zastałeś. Ja nie pisałem. Staram się nie czuć i nie myśleć.

— Czy cię obchodzi to dziecko? Bo nie jestem pewny, czy uczucia ojcowskie są nam wrodzone, czy oszukujemy samych siebie, udając miłość dlatego tylko, że kochamy kobietę; czy uczucie to jest próżnością, czy rzeczywiście istnieje uczucie rodzicielskie? Co ty czujesz?

Denzil, po poznaniu Amarylis w Carlton rozważał w swoich rozmyślaniach ten temat.

— Trudno to opisać — odrzekł. — Uczucie to jest tak silnie splecione z miłością do niej, że tych dwóch uczuć nie mogę rozróżnić i nie umiem powiedzieć, co bym czuł, biorąc tę kwestię obiektywnie. Kobiety doznają tych tajemniczych wzruszeń, ale zdaje mi się, że mężczyźni ich nie odczuwają. Jeżeli jednak mężczyzna naprawdę kocha, to dziecko stanowi dopełnienie tej miłości.

— Mam dwoje dzieci, gdzieś w Rosji, przyszły one na świat, nim zacząłem pojmować istotę rzeczy i ich znaczenie. Kształcę je należycie. Jednocześnie nienawidzę ich. Wspomnienie ich matek przejmuję mnie

odrażą. Wstydzę się, kiedy odkrywam w nich przypadkowe podobieństwo do siebie. Ale co ty będziesz czuć, gdy ujrzysz dziecko, uwielbiające matkę tak, jak ty ją uwielbiasz? Co ono ci powie swymi oczyma, może podobnymi do twoich? Zapragniesz mieć wpływ na jego wychowanie, obserwować kiełkujący rozum i rozwijającą się duszę.

Będziesz czuł coraz silniejszy pociąg do Amarylis, natura niewidzialnym łańcuchem będzie was łączyła...

— Wiem o tym, w tym leży tragedia. Wszystkie pociechy należeć będą do Johna. Ciężko mi pomyśleć, że ona będzie sama przez te długie miesiące, a jednak czuję, że wolę to, niż gdyby John był przy niej. Zazdroszczę mu praw, które posiada, a których ja nie mam; co też on czuje, biedny, ile razy sobie mnie przypomni.

— Jest to szczególne położenie. Ciekaw jestem, co czas przyniesie.

— Jeżeli urodzi się córka, wszystko daremne.

— To nie będzie córka. Zobaczysz, że mam słuszność. Kiedy myślisz, że ty i John dostaniecie urlop?

— Nie wiem, może na Boże Narodzenie, jeżeli dożyjemy.

— Czy chcesz ją wówczas znów zobaczyć?

— Ja zawsze pragnę ją widzieć, ale Boże Narodzenie będzie za pięć miesięcy. Nie wiem, czy gdy ją ujrzę, potrafię dotrzymać słowa i nie okazywać jej miłości.

— Czy chcesz mieć o niej wiadomości?

— Zawsze.

Zamilkli obaj. Ze stołu zabrano deser, Weriszczenko zamyślił się głęboko. Miał temat do głębokich studiów. Co też przyniesie przyszłość? Tylko jedno: śmierć któregoś z tych dwóch ludzi. Śmierć jest rzeczą codzienną na wojnie, zabiera najlepszych, nie jest to więc niemożliwością. Spojrzawszy na Denzila poczuł ból w sercu. Trudno było sobie wyobrazić piękniejszego mężczyznę; rosłego, silnego, w pełni życia, zdrowia i w wieku lat dwudziestu dziewięciu.

— Ufam Bogu, że on wróci — westchnął. Po czym stał się cyniczny, jak zwykle, ilekroć był wzruszony.

— Jestem na tropie Harietty, Denzilu. Ma ona znów kochanka, Ferdynanda Ardayre.

— Co za zbieg okoliczności!

— Tak, nie mogę tylko dojść, kim był oficer na balu u Ardayrów.

Stanisław jest otumaniony doszczętnie, spędza czas w St, James na grze w piekieta.

— Czy on nie odczuwa wojny?

— Jest zupełnie zobojętniały na wszystko.

— Co zrobisz, jeżeli ją chwycisz na gorącym uczynku?

— Zastrzelę ją bez litości. To byłby odpowiedni koniec.

— Wątpię, czy miałbym się zastrzelić kobietę, choć byłaby szpiegiem.

Weriszczenko zaśmiał się, a w jego' kałmuckich oczach błysnęła dzikość.

— Gdy do tego przyjdzie, przyda mi się mój brak kultury.

Po czym ich rozmowa zesłała na tematy wojenne i zapomnieli na razie o kobietach.

Weriszczenko nie pojechał do Ardayre, bo Amarylis w następnym tygodniu przybyła do Londynu, aby się pożegnać z Johnem.

Pożegnanie jego było charakterystyczne. Nie mógł przełamać swojej rezerwy: pragnął powiedzieć jej coś serdecznego, ale im głębiej czuł, tym trudniej mu było wyrazić to słowami. Tajemnica, o której wiedział, zwiększała tylko jego niezaradność w stosunku do żony. I ona była zmieniona, poznał to zaraz. Siwe jej oczy były tajemnicze, z oczu dziewczęcia zmieniły się w oczy kobiety. O dziecku nie wspomniała nic, a gdy on poruszył ten temat, sama starała się zmienić rozmowę. To wszystko bolało go, tym bardziej iż czuł, że to jego wina, że on sam ją zniechęcił do siebie. Zaczął zastanawiać się nad swoim małżeństwem. Myślał o nocy, spędzonej na ławce pod jej oknem do świtu, o przeżytym cierpieniu, kiedy uprzytomnił sobie, że wszystko stracone

I że ona kiedyś musi dowiedzieć się prawdy. Czyżby ona robiła mu wyrzuty, że jej nie ostrzegł o możliwości takiego położenia? Przypomnił sobie rozmowę z doktorem Bredgesem. Miał mu dać odpowiedź ostateczną rano, lecz John nie stawiał się na czas, dlatego rozmówili się na balu. Czy byłoby lepiej, gdyby sobie pofolgował i pieścił i całował Amarylis? Czy może byłoby to gorszym jeszcze i bardziej oszukańczym postępowaniem? Teraz w każdym razie już za późno. Musi się zadowolić

jedyną pociechą, jaka mu pozostaje, pewnością, że nowy Ardayre przyjdzie na świat.

Długo mówił z żoną o wychowaniu dziecka i swoich pod tym względem życzeniach, na wypadek, gdyby się urodził syn, a on zginął. Amarylis słuchała chętnie.

Dusza jej była pełna podziwu. Przeżyła ona dużo wzruszeń od czasu sceny z Denzilem, ale teraz była zupełnie spokojna. Rozważyła i oceniła w myśli wszystko. Do Johna nie czuła żalu. Może nie powinien był się z nią żenić, ale może wtedy jeszcze nie wiedział. Dziwiła się w myśli, co on czuje, siedząc naprzeciw niej w bibliotece i mówiąc z powagą o dziecku? Jak wielką rolę musi odgrywać myśl o rodzinie w jego życiu. W dużej mierze i ona sama to rozumiała. Przypomniała sobie słowa Weriszczenki, jak mówił o jej obowiązkach i o ich wypełnianiu. Szczególnie zapamiętała rozmowę nad jeziorem, kiedy on zdawał się jej zwiastować coś, czego wówczas nie rozumiała. Czy on wiedział wtedy, że John musi zostać bezpotomny? I czy chciał jej dać do zrozumienia, że ród musi iść dalej, przez nią?

Ogarnęło ją pewne uczucie dumy, gdy opuściła kościół po wyjeździe Denzila. Może ona spełnia rolę przeznaczenia? Nie powinna się gniewać na Johna. Nie starała się też przestać kochać Denzila. Nie była dobrowolnie niewierna Johnowi, ale też pozostanie wierną Denzilowi, który jest jej miłością. Nawet w ciągu tych dwóch tygodni, które upłynęły od wyjazdu Denzila i teraz, kiedy miała rozstać się z Johnem, doznawała słodkiej pociechy na myśl o dziecku, synku Denzila. Budziło się w niej powtórnie to radosne uniesienie pierwszych chwil, które John potem zmroził. Denzil przewyższał nawet tego wytworzonego w wyobraźni ukochanego, za jakiego uważała Johna. Teraz Denzil stał się rzeczywistością, a John marzeniem. Żal jej było także męża. Domyślała się jego trosk i bólu. Przekonała się, że ma dla niego tylko przywiązanie. Mógł on być tak samo Archie de la Paule albo którymś innym z jej krewnych. Czuła, że cała jej istota należy do Denzila, który jest jej ideałem. Starala się być bardzo serdeczna dla Johna, a gdy ten pocałował ją na pożegnanie, łzy stanęły jej w oczach.

Biedny, dobry, zimny John!

A gdy odjechał, pani de la Paule z podziwem patrzyła na jej obojętną

twarz. Co za szczęście, że jednak to małżeństwo miało się doczekać potomka.

Tak więc i John i Denzil udali się na wojnę, Amarylis zaś pozostała sama. Weriszczenko powrócił do Paryża bez widzenia się z nią. Dopiero w początkach grudnia zjawił się znów w Anglii i przyszedł na Brook Street z pytaniem, czy może ją odwiedzić.

— Naturalnie — odpowiedziała.

Biblioteka wyglądała przytulnie. Amarylis posiadała zmysł urządzenia mieszkania wytwornie i sympatycznie, umiała ułożyć poduszki i kwiaty tak, że jej pokoje posiadały charakter zapraszający i przytulny. Weriszczenkę, gdy przyszedł z mglistej, zimnej ulicy, uderzył zapach kwiatów i ciepło.

Powstała na powitanie, z twarzą jeszcze bardziej uduchowioną niż wtedy, przy obiedzie w Carlton.

— Wygląda pani jak anioł — rzekł, gdy wypili herbatę i usiedli na wielkiej sofie naprzeciw ognia. — Co mi pani ma do powiedzenia? Wiem, że spodziewa się pani dziecka. Bardzo mnie to żywo obchodzi.

Amarylis zapłonęła się jak róża. On ciągnął dalej z całym spokojem:

— Pani się rumieni, jak gdybym powiedział jakąś niesłychaną rzecz! Tak wielką jest potęga zwyczaju! Rumieniec bowiem wywołać może tylko uczucie wstydu albo przykrości, lub też niepokojące i nagłe odkrycie. Czerwienimy się z gniewu lub bledniemy, ale ten żywy, nagły rumieniec jest zawsze dowodem ukrytego wstydu. Niemądry zwyczaj otoczył w ten sposób najnaturalniejszą i najwznioślejszą rzecz w życiu. Pani należą się gorące powinszowania z tego powodu, czy pani sądzi inaczej?

— Oczywiście, że nie. — I Amarylis opanowała trochę swoją nieśmiałość. W duszy pragnęła pomówić z przyjacielem.

— Kto panu o tym powiedział? — Spytała.

— Denzil.

Amarylis odetchnęła głęboko. Oczy Weriszczenki przenikliwie się w nią wpatrywały.

— Denzil?

— Tak, on bardzo się cieszy, że jest nadzieja utrzymania męskiej linii rodu.

— Tak.

— Jak pani myśli? Prawda, że to ogromna odpowiedzialność mieć dzieci?
— I ja tak myślę. Pragnę od początku postępować jak najmądrzej.
— Musi pani uważać bardzo na siebie i być zawsze pogodna. Nigdy nie denerwować się troską o „później”, ale myśli swe skupiać na obecnym „dziś”.
Amarylis spojrzała na niego trochę zaniepokojona. Czy on coś wie? Coś realnego, czy te poglądy są tylko zwykłymi ogólnikami. Jej oczy wyrażały pytanie i prośbę.
— O co pani chce mnie pytać? Zmrużył oczy, patrząc na nią badawczo.
— Ja, ja nie wiem.
— Tak, chce pani usłyszeć o Denzilu, czyż nieprawda?
— Tak, może... — Splotła nerwowo ręce.
— Powodzi mu się dobrze. Miałem od niego wczoraj wiadomości, prosił mnie, abym panią odwiedził. Jego matka jeszcze przebywa w Bath; Denzil pragnie, żeby ją pani poznała.
Nagle Amarylis odczuła niesamowitość swego położenia. Zerwała się ze sofy i wyciągnęła obie ręce przed siebie.
— Ach! Gdybym mogła zrozumieć znaczenie tego wszystkiego, mój przyjacielu! Ja się boję myśleć!
— Czy bardzo kocha pani Denzila?
— Tak.
— Siadajmy i proszę ze mną o tym pomówić, pani mojej duszy. Ja teraz jestem pani matką.
Usiadła wśród jedwabnych, zielonych poduszek, a on wyprostował się i patrzył na nią przez chwilę.
— Denzil spełnia rolę wymarzonego ideału? Co? Nie widziała go pani nigdy przed tym obiadem?
— Nie.
— Musiał się pani podobać, posiada wszystkie przymioty, cenione przez kobiety; ale to nie wszystko, proszę mi powiedzieć?
— On jest właśnie tym, czym spodziewałam się widzieć Johna. Podobieństwo było tak wielkie.
— To powód głębszy, natura przyciągała was wzajemnie. Zakryła twarz rękami. Zdawało się jej, że Weriszczenko musi

wiedzieć prawdę! Czy Denzil mu to powiedział, czy jego własna, nadzwyczajna zdolność intuicji, czy jej czułe sumienie?

— Widzi pani, zwyczaj i konwencja oraz fałszywy wstyd tak wykrzywiły rzeczy zupełnie proste, naturalne, że nikt ich należycie nie ocenia. Przeznaczeniem mężczyzny jest kochać kobietę i mieć potomstwo i kobieta ma kochać mężczyznę i pragnąć macierzyństwa. To są podstawowe instynkty i życie ludzkości zależy od nich. Ludzie nadużyli ich jednak haniebnie i stąd pochodzą, grzechy, nałogi i nadużycia.

Amarylis słuchała z uwagą. On mówił dalej.

— Wolno nam pod pewnymi warunkami wziąć towarzysza czy towarzyszkę życia, ale jeśli ta osoba nas zawiedzie, nie wolno nam szukać innej. Przypuśćmy, że dzikiemu człowiekowi dano by wspaniały półmisek, ale po odkryciu pokrywy okazałby się pusty. Co by się wówczas stało? Dziki wytrzymałby tak długo, póki nie zacząłby konać z głodu, a wtedy rzuciłby się z pewnością na towarzysza, aby mu odebrać jedzenie i może nawet przy tej okazji poczęstowałby go pałką po głowie w razie oporu. Cywilizacja i religia opanowały pierwotne instynkty do tego stopnia, że człowiek cywilizowany wolałby może nawet umrzeć z głodu niż kraść i zabijać. Jest on panem swoich czynów, ale nie uczuć.

Amarylis myślała przez chwilę.

— Myśli pan zatem, że w naturalnym porządku rzeczy każdy powinien mieć męża i żonę? — Zawahała się.

— Oczywiście!

— Czy to jest ważniejsze niż dotrzymanie przysięgi?

— Nie. Złamanie przysięgi degraduje ducha, trzeba jedynie zdawać sobie sprawę z tego, za jaką cenę będziemy mogli dochować przysięgi, a potem zdobyć się na taką siłę ducha, aby wybrać to, co jest lepsze dla duszy, dla ideału naszego życia. Czasem to wymaga bezwzględności, czasem dla tego celu trzeba nawet ginąć z głodu, w tym lub innym znaczeniu; musimy zatem być gotowi nawet na ofiarę z życia, lub z tego, co życiu nadaje cenę, jeżeli niamy dość siły do zachowania przysięgi, może zbyt lekkomyślnie złożonej.

Amarylis patrzyła przed siebie. Potem cicho rzekła:

— Wszystko teraz jest takie smutne! Obaj poszli na wojnę. Boję się nawet myśleć.

— Tak, musi pani myśleć. Myśleć o swoim dziecku i o jego dobru,

aby mogło przyjść na świat nieskrepowane pani słabością lub nieopanowaniem siebie; to musi być pani stałą troską. Proszę być pogodną i starać się żyć w świecie szlachetnych ideałów i spokoju. A teraz chcę pani zagrać.

Amarylis nigdy dotąd nie słyszała jego gry. Poprawił poduszki i usadowiwszy ją wygodnie, usiadł do fortepianu. Zdawało jej się teraz, że jej dusza unosi się ku wyżynom doskonałego szczęścia. Nawet w marzeniach nie wyobrażała sobie nigdy takiej gry. Tony muzyki poruszyły najwznioślejsze struny jej duszy. Nie pytała, czyje to są utwory, jakby przeczuwając, że to własna improwizacja Weriszczenki przemawia w tej chwili do jej duszy i każe jej być spokojną, mężną i wierną.

Grał całą godzinę, w końcu ciszej i coraz ciszej, a kiedy skończył, przekonał się, że Amarylis błogo usnęła.

Uśmiech czulej matki przemknął po jego chropowatej twarzy i bez szelestu wyszedł z pokoju, szepcząc ciche słowa błogosławieństwa.

A gdzieś we Francji, Denzil i John myśleli również o niej, każdy z wielką miłością w sercu.

* * *

Harietta Boleska zaczynała być niezadowolona ze swego życia. Nudziła ją Anglia, a tymczasem Hans nalegał na nią, aby tam dalej pozostawała. Chciała wyjechać do Paryża, ale ta nudna, niezdolna wojna pokrzyżowała wszystkie jej plany! Przy całej swej naiwnej głupocie potrafiła Harietta jednak dostarczyć Hansowi cennych informacji, które on przesłał swoim zwierzchnikom. Dzięki tym wiadomościom udało się im zniweczyć niejeden plan aliantów. Harietta spotykała w owym czasie bardzo wielu starych panów i przekonała się, że choć byli oni nad wyraz nudni, to jednak z łatwością dowiadywała się od nich wszystkiego, w przeciwieństwie do młodych. Miała niezawodną metodę, która prawie nigdy nie chybiła celu, przemawiała wprost do najniższych instynktów ludzi. Gdyby tylko Hans pozwolił na jej powrót do Paryża, to z pomocą Ferdynanda Ardayre, który był już jej niewolnikiem, przyrzekała dokonać nadzwyczajnych rzeczy.

Hans był u niej dwa razy i przywiózł jej instrukcje, a wreszcie zgodził się na wyjazd do Francji.

121

Tę dobrą nowinę oznajmiła właśnie Ferdynandowi, gdy ten przyszedł pewnego popołudnia przed Bożym Narodzeniem, aby ją odwiedzić w Londynie.

— Wyjeżdżam do Paryża, Ferdie, a ty też musisz jechać. Nie potrzebujesz wcale udawać, że cię Anglia coś obchodzi, a dla nas jesteś nieocenioną pomocą przez twe interesy w Holandii. Gdybym w początkach wojny mogła przypuszczać, że potrafimy pokonać Niemców, to bym stała po naszej stronie, bo nie ma dwóch zdań, tylko w Anglii można dobrze żyć! Ale posiadam wiadomości pewne, że na wiosnę weźmiemy Calais, więc sądzę, że bezpieczniej trzymać z cesarzem Wilhelmem i prędzej skończyć z tym wszystkim; potem znów będziemy mogli używać. Jak ja tęsknię za smętnym tangiem! Ach! Już mam po uszy tych nudów!

Ferdynand był jej odpoczynkiem, podobnie jak Hans. Nie potrzebowała być z nim zbyt subtelna, wiedziała, że poziom jego dorównuje jej własnej wartości, a przy tym Ferdynand ją bawił.

Dziś jednak był zły. Wyjazd do Paryża nie odpowiadał jego planom. Miał właśnie przed sobą pewne zadania do spełnienia, na własny rachunek. Ale tam, gdzie będzie Harietta i on musi być. Był w niej zaślepiony i wiedział dobrze, że nie może jej ani na chwilę zaufać.

Protestował więc trochę, usiłując ją przekonać, że tam, gdzie są, jest im dobrze, ale Harietta, która nigdy nie pozwoliła nikomu sprzeciwić się swej woli, tylko się uśmiechała.

— Jadę w sobotę. Zamówiliśmy apartament tym razem w „Uniwersału”, bo „Rhin” jest zamknięty, to taki wielki hotel, że możesz doskonale w nim też zamieszkać. Stanisław nawet nie zauważył ciebie w tłumie.

Ferdynand zgodził się niechętnie, a w tej samej chwili wszedł Weriszczenko. Nie widział on pani Boleskiej od obiadu w Carltonie, ponieważ starannie ukrywał przed nią swe następne pobytu w Anglii.

Na Ferdynanda popatrzył tak jak na zwykły sprzęt, po czym wziął na kolana psa, który krył się pod krzesłem.

Harietta przez chwilę prowadziła rozmowę za wszystkich, lecz w końcu zaczęła się denerwować.

Weriszczenko uśmiechnął się flegmatycznie; próbował nowego środka. Taki stan nie mógł trwać długo, Ferdynand zmuszony będzie odejść.

Teraz gdy przyszedł Weriszczenko, Harietta również gorąco pragnęła pozbyć się Turka. Śmiertelna nienawiść napełniła duszę mściwego Ferdynanda. Czuł, że ma przed sobą naprawdę groźnego rywala. Widział zdenerwowanie Harietty, którą dotąd widywał zawsze spokojną. Zaciśnął zęby i postanowił pozostać. Weriszczenko trwał w złowrogim milczeniu. Harietta czuła, że zacznie krzyczeć. Wzięła od Stefana Fou-Chou i uszczypnęła go mocno z rozpaczy. Piesek zaskomlił słabo. Wówczas brutalnie strąciła go na ziemię. Zwierzęta nudziły ją, nie lubiła ich wcale. Ale Fou-Chou był czasami ozdobą jej toalety, a także był własnością, której zazdrościły jej liczne kobiety. Jego drobne, kosmate ciało gniewało ją zawsze i gdy nie był potrzebny jako ozdobne akcesorium, biła go i kopała często. Biedne zwierzę bało się jej widocznie i uciekało zawsze przed nią tak, że kiedy było jej potrzebne dla wywołanie efektu, musiała je brać na ręce. Weriszczenko uniósł jedną krzaczastą brew, a w jego oczach zjawił się sardoniczny uśmiešek. Pani Boleska spostrzegła, że źle postąpiła, pokazując swój zły humor. Byłaby teraz chętnie skrzyła kark niewinnego zwierzęcia. Obaj mężczyźni siedzieli dalej. Harietta czuła się tak nieswojo, że już dłużej nie mogła tego wytrzymać. — Pan wróci na obiad, panie Ardayre — zauważyła w końcu. — I chcę, żeby pan był tak dobry i przyniósł mi kilka gardenii do sukni. Obawiam się, że wnet zamkną sklepy i trzeba, żeby się pan pośpieszył. Ferdynand wstał z wściekłością, malującą się na jego twarzy i nie mając wyboru, pożegnał się. Harietta odprowadziła go do samych drzwi i po kryjomu uścisnęła jego dłoń. Potem wróciła z płonącymi oczyma do Rosjanina. Ten nie odezwał się ani słowem. — Jak śmiesz mnie tak denerwować! Siedzisz jak kłoda! Nie zniosę takiego postępowania ze mną, ty niedźwiedziu! — A zatem siadź! Po co masz przy sobie ciągle tego Turka? — On nie jest Turkiem, jest Anglikiem i moim przyjacielem. Nawet jest bratem twojego szanownego Johna Ardayre i oni haniebnie z nim postąpili. Była jeszcze w pasji. — On nawet nie jest czystym Turkiem, niektórzy z nich są

prawdziwymi dżentelmenami. On jest wyrzutkiem społeczeństwa i wcale nie jest spokrewniony z Johnem.

— Sam im powie, czy jest czy nie i to niedługo. Słyszałem, że ta twoja angielska lalka spodziewa się dziecka, a ponieważ, jak mówi Ferdie, nie może ono być Johna, więc przypuszczam, że jest twoje.

Twarz Weriszczenki stała się groźna.

— Dobrze zrobisz, licząc się ze słowami, Harietto. Nie pozwolę na takie uwagi i bezpieczniej będzie, jeżeli ostrzeżesz twego przyjaciela, żeby lepiej takich twierdzeń nie wygłaszał, rozumiesz?

Harietta poczuła lęk, słysząc dziwny ton głosu Rosjanina, ale była zanadto zła, aby się od razu zmiarkować.

— Oho! — Podniosła głowę. — Jeżeli dziecko będzie chłopcem, Ferdie będzie im miał coś do powiedzenia, a co do Amarylis, to jej nienawidzę! Chciałabym ją zabić własnymi rękami!

Weriszczenko wstał i stanął przed nią. Ujrzała coś w jego oczach, od czego zastygła jej krew w żyłach.

— Słuchaj — rzekł lodowatym głosem. — Przestrzegalem cię raz, a znasz mnie dostatecznie i wiesz, czy kiedy mówię coś na wiatr. Teraz po raz drugi cię przestrzegam, bądź ostrożna w słowach i czynach. Więcej ci nie będę nic mówić, jeżeli po raz trzeci nie posłuchasz mnie, uderzę.

Harietta zbladła.

W jaki sposób uderzy? Nie laską, jak Hans, tylko w jakiś inny, gorszy sposób. Od razu zmieniła postępowanie i zaczęła się śmiać.

— Kochany brutalu.

Weriszczenko wiedział, że ją przestraszył dostatecznie, usiadł więc spokojnie i zapalił papierosa. Potem zaczął węszyć w powietrzu.

— Twój przyjaciel używa tych samych perfum, co kochanka Stanisława.

— Kochanka Stanisława? — Zapomniała na chwilę, co to znaczy.

— Tak; czy nie pamiętasz, że spaliliśmy wonną chusteczkę za ostatnim widzeniem się, bo nie podobał się nam jej gust w perfumach?

Zły humor Harietty powrócił; była niezadowolona z siebie, że zapomniała o tym zdarzeniu. Zwykle instynkt samozachowawczy bronił ją przed takimi pomyłkami. Czowała, że teraz najlepiej się przymilać, a było coś w twarzy Weriszczenki i w jego dzikości, co obudziło na nowo

jej namiętność. Nonsensem było tracić czas na sprzeczki, kiedy za godzinę mógł nadejść Stanisław. Wstała więc i stanawszy poza jego krzesłem, zaczęła gładzić jego ciemne, gęste włosy.

— Wiesz, że cię uwielbiam, kochany brutalu!

— Naturalnie. — Nie odwrócił nawet głowy.

— Czy jesteś zadowolona z Anglii?

— Zanim wojna wybuchła tak, ale teraz mam już tego dość. Wracam do Paryża.

— Myślę, że się mylę, ale spotkałem właśnie w hallu twego przystojnego Niemca?

— Mego Niemca, kogo?

— Twego dansera z balu Ardayrów. Zapomniałem jego nazwiska.

— I ja też zapomniałam.

W tej chwili weszła Maria, a Fou-Chou wypełznął spod krzesła, gdzie się ukrywał i podreptał ku niej radosnym skomleniem. Oczy pokojówki rozszerzyły się z niechęci, gdy spojrzała na panią. Podniosła pieska i obojętnym głosem powiedziała:

— Pan Insborg pyta, czy może się z panią widzieć za pół godziny. Telefonował do pani, ale nie otrzymał odpowiedzi. Na chwilę oczy Harietty zdradziły ją, aż zwięzły się z przerażenia. Potem odrzekła słodko:

— Przypuszczam, że słuchawka była odłożona. Nie, powiedz mu, że dziś jem obiad wcześniej, przed teatrem, ale jutro będę o piątej.

Służąca schyliła głowę i wyszła w milczeniu, niosąc pieska, ale oczy jej spotkały wzrok Weriszczenki, a ich wyraz dużo mu dał do myślenia.

— Maria kocha pieska, więc nienawidzi Harietty. Dobrze, zobaczymy. Tak pomyślał, a głośno zapytał, co Harietta zamierza robić w Paryżu i jakich miała tutaj przyjaciół.

— Ty mówisz do mnie straszne rzeczy, Stefanie—dumnie odrzuciła głowę w tył.

— Myślisz, że kiedy ciebie przyjął, to biorę innych! A gdyby nawet, to ci Anglicy są jak żaki; nie skrzywdziliby nawet muchy, ale ja tylko ciebie kocham, drogi brutalu, chociaż posprzeczaaliśmy się nieco.

— Wiem o tym. Nie jestem zazdrosny, bo też od dłuższego czasu nie dawałaś mi do tego żadnych powodów. Zamierzam wycofać się z pola. Przyszedłem, aby się z tobą pożegnać.

Wyglądał fascynująco, myślała Harietta. Serce zabiło jej szybciej. Ferdynand był tylko uczonym słabeuszem; gdy się przejrzało jego grę, nie pozostawało w nim nic. Jako kochanek nie był wart małego palca Rosjanina. Im bardziej Weriszczenko się drożył, tym bardziej rosła jej namiętność, a on teraz, po kilku miesiącach nieobecności zapowiada, że chce ją na zawsze opuścić. Tego znieść niepodobna!

Najgorsze było to, że Harietta nie śmiała go zatrzymać, mając Hansa w pobliżu. Nienawidziła tego ostatniego tak, jak wtedy na balu u Ardayrów.

Weriszczenko nie pieścił jej nawet, siedział w milczeniu.

Nie wiedziała, jak się zabrać do tego nowego humoru przyjaciela, z drugiej zaś strony nuda w Anglii i brak wszelkiej rozrywki czyniły go tym bardziej pożądanym. Reprezentował on element dziki, silny, pierwotny, jedyny jakiego pragnęła w tej chwili, a jeśli mu da dziś odejść, to on może już nigdy do niej nie wróci. Warto użyć wszelkich sposobów, by go zatrzymać. Przypomniała sobie, że najprędzej uzyska od niego trochę serdeczności, gdy go przekupi wiadomościami. Dobrze tak Hansowi za to, że śmiał zjawić się nie w porę.

Wyszła więc spoza krzesła, usiadła na kolanach Weriszczenki i poczęła mu szeptać do ucha.

— Teraz zacznym wierzyć, że mnie znów kochasz — rzekł Rosjanin. — I naturalnie, zawsze muszę zapłacić za miłość!

Siedzieli w fotelach przed ogniem, gdy wrócił z klubu na obiad o ósmej Stanisław. Harietta zapomniała nawet, że musi się przebrać, takim uniesieniem napełniła ją obecność Weriszczenki. Musiała mieć mężczyznę w pobliżu. Jej uczucia nie wytrzymały próby oddalenia. Cieszyła się z tego, że znów znalazła prawdziwego władcę. Kochała go tak, jak tygrysica kochać może swego pogromcę z biczem w rękę, a świadomość tego, że zdradza równocześnie męża, Hansa i Ferdynanda, powiększała jej zadowolenie. Ale w jaki by sposób można się upewnić, że jeszcze zobaczy Stefana? To pytanie ciągle ją dręczyło. Weriszczenko zaś pragnął jeszcze obserwować Ferdynanda, więc postanowił sprawić wszystkim tę przykrość i pozostać. Stanisław, zdenerwowany gościem, mówił prędko i bez sensu, Harietta kręciła się niespokojnie, wreszcie oznajmiono Ferdynanda.

Zaczerwienił się z irytacji, widząc, że Rosjanin jeszcze siedzi; w rękę trzymał pudło z kwiatami.

Harietta wzięła je obojętnie, bez słowa podziękowania. Jaki on był nudny! I Stanisław również, i wszystko, co przeszkadzało jej pozostać sam na sam z Weriszczenką!

— Kiedy przyjdiesz znów mnie odwiedzić Stefanie? — Zapytała, postanawiając nie puścić go bez wyraźnie określonego spotkania.

— Wrócę i wypiję czarną kawę z tobą dziś wieczór — odparł niespodziewanie.

Harietta była zachwycona. Nie spodziewała się tego.

— Nikt dziś nie zważa tyle na formy i na strój, zostań na obiedzie tak jak jesteś.

— Tak, zrób to — powtórzył nieśmiało po rosyjsku Stanisław — będzie nam tak miło.

— Dobrze więc, ale muszę się przebrać. To nie potrwa długo. Zaczniście obiad beze mnie, ja przyjdę przed rybą. —

I nie tracąc czasu wyszedł.

Harietta popchnęła lekko Stanisława do drugiego pokoju, zalecając mu pośpiech, a sama zwróciła się do Ferdynanda i wyciągnęła ku niemu obie ręce.

— No, nie bądź zazdrosny, Ferdie, pieszczochu, o Weriszczenkę. I pogłaskała go. — To interesy. Muszę się z nim rozmówić dziś wieczór, on wyobraża sobie, że ty i ja jesteśmy wrogami aliantów — roześmiała się rozkosznie — i muszę mu to wybić z głowy.

Ferdynand był skwaszony i paliła go zazdrość.

— A czy mi to później wynagrodzisz?

— No, rozumie się, tak jak zwykle!

I ze swoim czarującym uśmiechem wyszła z pokoju.

Pozostawszy sam, młody człowiek zastrzyknął sobie dawkę morfiny, po czym usiadł i podparł głowę rękami.

Dowiedział się, jak już poinformował Hariettę, że żona jego brata oczekuje dziecka i nie mógł prawnie udowodnić, że nie jest ono dzieckiem Johna, toteż gorycz jego rosła w miarę bezsilności.

Matka jego niegdyś mu powiedziała:

— Przekłęci Anglicy zawsze nas pobijają, mój synu! Twój prawdziwy ojciec wsypałby im truciznę do kawy. Możemy tylko pocieszać się

nadzieją, że przyjdzie dzień zemsty. Obawiam się, że nigdy nie osiągniemy naszych pragnień. Stary dureń, którego nazywasz ojcem, musi dać ci wszystko, póki żyje, bo ani ćwierć majątku nam nie dadzą po jego śmierci.

Czy to prawda? Czy Anglicy muszą go zawsze zwyciężyć? Przypomniał sobie, jak nienawidził w Eton Denzila i psie życie, jakie prowadził w tym zakładzie. Za to ugryzie jadem gadziny, gdy się nadarzy okazja. Pragnie widzieć ruinę obu Ardayrów i Anglię upokorzoną, zdobytą, leżącą w prochu. Całe jego angielskie wychowanie nie zbliżyło go do rasy anglosaskiej inaczej, jak tylko pozornie.

Własna bezsilność doprowadzała go do wściekłości, ale musi przecie nadejść taki dzień, kiedy on im za wszystko zapłaci.

Harietta nie ukazała się w hallu, gdy Weriszczenko wrócił ubrany, a nawet dała na siebie czekać wszystkim około dziesięciu minut, po czym z uderzeniem godziny dziewiątej, kiedy przeważnie wszyscy inni pili już czarną kawę, weszła w wytwornej sukni z żółtego brokatu z pękiem gardenii.

Atmosfera przygnębienia i ograniczeń była powodem ciągłego jej gniewu. Można udawać godność i wytworność dla jakiegoś ściśle określonego celu, jak na przykład dla zdobycia wysokiego stanowiska, ale grać tę rolę przez szereg miesięcy, bez żadnej nagrody lub pożytku, to było zanadto ciężko i czuła, że nie wytrzyma długo, że musi z tym skończyć, przynajmniej w drobnostkach, przynajmniej przez wystrojenie się wspaniale i niewłaściwie. Pragnęła, żeby już prędko Niemcy zwyciężyli, wtedy rzeczy się ułożą, a ona rozpocznie swą towarzyską karierę.

— Ludziom chcącym cieszyć się i używać nie zależy ani trochę na tym, czy ich kraj będzie pokonany czy nie. Sześć miesięcy po zawarciu pokoju i tak będzie to wszystko jedno, dlatego ja jestem za tym, żeby zgnieść tego, kto jest najśłabszy, by był koniec — mówiła do Ferdynanda — a Paryż i tak zawsze zostanie wyrocznią świata pod względem mody i elegancji, więc co znaczy wobec tego ta głupia polityka?

Sensacja, jaką wzbudziło jej wejście do restauracji, sprawiała jej przyjemność, a wyglądała istotnie bardzo pięknie. Obiad też ją bawił. Zabawne było obserwować zazdrość Ferdynan-

da. Uczucia Stanisława bowiem od dawna nie wchodziły już w rachubę.

Weriszczenko dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował o Ferdynandzie, zanim udali się na kawę do hallu. Nie miał już nic do zyskania przez dłuższe sam na sam z Hariettą, usiadł więc obok Stanisława i zaproponował, aby tamci dwoje poszli sami do Colosseum. Harietta zmuszona była odejść, choć niechętnie, z Ferdynandem, upewniwszy się, że Stefan da jej znać natychmiast o swoim przybyciu do Paryża, dokąd i on miał się udać za dwa dni.

Gdy odeszli, Stanisław Boleski zwrócił melancholijne oczy na dawnego przyjaciela, lecz milczał.

— Czy warto było? — Spytał Weriszczenko po rosyjsku ze współczuciem.

Stanisław westchnął głęboko.

— Niestety, wcale nie. Jestem załamany i zniszczony, Stefanie. Ona zabija moją duszę.

— Czemu jej nie zabijesz? Ja bym zabił. Polak zacisnął swą przeźroczystą rękę.

— Nie mogę. Tak jej pragnę, to jest opętanie. Nie mogę pracować, ona mi nie zostawia czasu ani swobody myśli, ale zawsze jej pragnę. Ona jest piekłem, grzechem, wulkanem. Widzę w wizjach utracone możliwości, a potem jej pocałunki wszystko wymazują z mej pamięci. Umieram co dzień ze wstydu i zazdrości. Ona mnie unika, a ja zapłaciłbym własną krwią za nią!

— Nie masz już złudzeń co do niej, widzisz przecież, że jest twoim wampirem i przekleństwem.

Stanisław zaczerwienił się.

— Widzę wszystko, ale pragnę jej, Stefanie! Ona mnie wciągnęła w największe ponizenie. Jestem świadkiem jej niewierności. Zdradza mnie z tym Turkiem i nawet nie stara się tego ukryć, wiem o tym, płonę z wściekłości, a jestem bezsilny. Jestem najniezwyklejszym człowiekiem i tylko śmierć może mnie wybawić, a jednak pragnę żyć, bo ją kocham. Każdy dzień to tęsknota za nią, każda noc z dala od niej, to piekło. — Łzy napęłniły jego czarne oczy, a głos załamał się ze wzruszenia.

Weriszczenko patrzył na niego i prosta litość mieszała się w jego sercu z pogardą.

Oto był przykład nadużycia, które owładnęło człowiekiem i stało się tyranem. Ale sieć zacieśnia się w jego rękę, a kiedy wszystkie nici będą w jego dłoniach, postąpi bez miłosierdzia.

*

Kiedy Amarylis dowiedziała się, że John otrzyma kilkudniowy urlop na święta, ogarnęło ją dziwne zdenerwowanie. Od czasu rozstania z Denzilem, postać jego coraz wyraźniej rysowała się w jej umyśle, na przekór jej wisiłkom w kierunku opanowania swych uczuć. Myśl o nim nieodłączna była od myśli o dziecku i rzadko kiedy ją opuszczała. Przedziwne wzruszenie ogarniało jej wyobraźnię, aż wreszcie Denzil stał się jej codzienną myślą, a miłość jej ku niemu wciąż rosła i rosła. Z Johnem była sama tylko w dniu jego wyjazdu, kiedy przyszedł się z nią pożegnać, poza tym otaczała ich zawsze rodzina de la Paule. Lecz teraz musiała być przygotowana na zażyły i poufały z nim stosunek.

Myśl ta wydała się jej okropna. W naturze jej było coś, co przypominało narzeczoną króla Candaules'a. Nie mogła znieść myśli, że ma teraz należeć do Johna. Zdawało się jej, że on powinien utracić wszystkie swoje prawa do niej. Pisywała do niego obowiązkowo co tydzień obojętne listy o domu i o swej pracy w komitetach, ale nigdy nie wspomniała o dziecku.

Z powodu choroby matki Denzila wizyta w Bath odłożona została na później, a po dwutygodniowym pobycie w Ardayre Amarylis wróciła do Londynu.

Tutaj miała dużo czasu do rozmyślań. Stefan ułożył dla niej spis książek, które nabyła i stale czytała.

Jak była dotychczas niemądra! Przekonała się, że ta wiedza, jaką posiadała, była chaotyczna. Znała oddzielne dzieje państw europejskich, ale nigdy ich nie studiowała zbiorowo i równorzędnie, w celu poznania ich wpływu na ewolucję ludzkości. Nauczyła się wielu rzeczy, ale nigdy nie badała ich krytycznie. Cały nowy świat otwierał się przed nią. Postanowiła nie być nieszczęśliwa i nie dręczyć się przyszłością, wszakże pomimo tych dobrych postanowień, często przy blasku kominka marzyła o tym, by znaleźć się w objęciach Denzila.

O Johnie myślała raczej z przymusu niż z przywiązania. Cóż on mógł

znaczyć dla niej teraz, ogołocoony z blasków, w które go odziała jej fantazja? W istocie nic a nic. Zdawała sobie sprawę z tego, że stan jej czynił ją w szczególny sposób wrażliwą i wysilała się, aby wedle rady Weriszczenki opanować siebie i być pogodną. Tego ranka, gdy John miał przyjechać, stoczyła ze sobą ciężką walkę. Czuła się zdenerwowana i nieswoja, ale przede wszystkim wiedziała, że musi być dla niego miła. John był opalony i dobrze wyglądał. Był też bardziej rozmowny i wyraźnie uradowany jej widokiem. Przycisnął ją do siebie i schylił się, by ją pocałować w usta, ale nieokreślona niechęć sprawiła, że Amarylis odwróciła głowę. Coś się w niej buntowało przeciw tym pieszczotom. Usta jej były teraz dla Denzila i dla nikogo innego. Ona też odwróciła rozmowę na obojętne, powszednie tory. Rodzina de la Paule została zaproszona na lunch, a popołudnie spędzili oboje w jej gronie, po czym nadszedł wieczór i samotny obiad we dwoje. John zapukał do jej drzwi, kiedy się ubierała. Właśnie pokojowa skończyła ją czesać; Amarylis sama dziwiła się tej swojej nieśmiałości, bo miała ochotę nie pozwolić mu wejść. A jednak niegdyś takie poufne zdarzenie domowe sprawiłoby jej wielką radość. Zatrzymała służącą w pokoju i szybko włożyła wieczorową suknię, po czym podeszła do drzwi. John niewiele mówił, tylko stał przy ogniu. Jakże wszystko się zmieniło! Niegdyś musiała go prosić, aby z nią pozostał w takich chwilach, teraz on sam zdawał się tego pragnąć, a ona nie życzyła sobie tego, W duszy Amarylis wzrastał niepokój. Co mu ma odpowiedzieć, jeżeli on zechce spać w jej sypialni? Świadomość prawdy utworzyła w jej duszy przepaść dzielącą ich na zawsze. Podczas obiadu rozmowa toczyła się dokoła jego życia na froncie, które ją naprawdę zajmowało. Zachowanie się jej nie było zimne ani sztywne, ale jednak chłodne. Potem przeszli do biblioteki. Oboje byli bardzo przygnębieni. Gdy podano kawę i zostali sami, Amarylis poczuła, że już dłużej tego

nie wytrzyma i usiadła przed fortepianem. Długi czas grała wszystkie utwory, które John lubił. Chciała znaleźć w muzyce uspokojenie i zyskać na czasie. John siedział w głębokim fotelu i patrzył w ogień, jakby widział obrazy w płonących węglach.

Dziwny, mściwy los prześladował go i ścigał zawsze, gdy zapragnął być szczęśliwy.

Przypomniawszy sobie słowa wypowiedziane na łożu śmierci przez złamaną i umierającą matkę:

„Johnie, my nie możemy wiedzieć, co Bóg przez to zamierza. Na wszystko jest wytłumaczenie, bo On nie może być niesprawiedliwy. Prawdopodobnie nie skorzystaliśmy z Jego nauki raz, więc po raz drugi On nam ją zsyła. Nigdy się nie buntuj mój synu, a może kiedyś przyjdą jaśniejsze dni”.

Amarylis grając, spojrzała na jego twarz. Była nieskończenie smutna. Wielkie współczucie obudziło się w jej sercu. Co by mogła zrobić, żeby być dobrą dla niego?

Uderzyła cichy akord, wstała i podeszła do męża.

Oboje cierpieli nad wyraz, ale John musi wrócić na front. Wobec tego ona powinna się z nim rozmówić, tak, aby mu umożliwić powrót. Tchórzostwem byłoby przemilczeć prawdę, a niepodobna też dać mu odjechać z tą czarną troską w duszy.

On spojrzał na nią i powstał.

— Grałaś tak cudownie — rzekł pośpiesznie. — Słuchając ciebie, zapomniałem o świecie. Ale jest późno, a dzień był męczący, chodźmy spocząć, moje dziecko.

Amarylis zeszywniała; nadchodzi ta chwila, przed którą czuła wielki lęk.

— Wolałabym, abyś spał w swej ubieralni. Kazałam ci tam wszystko przygotować.

Spojrzał na nią zdziwiony, po czym ujął jej rękę.

— Amarylis, powiedz mi wszystko. Dlaczego jesteś taka inna?

— Staram się być taka jak zawsze, Johnie.

— Tak, starasz się, to dowodzi, że nią nie jesteś, skoro musisz się starać. Powiedz mi, proszę, co to znaczy?

Usiłowała zachować spokój i nie denerwować się.

— Ty sam byłeś przyczyną mojej zmiany. Przyszłam do ciebie ludzka i kochająca, a ty mnie zmroziłeś. Nic już nie pomoże na to.

— Owszem, to, że wiesz przecież, że cię kocham.

— Może być, ale rodzina ma dla ciebie większe znaczenie niż cokolwiek w świecie.

— Tak mogło być dawniej, ale nie jest już teraz. — Głos jego drgał wzruszeniem.

— Niestety! — Odparła tylko i zwiesiła głowę. John pragnął ją wzruszyć, ale był zbyt uczciwy na to, żeby starać się zmiękczyć jej serce względami na dziecko. Sama myśl o nim stała mu się nienawistna. Rozumiał już, że grał o stawkę, która straciła dla niego całą wartość. Amarylis i jej serce więcej znaczyły niż dziecko.

Zacisnął mocno ręce, ból jego był ciężki do zniesienia, odbierał słuszną zapłatę za swój czyn.

Czemu nie przełamał swej rezerwy i nieśmiałości już dawno i nie opowiedział jej o swojej miłości? Ale to byłoby nieuczciwe. Musi przynajmniej być rzetelny; teraz zdawał sobie sprawę z tego, że ją głodził i morzył duchowo, wszystko jedno z jakich pobudek.

— Amarylis, powiedz mi wszystko, proszę cię! — I wyciągnąwszy ręce, posadził ją na kanapie, a sam usiadł przy niej.

Nie mogła opanować swego wzruszenia i głos jej trząsł się, gdy mu odpowiedziała:

— Wiem, że to był Denzil, a nie ty, i że dziecko jest jego, a nie twoje. Twarz jego zmieniła się. Nie był na to przygotowany i ogłuszyło go to wyznanie.

— Możliwość następstwa Ferdynanda tutaj po nas, gdybyś nie miał syna, jest rzeczą tragiczną, ale czy nie sądzisz, że mogłeś mi to powiedzieć? — Mówiła, siłąc się na spokój. — Mam chyba prawo wybrać ojca dla mego dziecka. John nie mógł jej odpowiedzieć, ukrył twarz w dłoniach.

— Widzisz, to jest wszystko rozpaczliwe — mówiła dalej urywanym głosem, prawie z płaczem. — Denzil jest taki podobny do ciebie, bardzo, bardzo prędko spostrzegłam, że kocham go, bo kochałam tylko tego urojonego Johna, którego pragnęłam. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć i proszę, nie usprawiedliwiaj się. Jest coś we mnie, co pociąga mnie do Denzila, ile razy myślę o dziecku. Johnie, musimy stawić czoło faktom

i znaleźć wyjście, jak najmniej bolesne dla wszystkich. Myśl o twoim cierpieniu sprawia mi również przykrość!

— Czy Denzil ci to powiedział? — Głos jego był lodowaty.

— Nie, nagle mi to przyszło na myśl, gdy usłyszałam jedno słowo przez niego wymówione.

— Ukochana! — Teraz oczy Johna błysnęły. — On ciebie nazwał znów „ukochaną”?

— Nie, nie mnie. Użył tego słowa o jednym z portretów, ale ja natychmiast poznałam jego głos. On ma głos niższy od twego.

— Kiedy widziałaś Denzila?

Opowiedziała mu całą prawdę o ich spotkaniu i wizycie Denzila w Ardayre oraz o tym, jak bardzo Denzil starał się dotrzymać obietnicy.

— On nigdy by się do mnie nie zwrócił. Los kazał nam się spotkać w pociągu, a wówczas ja go wciągnęłam w rozmowę. Nie mogłam tego znieść, gdy go poznałam, zmusiłam go do przyznania się. Denzil nic nie winien. Zaraz wyjechał, a ja więcej go nie widziałam ani nie miałam od niego wiadomości. Tylko ze mną musisz się liczyć, Johnie, Denzil nigdy nie będzie się starał mnie zobaczyć.

John jęknął głośno.

— O Boże! Co za udręka!

— Johnie, muszę ci wszystko powiedzieć, kiedy już mówimy o tych rzeczach. Kocham Denzila nad wszystko! Drzę z radości na myśl o nim. Wydaje mi się, że to mój mąż. Niedawno, na myśl o dziecku, drżałam z tęsknoty za nim.

Wyszeptalam bezwiednie jego imię. Musisz zrozumieć, co to znaczy dla mojej namiętnej natury. Ale nie chciałabym nigdy ciebie oszukiwać, Johnie. Musiałam być otwartą. Nie mogłabym udawać, że jestem twoją żoną i kłamać.

Łzy rozpaczy napęłniły oczy Johna i spłynęły po jego policzkach. Zrozumiał nagle i jej wielkie cierpienie.

Jakie miał prawo pojąć tę młodą i kochającą kobietę i użyć jej do swych egoistycznych celów.

— Amarylis, wiem, że nie możesz mi przebaczyć. Teraz widzę, że bardzo zawiniłem.

Współczucie, jakiego doznała, siedząc przy fortepianie, znów ogarnęło jej serce i zagłuszyło urazę. Wiedziała, że on cierpi więcej od niej, toteż wyciągnęła do niego ręce, a on je ujął i zatrzymał w swoich dłoniach.

— Naturalnie, że ci przebaczam, Johnnie, ale nie mogę przestać kochać Denzila, to jest cała tragedia. Należę w rzeczywistości do niego, nie do ciebie, nawet choćbym go już nigdy nie miała widzieć i dlatego musimy być oboje wyrozumiałymi. Kochany Johnnie, bądźmy przyjaciółmi i żyjmy, jak przyjaciele, a wtedy wszystko będzie lepsze. Puścił jej ręce i powstawszy, zaczął chodzić po pokoju. Cierpiał okrutnie. Czyż musi wyrzec się nawet radości brania jej w swe ramiona?

— Ależ ja cię kocham, Amarylis! Kocham cię, najdroższe dziecko! I znów ona odpowiedziała tylko tym jednym słowem: — Niestety.

— Amarylis, to będzie ciężką ofiarą z mej strony; czy nalegasz na to? Wówczas jej oczy błysnęły ogniem, a policzki zaróżowiły się i stanęła naprzeciwko niego.

— Powiadam ci, Johnnie, ty mnie nie znasz. Widziałeś tylko dobrze wychowaną i ułożoną dziewczynę, łagodną, gotową do spełnienia twoich najdrobniejszych życzeń. Nie znalazłam jeszcze samej siebie. Jestem naturą pierwotną i namiętą, jak dziki człowiek.

Oddech jej stał się krótki, a pierś falowała ze wzruszenia. — Nie mogłabym należeć do dwóch ludzi, to by mnie poniżyło, i nie wiem co by się wówczas ze mną stało. Kocham Denzila duszą i ciałem i póki on żyje, nikt inny nie zbliży się do mnie. To znaczy u mnie namiętność, wierność dla tego, co kocham! On jest moim najdroższym i muszę pójść od ciebie i opuścić dom, a prosić go, aby mnie przyjął, gdy wróci z wojny, jeżeli ty nie zgodzisz się na jedyne warunki, jakie ci mogę teraz ofiarować.

John spuścił głowę. Życie było dla niego skończone!

Amarylis zbliżyła się do niego i stając na palcach, pocałowała go w czoło. Gwałtowność jej ustąpiła litości na widok jego bólu.

— Johnnie — wyszeptala łagodnie — czyż nie pozostaniesz zawsze mym najdroższym przyjacielem? A gdy przyjdzie dziecko, będzie ono naszą pociechą i troską, a ty musisz je kochać, bo ono jest moje i jest Ardayrem i ta pociecha musi nam wypełnić życie. Wierzę ci, żeś to zrobił w najlepszych zamiarach, ale niebezpiecznie jest igrać z prawem boskim i z sumieniem; dlatego zapewne Bóg sprawił, że ja się dowiedziałam prawdy.

John przytulił ją do siebie, pogładził jej miękkie, brązowe włosy nad czołem i serdecznie ją ucałował.

— Amarylis! — Głos jego był bardzo cichy. — Będę twoim przy-

jacielem, kochanie i będę kochał twoje dziecko. Źle zrobiłem, żeniąc się z tobą, ale wówczas rzecz nie przedstawiała się tak beznadziejnie. Byłaś tak młoda, żywa i piękna i tak cię kochałem, że ufałem wbrew nadziei, gdy zaś dowiedziałem się, że nadziei nie ma wcale, pragnąłem ci to w jakiś sposób wynagrodzić. Nie umiem tego wyrazić słowami, zawsze byłem ciężki, ale myślałem, że może, gdy zaspokoję twe pragnienie... Ach! Widzę teraz, że to było okrutne! Kochanie, byłbym ci powiedział prawdę, ale nastąpiła wojna, a myśl o Ferdynandzie, moim dziedzicu, doprowadziła mnie do szału i pokierowała wszystkim.

Spoglądała na niego swymi słodkimi oczami. Jedyłą jej myślą było, jakby go pocieszyć, obawiać się już nie potrzebowała.

— Johnie, gdybyś mi to wcześniej powiedział! Może znalazłoby się inne wyjście. I ja również mam dużo dumy rodowej i nie mogę znieść myśli o Ferdynandzie i jego dzieciach, jako naszych następcach. W ostatnich czasach wiele rozmyślałam o rzeczach niematerialnych, o tych potężnych siłach, które nas otaczają i dziwiłam się, czy też nie jest prawdą, że my zbyt jesteśmy nieświadomymi, aby chcieć łamać prawa moralne. Może jestem niemądrą, nie wiem, zdaje mi się, że istnieją silne prądy związane z prawami, po prostu dlatego, że tkwi w nich siła przekonań i sumienia ludzi od setek lat.

Usiedli na sofie. Johnowi lżej było na sercu, gdy ona mówiła. Jego silna wola zdołała wreszcie opanować to wielkie wzburzenie.

— Może tak być

— Wiesz, w razie gdyby coś złego stało się z Ferdynandem — mówiła — wówczas Denzil zostałby twoim dziedzicem, a teraz, jeśli dziecko będzie chłopcem...

John drgnął.

— Żaden z nas o tym nie pomyślał.

— Ale Ferdynandowi nic się nie stanie, on nie pójdzie się bić. Tylko ty, kochany Johnie i Denzil, jesteście w niebezpieczeństwie. Wojna zapewne już długo nie potrwa?

John rozważał, czy ma jej powiedzieć prawdę, co o tym myśli, czy lepiej pozostawić ją w błędzie? Postanowił zamilczeć, tak było lepiej dla niej, dla jej zdrowia, aby się nie martwiła. Niestety, wydarzenia same nie dadzą długo czekać na odpowiedź.

Potem rozmawiał z nią spokojnie o Ardayre, o swoim dzieciństwie,

młodości i swych smutkach. Postanowił złamać swą zamkniętą naturę, a Amarylis słuchała z przejęciem. Powoli spokój i cisza zapanowały w ich sercach, oddalili troskę o przyszłość, a postanowili żyć teraźniejszością. Na koniec John powstał i ujął jej dłoń.

— Idź odpocząć, kochane dziecko, a ja jutro postaram się opanować te wszystkie uczucia, które cię niepokoją. Pamiętaj tylko zawsze, że jestem naprawdę twoim przyjacielem.

Zrozumiała całą doniosłość jego ofiary i szlachetność jego duszy i ze łzami wyszła z pokoju.

Ale John, gdy pozostał sam, usiadł w tym samym miejscu, gdzie niegdyś oczekiwał na Denzila i ukrył twarz w dłoniach.

* * *

Nazajutrz spotkali się przy śniadaniu. John nie spał wcale i był bardzo blady. Amarylis zaś miała oczy podcienione fioletowo z płaczu. Ale oboje byli zupełnie spokojni.

Ona podeszła do męża i pocałowała go serdecznie w czoło, po czym naląła mu herbaty. Starali się rozmawiać po przyjacielsku, jak dawniej, zanim nowe wzruszenia zakłócały ich spokój. Powoli następowało odprężenie nerwów. Umówili się, że pójdą na zakupy i John kupił jej pierścionek ze szmaragdem.

— Zieleń jest kolorem nadziei — rzekła. — Lubię zielone, bo mi ta barwa przypomina wiosnę i naturę, i wszystko, co piękne.

Lunch spożyli w restauracji, a po południu powrócili do Ardayre. John miał wiele spraw do załatwienia dziś i w dniu następnym.

Wprawdzie nie miało być uroczystego Bożego Narodzenia, ale trzeba było jednak rozdać upominki oraz dopełnić różnych obowiązków i ceremonii. Amarylis pomagała mężowi, ile mogła, a tak on, jak i wszyscy dzierżawcy i oficjaliści dóbr, doceniali jej powagę i słodycz w obejściu

Tak minęły gładko cztery dni i nadeszła ostatnia noc w roku.

— Myślę, że nie powinnaś siedzieć do północy, kochanie — rzekł John po obiedzie. — To cię tylko zmęczy, a przy tym jest to zawsze chwila smutna, chyba, że się ma gości w domu, tak jak my miewaliśmy dawniej.

Amarylis posłusznie odeszła do siebie, ale sen uleciał z jej powiek. Czym będzie jej przyszłe życie bez Denzila? A co będzie z Johnem? Czy pozostaną spokojnymi przyjaciółmi, gdy on powróci i gdy już przyjdzie na świat dziecko? Czy też ona zawsze czuć będzie, że on ją kocha i cierpi?

Im więcej myślała, tym trudniejszym się zdawało wybrnięcie z sytuacji i tym głębszy smutek napełniał atmosferę. Na koniec osunęła się na kolana, na wielką skórę białego niedźwiedzia i poczęła się modlić.

Ale gdy uderzyła północ i zaczęły bić dzwony na Nowy Rok, ogarnęło ją okropne przygnębienie, uczucie lęku i niepokoju.

Chciała wmówić w siebie, że to nic, myślała o tym, co będzie robiła w lecie, gdy już będzie zdrowa, że najważniejszym jej zajęciem musi być uczynienie Johna szczęśliwym, o ile on do tego czasu już powróci.

Słyszała, jak John wrócił o pierwszej w nocy do swego pokoju i wtedy bez szmeru wsunęła się do swego dużego, złoczonego łóżka.

John oczekiwał nadejścia Nowego Roku w cedrowym pokoju przy kominku. Pokój ten był pełny Amarylis, więc było mu tu dobrze.

I on też rozmyślał nad ich wspólnym, przyszłym życiem, o ile on wróci. Ból zmniejszy się z czasem w jego sercu, myślał, ale jak on potrafi znieść te długie lata, pełne świadomości, że Amarylis myśli o Denzilu i pragnie jego, a jeśliby go spotkała przypadkowo, to co wtedy będzie?

Jak on wytrzyma to, wiedząc, że oni się kochają i cierpią?

Pozornie nie było żadnego wyjścia. Ale wiedział dobrze, że śmierć może aż nazbyt łatwo pośredniczyć i że jeśli zabierze Denzila, wtedy on musi pocieszyć Amarylis. Jeśliby zaś spotkała jego, wtedy przyszłość tamtych dwojga będzie jasna.

Nie mógł zapomnieć o trzeciej możliwości: że on i Denzil razem zginą. Myślał i myślał o tym wszystkim i nareszcie zdecydował się dołączyć list do swego testamentu. Na wypadek swej śmierci prosił Denzila, aby ożenił się zaraz z wdową, nie czekając, aż upłynie czas żałoby. Czasy bowiem są zbyt ciężkie i niepewne, aby zostawić ją z dzieckiem samotną i bez opieki.

Wstał i zaczął pisać list do adwokata, a instrukcje jego brzmiały następująco:

Na wypadek mojej śmierci proszę, aby kuzyn mój Denzil, Benedykt Ardayre ożenił się jak najprędzej z Amarylis.

Oddaję ją jego opiece

i proszę ich oboje, aby żadne względy żałoby nie przeszkodziły w wypełnieniu mego ostatniego, gorącego życzenia.

Proszę także mego kuzyna Denzila, aby o ile pozostanie przy życiu, zajął się wychowaniem dziecka.

Odczytał to jeszcze raz, a gdy doszedł do słowa „dziecka” wymazał wyraz i napisał „mojego dziecka” z rozmysłem, po czym wyszczególnił swoją wolę, co do jego wychowania, gdyby urodził się chłopak. W testamencie suto zaopatrzył Amarylis, tak by była bogata i niczego jej nie brakowało.

Gdy zapieczętował list i zaadresował kopertę do swego adwokata, zegar uderzył dwunastą.

W starym domu panowała cisza. Od wielu lat po raz pierwszy nikt nie czuwał, nawet służba w swoim skrzydle udała się na spoczynek.

Johnowi wydało się, że cień smutku został nagle od niego odsunięty i że jakiś ciężar zdjęto mu z serca. Nie mógł liczyć na zmianę, ale nie czuł się już smutny. Czy to był omen? Czy ten Nowy Rok, wypełni rzeczywiście jakieś jego wielkie życzenie? Ogarnął go boski spokój, a potem miłe uczucie rozmarzenia. Zgasił więc światło i cicho udał się do swego pokoju, gdzie wnet usnął.

Spał zdrowym snem do późnego rana i obudził się w dniu Nowego Roku odświeżony i spokojny.

Skończywszy swój urlop trzeciego stycznia, wrócił do Londynu. Nie chciał jednak narażać Amarylis na trudy podróży i nie pozwolił jej sobie towarzyszyć. Pożegnał się z nią w Ardayre i zostawił ją ogromnie smutną i nieszczęśliwą.

Czy jednak dobrze postąpiła, mówiąc Johnowi prawdę? Czy powinna była pozostawić wszystko tak jak jest i zaczekać do końca wojny? Ale to byłoby niemożliwe dla jej natury. Jeżeli nie może mieć Denzila, nie chce żadnego innego mężczyzny.

Wesołość Johna dziwiła ją. Nie wyglądała na sztuczną. Może ona go jeszcze nie rozumie, może w duszy zadowolony był, że całe udawanie skończyło się w końcu?

Ich pożegnanie było bardzo serdeczne. John nigdy nie był sentymentalny, odjechał też z wesołymi słowami na ustach i przestrogą, aby bardzo na siebie uważała.

— Pamiętaj, Amarylis, że jesteś dla mnie najcenniejszą istotą na świecie i powinnaś pamiętać także o dziecku. Obiecała mu, że pod tym względem spełni wszystkie jego życzenia i pozostanie spokojnie w Ardayre aż do pierwszego kwietnia. Wtedy może on znowu będzie mógł otrzymać urlop, a ona pojedzie do Londynu na poród. John odwrócił się jeszcze w aucie i długo powiewał chusteczką, aż motor zniknął za drzewami i łązy zabłyszczały jej w oczach i spłynęły wolno po policzkach.

Wówczas zauważyła, że przy skrawie alei posłaniec z poczty minął samochód i biegł prosto do zamku. Depesza nie była widocznie dla Johna, zaczęła więc przy drzwiach, aby ją odebrać. Okazało się, że telegram jest do niej od matki Denzila, która donosiła, że jedzie autem do Dorchester i zatrzyma się w Ardayre, w nadziei, że zastanie panią domu. Amarylis odczuła nagle podniecenie, od dawna tęskniła do tego spotkania, a równocześnie obawiała się go. Jakie nowe wzruszenia ono wywoła?

Zaraz wcześniej po lunchu oznajmiono przybycie pani Ardayre. Amarylis oczekiwała jej w zielonym saloniku. Grała właśnie na fortepianie, starając się stłumić w sobie uczucie depresji, gdy drzwi się otworzyły i ku jej zdumieniu do pokoju weszła zupełnie młoda, szczupła kobieta! Lekko utykała, podpierając się laską. Przez chwilę Amarylis miała wrażenie, że się myli, co identyczności gościa.

Wstała na powitanie przybyłej, a pani Ardayre wyciągnęła rękę z uśmiechem.

— Mam nadzieję, że otrzymałaś na czas, Amarylis, moją depeszę

— rzekła z prostotą — i nie gniewasz się, że nazywam cię po imieniu. Skorzystałam z okazji, aby cię poznać, bo syn mój tak bardzo tego pragnął.

— Ależ pani nie może być matką Denzila! — Zawołała Amarylis.

— Za dorosły jest na pani syna.

Pani Ardayre uśmiechnęła się znowu, podczas gdy Amarylis posadziła ją obok siebie na sofie.

— Mam czterdzieści dziewięć lat, Amarylis, ale zewnątrz nie potrzeba się starzeć, to niemiłe dla oka.

Amarylis patrzyła na nią bacznie w pełnym świetle. Ował jej twarzy

czynił ją tak młodą. Nie było na niej żadnych widocznych zmarszczek ani blizn, które stwarzają cienie. Skórę miała gładką i delikatną, a oczy koloru jasno-brązowego, z których wyzierał humor i dobroć, tak że Amarylis od razu poczuła sympatię do nieznajomej.

Mówiły o pragnieniu wzajemnego poznania się, o rodzinie i o majątku, o wojnie i wreszcie zaczęły rozmawiać o Denzilu; pani Ardayre wspomniała także o jego dzieciństwie.

— To najdroższy chłopak na świecie — rzekła. — Zawsze byliśmy przyjaciółmi, teraz nie pozwala mi się o siebie niepokoić. Mam uczucie, że o tyle, o ile okropności wojenne pozwalają mu na to, cieszy się życiem! Mężczyźni to są dziwne stworzenia, lubią walczyć!

Amarylis pytała, jakie były ostatnie od niego wiadomości i gdzie przebywa, i słuchała z zainteresowaniem odpowiedzi pani Ardayre.

— Kawaleria, dzięki **Bogu**, ostatnimi czasy nie była bardzo narażona.

— Mój mąż właśnie wrócił na' front, ale o ile będzie zapotrzebowanie ludzi **do** okopów, kawalerzyści pójdą z piechotą — mówiła Amarylis.

— Pewnie, wtedy trzeba będzie nam użyć całej odwagi, aby opanować swój lęk.

Amarylis odwróciła znowu rozmowę na Denzila. Chciała usłyszeć

o jego dzieciństwie, jak wyglądał, gdy był małym chłopcem, ale zanadto była nieśmiała, aby stawiać pytania. Pani Ardayre bardzo ją pociągała, wyglądała tak młodo i sympatycznie. Sylwetkę miała zupełnie dziewczęcą i zaledwie można jej było dać trzydzieści pięć lat.

Amarylis ciekawa była, co Denzil opowiedział o niej swej matce, prawdopodobnie to, że spodziewa się dziecka i nic poza tym.

Rozmawiały bardzo przyjaźnie przez pół godziny, a potem Amarylis zapytała gościa, czy chciałby zwiedzić zamek i oglądnąć galerię obrazów, gdzie zobaczy Denzila z czasów Elżbiety.

— Zupełnie podobny do mego syna! — Zawołała pani Ardayre, gdy stanęły przed portretem. — Te same oczy, takie śmiałe i szczere

i kochające. Ach! Dziecko nie masz pojęcia, jaki on kochany. Od dziecka wszystkie kobiety go uwielbiały, bony były jego niewolnicami, a moja gospodyni i pokojowa klóca się ze sobą o to, która z nich ma mu usłużyć, gdy Denzil przyjeżdża do domu. On ma tę dziwną jakąś właściwość, że wszystkich czaruje.

Amarylis słuchała zachwycona.

— Widzisz, on nic nie ma ze mnie — ciągnęła dalej pani Ardayre

— ale ja byłam tak szalenie zakochana w moim mężu, gdy syn przyszedł na świat, że dlatego typowy z niego Ardayre. Czy nie ciekawi cię to Amarylis, jak twoje dzieciątko będzie wyglądało, gdy się urodzi? Powinno być na wskroś Ardayre skoro i w tobie płynie ich krew.

— Tak, rzeczywiście, bardzo jestem ciekawa i — mamy wszyscy nadzieję, że będzie syn!

— Czy jest tu także portret twego męża? Denzil powiada, że są tak do siebie podobni.

— Wisi w moim buduarze; wkrótce zostanie przeniesiony, gdy mój portret będzie wykończony w przyszłym roku. Sargent go malował, ostatni obraz, jaki zrobił. Chodźmy go zobaczyć.

— Ależ nie widzę żadnego podobieństwa — zawołała pani Ardayre, gdy obie spoglądały na portret Johna. — Czy ty widzisz jakie podobieństwo między nimi, Amarylis?

— Niegdyś tak, ale dzisiaj wcale nie widzę. Pani Ardayre uśmiechnęła się.

— Naturalnie, wydaje mi się to niemożliwe, aby porównywać kogoś z Denzilem! A mimo to nie jestem wcale prawdziwą matką! Abstrakcyjnie jestem zupełnie pozbawiona macierzyńskiego instynktu. Dzieci nudzą mnie i rada jestem, że nie miałam ich więcej. Uwielbiam Denzila, ponieważ jest Denzilem. Kochałam mego męża i cieszyło mnie to, że jestem matką jego syna.

^- Są dwa rodzaje kobiet, prawda? Kobiety — matki i kobiety

— żony; zdaje mi się, że należymy do jednego, albo do drugiego gatunku. Nie wiem jeszcze, do której kategorii się zaliczam — Amarylis westchnęła — ale zdaje mi się, że jestem podobna w tym do pani. Mężczyzna więcej dla mnie może znaczyć, aniżeli dziecko i wiem, że dziecko kochałabym przez wzgląd na ojca. Wszystko to jest wielką tajemnicą i cudem.

Beatrice Ardayre spojrzała ponownie na portret Johna. Jego martwa twarz nie robiła na niej wrażenia, nie wierzyła, że może rozkochać kobietę, a cóż dopiero tak urocze i zachwycające stworzenie jak Amarylis. Czy mógł ją napęłnić także tajemniczym uczuciem wzruszenia w stosunku do jego dziecka? Gdyby to był Denzil, rozumiałaby

każde szaleństwo popełnione przez kobietę, ale ten ponury, wyniosły John...

Jej jasnobrażowe oczy spojrzwały ukradkiem na Amarylis i zauważyły, że spogląda na obraz z wyrazem głębokiej melancholii na twarzy.

— Kryje się w tym jakaś tajemnica — pomyślała pani Ardayre. Zaczęła się zastanawiać znowu nad tym, co Denzil jej mówił

O Amarylis — nie było tego wiele. Przybył wówczas do Bath bardzo poważny i roztargniony. Wspomnił krótko, że jechał pociągiem z żoną Johna Ardayre i wstąpił z nią do Ardayre, poznał zaś ich dopiero poprzedniego dnia w londyńskiej restauracji.

Nie był wcale podniecony, ale późnym wieczorem, gdy siedzieli przy kominku, powiedział nagle coś, co ją bardzo zdziwiło.

— Mamo, chcę, abyś poznała Amarylis Ardayre, jestem w niej szalenie zakochany, będzie miała dziecko i czuje się bardzo osamotniona.

Pewnie jest to miłość od pierwszego wejrzenia, huraganowe uczucie i myśl ta zaniepokoiła ją trochę. Żeby Denzil zakochał się w kobiecie, o której wiedział, że spodziewa się dziecka? Zwróciła mu na to uwagę, a on odwrócił od niej wzrok pełen bólu, a nawet wymówki.

— Mamo, ty zawsze mnie rozumiesz. Wiesz, że nie jestem bydlęciem. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Chcę tylko, abyś była dla niej naprawdę dobra i dobrze ją poznała.

Na ten temat nie mówił już więcej, przez cały jednak trzytygodniowy swój pobyt bardzo był czymś pochłonięty, niemal roztargniony. Wiedziała dobrze, że Denzil jest zapalonym żołnierzem i walka sprawia mu radość, wojna więc nie jest powodem jego niepokoju. Co więc to wszystko znaczy? Teraz znowu to urocze stworzenie mówi o boskiej tajemnicy miłości, patrzy zaś melancholijnym wzrokiem na portret swego nudnego męża, a dopiero na wzmiankę o Denzilu jej źrenice błyszczą zainteresowaniem. Czy Amarylis także zakochała się w nim i to w ciągu jednego wieczoru i jednej wspólnej podróży? Wszystko to bardzo dziwne.

W międzyczasie wypity herbatę w zielonym saloniku i jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie.

Pani Ardayre opowiedziała Amarylis o małym dworku, który ma w dzielnicy Kent i o swoim ulubionym ogrodzie.

— Miałam dwanaście tysięcy rocznie — mówiła — własnego przychodu i od urodzenia Denzila, co roku połowę odkładałam, tak że gdy miał dwadzieścia jeden lat, mogłam go zaopatrzyć w zupełnie przyzwoitą sumę i uczynić go niezależnym. To takie upokarzające dla mężczyzny zależeć od kobiety, nawet matki, w dalszym ciągu więc odkładałam dla niego pieniądze. W ostatnich latach życia mój mąż bardzo był chorowity, ciężko został ranny w wojnie afrykańskiej, żyliśmy więc bardzo cichutko w „Moat”, moim dworku i w Londynie. Kiedyś, mam nadzieję, poznasz Amarylis moje gniazdka.

Amarylis odpowiedziała, że z największą radością, po czym dodała:

— I pani zechce mnie odwiedzić w naszym mieszkaniu przy Brook Street. Z początkiem kwietnia jadę do Londynu i liczę, że w pierwszym tygodniu maja będę miała syna.

Przed odjazdem pani Ardayre zapytała Amarylis, czy ma jakie zlecenia dla Denzila. Chciała zbadać wyraz jej twarzy. Rzeczywiście, Amarylis zaczerwieniła się delikatnie i odpowiedziała pośpiesznie:

— Tak, niech pani mu powie, że ogromnie się ucieszyłam poznaniem pani i że jest pani taką, jaką mi opisał i proszę mu także powiedzieć, że przesyłam mu wszystkie najlepsze życzenia — wreszcie zmieszała się trochę.

— Tak bym chciała mieć twoją fotografię, mogłabym cię o nią prosić? — Zapytała starsza kobieta, aby uniknąć przerwy w rozmowie, a kiedy Amarylis wyszła z pokoju, pomyślała:

— Niezawodnie ona kocha się w Denzilu, to nie może być, aby pierwszy raz poznał ją w restauracji, on jednak nigdy nie kłamie. — Coraz bardziej była zdziwiona i zainteresowana tą tajemnicą.

Gdy po odjeździe pani Ardayre Amarylis została sama, ogarnął ją niepokonany niepokój. Wizyta ta odnowiła jej wzruszenie, nie mogła się już martwić tragedią Johna. Cała jej istota przejęta była myślami

o Denzilu i pragnieniem jego obecności, widziała go przed sobą

i odczuwała rozkosz jego pocałunków.

W tej chwili wszystko rzuciłaby w życiu, byle znaleźć się w jego ramionach.

* * *

Denzil został ranny w Neuve-Chapelle 10 marca 1915 roku, ale na szczęście dość lekko. Zachował się bardzo dzielnie w czasie walki i otrzymał krzyż waleczności. Teraz od dwóch tygodni przebywał w szpitalu i był już niemal wyleczony, gdy w kwietniu Amarylis przyjechała do swego mieszkania przy Brook Street. Przeczytawszy nazwisko Denzila na liście rannych, ogromnie się tym zaniepokoiła i natychmiast zadepeszowała do jego matki. Gdy nadeszła uspokajająca odpowiedź, zateśkniła gorąco, pragnąc się z nim zobaczyć.

Świadomość, że niebawem pójdzie znowu na front, była dla niej okropna i nie do zniesienia. Fizycznie czuła się świetnie. Zdrowy organizm i młodość czyniły, że odmienny stan nie wzbudzał niepokojów. Amarylis nie była ani nerwowa, ani drażliwa, nie ulegała też fantazjom i nastrojom. Pełna kobiecej, wrodzonej godności, wyglądała prześlicznie, pomimo ciąży.

Zaraz po przyjeździe Amarylis do Londynu, odwiedziła ją pani Ardayre i obiecała przybycie Denzila na popołudnie. Amarylis starała się przyjąć tę wiadomość spokojnie i nie okazać swej radości. Pożegnały się z tym, że kapitan Ardayre przyjedzie o czwartej po obiedzie.

A gdy Denzil dowiedział się, że Amarylis przyjeżdża do Londynu, odezwał się do matki w te słowa:

— Mamo, chcę zobaczyć Amarylis. Proszę cię, ułatw mi to mateczko, nie pytaj o nic, odwieź mnie do niej i zostaw tam, a potem przejedź po mnie, bo sam nie czuję się jeszcze całkiem zdrowy.

Pani Ardayre była kobietą o nowoczesnych poglądach, ale mimo to siedząc przy łóżku syna, nie mogła się powstrzymać od uwagi:

— Wiesz, że ona jest w ciąży, za miesiąc spodziewa się rozwiązania, drogi chłopcze, może nie zechce się teraz z tobą widzieć.

— Denzil zaczerwienił się. — Tak wiem — rzekł pośpiesznie — ale w obecnych czasach nie jesteśmy formalistami. Pragnę ją zobaczyć, proszę cię mateczko, zrób to dla mnie, i skierował potem rozmowę na inny temat.

Matka zastosowała się więc posłusznie do woli syna i około czwartej po obiedzie zostawiła go przed drzwiami mieszkania Ardayre'ów.

Amarylis wcześniej kazała podać herbatę i oczekiwała ich obojga, Denzila i jego matkę. Pokój był pełen kwiatów, a ona sama wśród jedwabnych poduszek, ubrana w bladoliliową suknię, wyglądała jak cudny, wiosenny kwiat.

Lokaj oznajmił przybycie kapitana Ardayre i Denzil, wchodząc powoli szepnął: — Jak się masz? Ale gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, podszedł szybko ku niej, zapominając o bolącym boku. Nie mogąc stłumić swej radości, okrywał jej ręce pocałunkami, po czym cofnął się i spojrzał na nią pełen uwielbienia i szacunku. Gdy tak patrzył na tę uroczą, delikatną istotę, uległ tajemniczym wzruszeniom i odczuł, że kocha ją bez granic.

Amarylis czuła, że budzą się w niej nie znane uczucia. Drżała wprost z radości i szczęścia, a natura domagała się swoich praw.

— Kochany aniele! — Rzekł Denzil, siadając obok niej na sofie i tuląc ją w ramionach. Przez parę minut zapomnieli o całym świecie.

— Pozwól mi popatrzeć na siebie znowu, kochanie — rzekł tonem rozkazującym, który dowodził, że uważają za swoją własność, a Amarylis sprawiało to rozkosz. Doznawała uczucia, że naprawdę do niego należy.

— Jesteś dla mnie zawsze najpiękniejszą i każda twoja cząstka do mnie należy.

— Zupełnie twoja — odpowiedziała cicho.

— Musiałem przyjść bez względu na to, czy to jest dobrze, czy źle. Muszę niebawem wracać na front i nie mogłem znieść tej myśli, żeby się przedtem z tobą nie zobaczyć, moja ukochana — Mieli sobie mnóstwo rzeczy do powiedzenia o sobie i o dziecku, a godzina, którą razem spędzili, była dla nich święta i cudowna. Denzil umiał nadzwyczajnie wyrażać swą miłość, bo znał wartość serdecznych słów.

Upoił też wyobraźnię Amarylis wzruszającymi wyznaniem, które jej czynił.

Niestety, wielu jest takich mężczyzn, którzy przez swoje uparte milczenie niszczą uczucie, a ich ukochane omijają także najlepszą część radości życia. Nie chcą oni zadowolić pragnienia wszystkich kobiet, które domagają się, żeby im często to powtarzano, iż są kochane i żeby im wyrażano uczucie w gorących słowach. Tego rodzaju zapewnień nie zastąpią kobiecie żadne czyny.

Denzil był jednak inny. Wyrażał wszystko to, co było miłe dla Amarylis i podniecało jej wyobraźnię. Szeptał swojej ukochanej tysiące różnych czułości. Pieścił ją, rozkazywał i zawładnął nią zupełnie, po

czym znowu zapewniał, że jest jej niewolnikiem. Był zuchwały, gdy domagał się jej miłości, pokorny w swoim uwielbieniu dla niej. Mówił o dziecku, tłumaczył, czym to jest dla niego i jakich uczuć doznaje. Dał jej do poznania, że sam jest silny i potrafi roztoczyć nad nią swą opiekę i że ona pozostanie zawsze jego ukochaną i uwielbianą. Przesuwał przed nią cudowne obrazy, w których opisywał, jakby to było, gdyby mógł niebawem spędzić z nią cały dzień i noc, wtedy, gdy będzie się miała już zupełnie dobrze. Mówił, jak się cieszy na przyjście dziecka, które powinno być zupełnie do niego podobne. A oczy Amarylis łagodne i wilgotne od wzruszenia odpowiedziały mu, że naturalnie, dziecko musi być jego obrazem, skoro ona go tak bardzo kocha.

Czyż bowiem jego matka nie twierdziła, że syn jej dlatego nosi na sobie tak silne piętno Ardayrów, bo tak wielka była jej miłość dla ojca Denzila. Więc w tym wypadku ten sam czynnik będzie odgrywał rolę. Jak cudownie o tym myśleć!

Spędzili jeszcze godzinę radosnego szczęścia, poczym zegar wybił szóstą.

Dźwięczało to jak pogrzebowy dzwon.

— Denzilu, to zupełnie nienaturalne, żebyś ty musiał odejść. Pomyśleć, że musisz mnie opuścić i nie powitasz nawet swego syna. Pomyśleć, że wobec prawa grzeszymy, bo siedzę tutaj w objęciu twych ramion. Pomyśleć, że może mnie ominąć ta radość, aby móc pokazać ci tę śliczną, małą wyprawkę niemowlęcą, której przygotowanie dało mi tyle szczęśliwych chwil. To wszystko jest za okrutne.

— Ukochana, ukochana! — I Denzil pocałował ją namiętnie. Był głęboko wzruszony. Przyjście na ziemię nowej duszyczki jest rzeczą tak świętą i piękną, że człowiek odczuwa jedno tylko pragnienie: aby być dobrym i szlachetnym i godnym tej cudownej tajemnicy. Ale dla nas, którzy kochamy się czysto i szczerze, wszystko zostało zamienione na zakazany owoc i występki.

— Serce moje, muszę mieć od ciebie jakieś wiadomości. Nie mogę ginąć tam w okopach ze świadomością tego, że wszystkie listy, które powinny być moje, skierowane są do Johna. Matka moja naprawdę zasługuje na zaufanie. Czy pozwolisz jej jak najczęściej przebywać ze sobą tak, aby mogła każdej chwili donieść mi, jak ty się miewasz, moja

jedyna? Gdy nadejdzie siódmy maja oszaleję z niepewności i niepokoju. Będę więc prosił, aby matka natychmiast wysłała mi depezę.

— Denzilu! — Amarylis przytuliła się do niego.

— To niemożliwa sytuacja — westchnął głęboko. — Powiem Johnowi, że widziałem się z tobą. Nie mogłem się oprzeć pokusie. Czasy zanadto są niepewne, aby można było postąpić inaczej. Później, gdy wojna się skończy, trzeba będzie jasno rzecz sobie przedstawić i powziąć decyzję, jak należy postąpić.

— Nie mogę żyć bez ciebie, Denzilu, to jedno wiem.

Po wielu pocałunkach i łzach pożegnali się wreszcie milcząco i Denzil wyszedł na ulicę do auta, w którym czekała jego matka. Był blady i smutny.

— Jestem trochę niespokojna, najdroższy chłopcze — szepnęła pani Ardayre, gdy auto ruszyło. Czuję, że coś spoczywa na dnie tego wszystkiego i że Amarylis odgrywa ważną rolę w twym życiu. Wszystko to napędza mnie troską. To było wbrew twojej zwykłej, wrażliwej subtelności, aby iść do niej teraz z wizytą.

— Rozumiem cię zupełnie, mamo. Powiedziałbym to samo na twoim miejscu. Nie mogę ci nic wytłumaczyć tylko proszę, abyś mi ufała. Amarylis jest aniołem słodyczy i czystości; może kiedyś zrozumiesz wszystko.

Ujęła jego rękę i zatrzymała w swej dłoni.

— Wiesz, że nie jestem formalistką najdroższy i wierzę ci najzupełniej, ale nie mogę pojąć sytuacji, ponieważ tak niedawno poznałeś Amarylis. Zrozumiałabym to doskonale, gdybyś był jej kochankiem, a dziecko twoim dzieckiem, ale jeszcze nie ma roku od jej ślubu z Johnem.

Denzil nic nie odpowiedział, uściśnął tylko rękę matki, a ona oddała mu gorący uścisk.

— Nie będziemy już o tym mówili.

— I będziesz dla niej dobra?

— Naturalnie.

Zanim dotarli do szpitala przy Park Lane, Denzil prosił panią Ardayre, aby natychmiast po urodzeniu dziecka wysłała depezę i opiekowała się Amarylis i o każdym najdrobniejszym szczególe doniosła synowi.

— Postaram się nie wydawać żadnego sądu, Denzilu, a kiedyś może rzeczy się wyjaśnią, bo rozdarłoby mi to serce, gdybym dowiedziała się, że nie jesteś honorowy.

— Nie potrzebujesz się o to martwić, najdroższa mateczko. Jestem z sumieniem w porządku. To jest tragiczna historia, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Uważaj tylko na Amarylis i jak często możesz, przysyłaj mi wiadomości o niej.

* * *

Depesza donosząca, że Amarylis ma synka doszła do rąk Johna Ardayre wieczorem. Było to w wilię drugiej bitwy pod Ypres 9 maja 1915 roku. John od trzech dni czekał w gorączkowym podnieceniu na wiadomości.

Całe jego wewnętrzne życie od nocy sylwestrowej było dziwnie spokojne, pomimo okropnego zaburzenia na zewnątrz. Bitwę pod Neuye Chapelle przyjął spokojnie i brał udział we wszystkich walkach pod Ypres, wychodząc bez szwanku. Spoglądał teraz na wszystko z jakiegoś obiektywnego punktu widzenia, jakby osobiście nic go nie dotyczyło.

Widział wspaniałą odwagę Denzila i uczył wyraźny smutek, gdy ten został ranny.

Teraz właśnie Denzil wrócił ze szpitala do okopów znowu z resztą kawalerii, którą włączono do piechoty. Mogą się więc spotkać przy ataku o świcie.

Kiedy John przeczytał telegram ciotki, lady de la Paule, uległ tak silnemu wzruszeniu, że zachwiał się, a jego kolega, stojący obok, podał mu brandy ze swej manierki, sądząc, że przykre wiadomości tak nim wstrząsnęły.

Potem wydawało mu się, że oszalał. Stał się nowym człowiekiem, a jego kolegów ogarnęło zdziwienie.

Johna pochłonięła jedna myśl: Ardayre'owie są ocaleni! Ród będzie żył dalej.

Najczulsza miłość dla Amarylis leżała na dnie jego serca. Jeżeli tylko wyjdzie cało, poświęci swe życie na to, aby jej okazać wdzięczność i zaspokoić wszelkie pragnienia jej serca, a może — może radość dziecka

zastąpi jej nieobecność Denzila. Ta myśl towarzyszyła mu i pocieszała go nieustannie.

Lady de Paula telegrafowała:

Śliczny mały synek urodził się o 11.45 rano siódmego maja, Amarylis zdrowa, serdeczności.

A godzinę temu Denzil otrzymał także radosną wiadomość od swej matki. On również pozostawał w zachwycie i dziękował Bogu.

* *

*'

Czy warto pisać o tej okropnej bitwie? John Ardayre zdawał się czarować, prowadząc swoich ludzi do ataku. Przez godzinę z zapalem i odwagą dodawał im męstwa. John podbiegł naprzód, aby pomóc zranionemu żołnierzowi, gdy granat pękł obok niego, a on nieprzytomny upadł na ziemię. I wówczas dowiedział się, co za wielką rzecz przyniósł mu Nowy Rok. Bo śmierć uprości wszystko — a John wiedział, że odchodzi. Nigdy się nie buntował i wiedział teraz, że nadchodzi koniec. Ale niebo ponad nim zdawało się chmurzyć, a okropna wrzawa uśmierzać się, potem czuł, że ktoś pełza ku niemu i otworzył na chwilę oczy, a wtedy zobaczył Denzila, wlokącego się na kolanach, obryzganego krwią.

— Czy obaj, Denzilu, odchodzimy na Zachód? — Zapytał w omdleniu. — W każdym razie ja odchodzę. Westchnął lekko, podczas gdy szkarłatna struga popłynęła z rozszarpanego boku.

— Prosiłem cię w jednym liście, abyś ożenił się z Amarylis natychmiast po powrocie do domu. Ona jest zupełnie sama. Uważaj na nią, Denzilu i opiekuj się dzieckiem... Głos jego stawał się cichszy i cichszy, a ostatnie słowa ledwie wykrztusił: — Jest potomek Ardayre'ów, wiesz wszystko, więc w porządku. Rodzina nasza ocalona i cieszę się bardzo, że umieram!

Denzil starał się wydobyć swoją flaszkę, ale zanim mógł ją przytknąć do ust Johna wiedział, że to daremne, bo śmierć już przyszła po niego. Ale pomimo zmasakrowanego ciała twarz Johna miała pogodny, spokojny wyraz, a stanowcze usta były złożone jakby do uśmiechu.

150

Lecz wnet i przed oczami Denzila wszystko zaszło mgłą, stało się nieuchwytne, nieczego już nie pamiętał.

* *

Upłynęły dwa miesiące zanim stan zdrowia Denzila polepszył się o tyle, że można go było przewieźć z Boulogne, po czym nastąpiła recydywa i przez cały lipiec ranny był ciężko chory. Przyszły chwile, w których lekarze zwątpili w możliwość uratowania jego nogi, a matka Denzila cierpiała katusze.

Amarylis, po powrocie z Ardayre z malutkim Benedyktem, zalewała się gorzkimi łzami.

Śmierć Johna bolała ją bardzo. Uprzytomniła jej wielką jego dobroć

i przywiązanie. Przed ostatnią bitwą napisał do niej krótki list, w którym donosił, że szanse są równe dla obu stron i zapewniał o swym uczuciu. Pisał ze smutkiem:

Wiem, że Denzil był u Ciebie. Mówił mi o tym. Wiem również, że się kochacie. Dla nas pozostaje jedno wyjście na przyszłość, a mianowicie dziecko. Gdy ono przyjdzie, być może iż zapełni sobą próżnię Twego życia i zadowoli Cię. O to się modlę. W przeciwnym zaś razie musimy postąpić tak, żebyś Ty nie cierpiała. Jesteś niewinna i nie mogę dopuścić do Twoich łez.

Jak dobry i szlachetny był zawsze John! A ten drugi jego list do adwokatów, w którym poleca, by jej ułatwili małżeństwo z Denzilem — co za dobroć! Toteż jej żaloba po Johnie była szczerą i głęboką, jak po ukochanym bracie. Lecz podczas długich miesięcy choroby Denzila zobojętniała na wszystko inne, nawet dziecko mało ją zajmowało.

Z końcem sierpnia jego stan przestał budzić obawy, choć mało było nadziei, aby mógł on kiedykolwiek chodzić normalnie. To było jednak kwestią uboczną, a z czasem stało się nawet pewną pociechą dla obu kochających go kobiet, z tego względu, że Denzil jako inwalida, prawdopodobnie nie pójdzie już nigdy na front.

Obie kobiety pisywały do siebie często, lecz postanowiły nie widywać

się. Nawet pomimo poleceń Johna czuły, że musi upłynąć co najmniej pół roku od jego śmierci. Zapewne drugi granat musiał paść w miejsce, gdzie leżały zwłoki Johna, bo jego ciała nigdy nie odnaleziono, tylko połową lunetę, połamaną i zgniecioną. I gdyby nie to, że Denzil widział go w chwili śmierci, nie byłoby żadnej pod tym względem pewności.

Harietta Boleska, Stanisław i Ferdynand Ardayre spędzili lato w Paryżu, wyjeżdżając od czasu do czasu do Fontainebleau.

Gdy zginął John, Harietta bardzo się tym zaniepokoiła.

Teraz Stefan będzie się mógł ożenić z tą nienawistną angielską lalką i zrobi to na pewno, zaraz po ukończeniu żałoby! — Myśl ta gryzła ją i wszystko zamieniała w żółć. Nic je nie cieszyło. Coraz bardziej buntowała się przeciw nudnemu trybowi swego obecnego życia. Wojna była udreką, z którą należy skończyć raz na zawsze — powtarzała często Hansowi. W końcu zaczęła uprawiać z zapalem szpiegostwo w braku ciekawszego zajęcia.

Tak mijały miesiące i nadszedł listopad, a szalona nienawiść do Amarylis wzbierała stopniowo w sercu Harietty.

Weriszczenko we wrześniu odjechał do Rosji, a Harietta była pewna, że on kocha Amarylis, i że dziecko tej ostatniej, jest jego dzieckiem. Nie mieściło się w jej głowie pojęcie idealnej, duchowej przyjaźni, a przy tym Stefan zmienił się bardzo w ostatnich miesiącach. Od chwili jego powrotu do Paryża usiłowała wiele razy obudzić w nim zainteresowanie i zawsze nadaremnie! Czuła się więc teraz jak tygrysica, której odebrano zdobycz.

Im silniej przekonywała się o jego obojętności, tym bardziej wzrastała jej miłość dla niego i kiedy Weriszczenko we wrześniu opuścił Paryż, Harietta cały tydzień chorowała ze zmartwienia. Odtąd zrobiła się posepna i kapryśna — a życie Stanisława stało się istnym piekłem. Ferdynandowi wiodło się nieco lepiej.

Przy końcu listopada zaszedł fakt, który doprowadził jej zazdrość do prawdziwego szaleństwa.

Dowiedziawszy się, że Weriszczenko powrócił do Rosji, udała się do

jego mieszkania. Służący Rosjanin, który ją znał od dawna, oczekiwał powrotu pana. Harietta, bez słowa, weszła do mieszkania i udała się do pracowni, a stamtąd do sypialni. Nie wierzyła, że Stefana nie ma w domu i chciała się naocznie przekonać. Pokój był pusty, lecz lampka paliła się przed ikoną, której drzwiczki były zamknięte.

Tknięta ciekawością Harietta zbliżyła się i zaczęła je oglądać. Znała ten pokój tak dobrze, nigdy jednak dotąd nie było tej ikony. Przed nią stał stół urządzonej jak ołtarz, a ikona wpuszczona była w rzeźbioną boazerię ściany. To musiało się stać w czasie, kiedy się nie spotykali, od czerwca bowiem Harietta nie była w tym pokoju. Ogarnęła ją złość na myśl, że ikona jest zamknięta i nie można widzieć jej wnętrza. Ta głupia rzecz musi mieć dla Weriszczenko jakieś ważne znaczenie.

Pochyliła się i potrząsnęła drzwiczkami; nie otworzyły się wcale, a gniew Harietty wzrósł jeszcze bardziej. Jakaś tajemnicza siła zmusiła ją do popełnienia-świętokradztwa. Targała długo złotą klamrą, a gniew pomnażał jej siły. Wreszcie drobny zamek wyskoczył i drzwiczki się otworzyły. We wnętrzu ikony ukazał się obraz najświętszej Panny, trzymającej w ramionach dzieciątko. Mimo całego uroku świętości' bijącej z oczu Madonny, twarz jej była wiernym portretem Amarylis Ardayre.

Hariettę ogarnął szal. Jej rywalka triumfowała! To był dla niej dowód niezbity; nie wiedziała, że ma to znaczenie duchowe, mistyczne, że jest to wyraz jego czci i że jego słowiańska natura kazała mii przemienić Amarylis w symbol czystości, aby mu co dzień przypominał, że jest ona tylko panią jego duszy. Takie rzeczy były dla Harietty niepojęte, a ikona stanowiła jedynie dowód jego miłości do Amarylis. Oczywiście, gdy minie, rok żałoby, ona zostanie jego żoną.

Drżała cała z oburzenia. Nigdy jej nic tak nie przejęło. Wyjęła z kapelusza szpilkę i wydrapała nią oczy Dziewicy, trzęsąc się ze złości, a potem podrapała i pokłula twarzyczkę Boskiego Dziecięcia. Dokonawszy tego, zgasiała lampkę i zatrzasnęła drzwiczki.

Śmiała się dziko, wychodząc z sypialni.

Prawdziwa „Dziewica” i jego dziecko! Aleja go nauczę! — i przeszła koło lokaja z przekleństwem na ustach, tak że stary sługa przeżegnał się i prędko zamknął za nią drzwi.

Gdy znalazła się w swoim złoconym salonie w Universalu, byłaby

z chęcią skrzyła czyjś kark. Nigdy w życiu nie była tak rozdrażniona, jak dzisiaj. Z uczuciem ulgi kopnęła Fou-Chou, który uciekł natychmiast do swej wiernej Marii, kiedy weszła, aby zabrać sobolowe futro pani. Twarz pokojówki pociemniała, a wyraz ponurej nienawiści pojawił się w jej czarnych oczach.

— Ona ciebie za często kopie, mój pieścioszku! — szepnęła do biednego pieska, gdy znalazła się za drzwiami. — Ale zobaczmy! Twoja Maria wie dużo takich rzeczy, które może już niedługo ją zgubią.

Harietta zatelefonowała do Ferdynanda, żeby natychmiast przyszedł.

W umyśle jej powstał pewien plan, który zamierzała wykonać za wszelką cenę. Ferdynand był właśnie w swoim pokoju w hotelu i pospieszył na jej wezwanie. Zastał ją bladą z gniewu i wydawało mu się, że się postarzała.

Ona zaś ucałowała go lubieżnie i rzekła ochryplym szeptem:

— Ferdie! Musisz coś dla mnie zrobić! — Nie możesz dopuścić do tego, aby syn Weriszczenki stał się panem w Ardayre. Będziemy czekać cierpliwie i kiedyś może uda nam się go zgładzić. A teraz powiem ci, jaki mam plan; to cię powinno ucieszyć.

Wiedziała, że może liczyć na niego, bo od chwili urodzenia Benedykta i śmierci Johna, Ferdynand dyszał zemstą i pienił się, grożąc bezsilnie swym wrogom.

Miłość do Harietty przynosiła mu same cierpienia, ale jej bezwzględność wzmagała w nim uczucie zazdrości i potęgowała jego żądzę. Wiedział, że Harietta kocha Rosjanina, którego sam nienawidził ze wszystkich sił, dlatego teraz, gdy mu zaproponowała zemstę nad obydwojma jego wrogami, Weriszczenką i małym Ardayre'm, postanowił ją wykonać.

— Powiedz mi wszystko — prosił. Pociągnęła go ku sofie i wzięła notes i ołówek.

— Czy nie masz gdzieś pisma twego zmarłego brata, Johna, a jeżeli nie, to czy nie możesz się o nie w jakiś sposób wystarać? — spytała. Twarz Ferdynanda płonęła podnieceniem. Co ona zamierza uczynić?

— Przechowuję u siebie jeden list, w którym zakazał mi pisać i pokazywać mu się na oczy i oznajmił mi, że nie jestem ich krewnym, tylko bastardecem, Turkiem.

— To cudownie! Gdzie go masz? Czy jest tutaj?

— Tak, w moim biurku. Zaraz go przyniosę.

— Bardzo dobrze. Postaram się pozbyć Stanisława na ten wieczór, tak że będziemy mieli kilka godzin dla nas samych i zobaczysz, że ja ci pomogę w dziele zemsty.

I kiedy Ferdynand się oddalił, zaczęła przechadzać się podniecona po pokoju.

— W każdym razie zapobiegnie to na długi czas małżeństwu Amarylis ze Stefanem—myślała. Świadomość, że straciła bezpowrotnie Weriszczenkę wyprowadzała ją z równowagi. Po raz pierwszy w życiu została porzucona przez mężczyznę. Z nienawiścią w duszy myślała

● tym, jak wysoko musi on cenić Amarylis. Wydawało się jej, że prócz niego niczego teraz w życiu nie pragnie, a zarazem czuła, że go straciła zupełnie i że go nigdy naprawdę nie posiadała. Był to jedyny człowiek, którego potrafiła przyciągnąć, ale nie mogła go nigdy ujarzmić ani nim zawłanać. W myśli rozważała wszystkie spotkania z Weriszczenką. Z jaką bezczelnością ją traktował nawet w chwilach, w których uległa namiętności. A jak ona go uwielbiała! Byłaby teraz chętnie czołgała się w prochu u jego stóp. Nie wiedziała, że może tak kochać. Drżała z nienasyconego pragnienia. Gdyby miała przed sobą w tej chwili Amarylis, darłaby z niej pasy i wyklęła jej żywe oczy tą samą szpilką od kapelusza.

Trzeba jednak przede wszystkim zapobiec małżeństwu Stefana! A z czasem może się uda inna zemsta. Hans? Tak, wykona ją Hans z Ferdynandem. Zacisnęła kurczowo ręce, aż paznokcie wbiły się w jej dłonie. Żaden dziki zwierz w klatce nie mógł czuć bardziej szalonej wściekłości.

Kiedy Ferdynand powrócił z listem Johna, opanowała się i usiadła przy stole obok niego, obserwując próby naśladowania pisma i zdradzając mu szczegóły zaplanowanej zemsty.

— Ciało Johna nie znaleziono wcale, jak wiesz — rzekła. — Ja znam wszystkie szczegóły od człowieka, który był tam na miejscu. Znaleźli tylko jego lunetę i buty. Mógł przecież dostać się do niewoli niemieckiej i leżeć w szpitalu, a dotychczas nie pisał z powodu braku sił. Pomyśl teraz nad tym, jakimi słowami ma się odezwać po raz pierwszy do swej angielskiej lalki.

— Najlepiej będzie napisać tylko parę słów, bo nie wiemy, jakie były ich prywatne stosunki. Myślę, że gdybyśmy mogli zdobyć pocztówkę niemiecką, to byłoby najbardziej przekonujące.

— Oczywiście. Mam kogoś, kto mi ją dostarczy. Warto poczekać na to i tydzień. Dostanę ich więcej, a tymczasem ty ćwicz się w pisaniu.

Po upływie pół godziny zdołali dokonać wcale udanej kopii pisma i oboje rozstali się z uczuciem głębokiego zadowolenia.

* * *

Było już postanowione, że Denzil wraz z matką spędzą Boże Narodzenie w Ardayre u Amarylis. Oboje czuli, że to ich spotkanie będzie chwilą nadzwyczajną. Zniknęły już bowiem przeszkody do ich szczęścia, a wszystko zwiastowało radość. Miesiące, dzielące ich od śmierci Johna, zmieniły Amarylis w pogodną, dzielną istotę. Cały ciężar administracji majątków spadł na jej młode barki, a ona usiłowała go dźwigać z godnością i powodzeniem, nie cofając się pomimo tego przed pracą w organizacjach społecznych hrabstwa. Rozwinęła się też fizycznie i z młodego, uroczego dziewczęcia przemieniła się w kwitnącą, urodziwą kobietę. Co też Denzil pomyśli, gdy ją ujrzy? To była jej nieustanna myśl, a także co on powie na małego Benedykta?

Wielkie salony zamku Ardayre były stale zamknięte, z wyjątkiem zielonego saloniku, a pani domu żyła w swoich komnatach, spędzając czas najchętniej w cedrowym pokoju. Był on teraz wypełniony książkami i innymi drobiazgami, znamionującymi gust Amarylis. Pokoje dziecinne znajdowały się na piętrze powyżej.

Oczekiwani goście mieli przybyć 23 grudnia i kiedy zbliżała się godzina przyjazdu, Amarylis czuła, że robi się jej zimno i gorąco na przemian ze wzruszenia. Odziana była wspaniale w miękką, czarną tkaninę, a serce jej zabiło mocno, gdy usłyszała kroki w hallu. Potem otworzyły się drzwi zielonego salonu i oznajmiono pułkownika i panią Ardayre, którzy zostali powitani natychmiast po przyjacielsku przez duże psy, a następnie dopiero mogli powitać panią domu. Serce jej ścisnął smutek, gdy ujrzała Denzila. Był on chudy i blady i szedł z trudem o lasce. Był to cień tego wspaniałego mężczyzny, który

niedawno odwiedził Ardayre. Lecz gorejące oczy i wichrowata brązowa czupryna pozostały takie same.

Wszyscy troje byli ludźmi obytymi w towarzystwie, więc pierwsze powitanie poszło gładko i niebawem zasiedli przy stole, na którym syczał imbryk z herbatą i pyszniły się babki i wiejska śmietanka. Amarylis była czarująco uprzejma i pełna godności, a w duszy czuła się dziwnie nieśmiałą i szczęśliwą.

Nie widzieli się i nie pisali do siebie od tego kwietnia, kiedy Denzil pożegnał ją na Brook Street, a który teraz zdawał się być oddalony o całe wieki.

Jej sympatia dla Denzila wzrosła stokrotnie. On zaś, patrząc na nią nalewającą herbatę, myślał w jaki sposób ma się starać o jej rękę, zanim będzie mógł nazwać ją swoją. Jej nieśmiałość i delikatność zachęcały go. Podwieczorek przeciągał się dla niego w nieskończoność i nie mógł się doczekać chwili intymnej rozmowy.

Pani Ardayre zachowała się z wrodzonym taktem. Mówiła o różnych miłych i wesołych rzeczach, w końcu zapytała o dziecko. Musi być piękne teraz, gdy liczy już siedem miesięcy.

Żywe rumieńce na twarzy Amarylis stały się jeszcze żywsze, a jej jasne oczy przybrały aksamitny wyraz.

— Zobaczycie go rano. On teraz śpi. Dla mnie jest oczywiście nadzwyczajny, ale sądzę, że w rzeczywistości jest zupełnie zwyczajnym dzieckiem.

Ukradkiem spojrzała na Denzila i spostrzegła, że na jego twarzy odbiło się rozczarowanie, gdy usłyszał, że dopiero nazajutrz rano zobaczy dziecko. Fala szczęścia zalała jej serce. Miała bowiem zamiar zaprowadzić go samego do syna, teraz, ale bez świadków.

Kiedy skończyli herbatę, pani Ardayre wyraziła życzenie udania się do swojego pokoju.

— Czuję się zmęczona, drogie dziecko — rzekła wesoło do Amarylis — i pragnę wypocząć parę godzin przed obiadem.

— Zatem chodźmy, pokażę wam wasze pokoje.

Weszli powoli na szerokie schody, Denzil ostatni, a na górze Amarylis zatrzymała się i rzekła do niego:

— Może sobie przypominasz, że to są drzwi do cedrowego pokoju na końcu korytarza. Tu mnie zastaniesz, gdy odprowadzę twoją matkę

do siebie. Twój pokój jest obok niej — i palcem wskazała sąsiednie drzwi, poza arkadą galerii. Po czym udała się z panią Ardayre naprzód.

Dziwny nerwowy niepokój zmusił ją do przedłużenia pobytu w pokoju kuzynki.

— Czy kuzynka Beatrycze czuje się tu dobrze? Czy jej niczego nie potrzeba? — Pokojowa zajęta była właśnie rozpakowywaniem rzeczy, pokój był ogrzany i pachniał lawendą, a na stole stały w kloszach duże pęki fiołków.

— Moje drogie dziecko, to raj prawdziwy, a ty jesteś jak anioł. Świetnie się tutaj czuję po mroźnej podróży.

Wreszcie zabrakło pretekstu do pozostawania tu dłużej i Amarylis wyszła z pokoju, ale idąc korytarzem czuła, że kolana jej drżą i przechodząc koło schodów musiała na chwilę przystanąć i oprzeć się

o balustradę.

Nadeszła długo oczekiwana chwila!

Gdy otworzyła drzwi cedrowego salonu, w którym świeciły przyćmione lampy i płonęły drwa na kominku, zastała tam już Denzila, siedzącego na sofie, przy ogniu.

Pobiegła do niego, zanim zdołał powstać, wiedziała, że każde poruszenie sprawia mu ból, usiadła przy nim i wyciągnęła obie ręce.

— Mój najdroższy! — Wyszeptała w uniesieniu i osunęła się w jego ramiona.

Ach! Co za szczęście! Nareszcie, po miesiącach rozłąki, rowów strzeleckich, bitew i cierpienia, po dniach i nocach konania i bólu! Denzil czuł, że jego dusza się rozplywa, teraz przyszło do niego samo niebo.

Przez jakiś czas trudno im było mówić rzeczowo, zbyt wielkie było bowiem ich szczęście.

— Nareszcie! Nareszcie! — Wołał Denzil. — Teraz już się nigdy nie rozłączymy!

Potem musiał usłyszeć, że ona go jeszcze zawsze kocha.

— Teraz ja ciebie będę pielęgnować, Denzilu i cieszę się z tego — szczebiotała Amarylis.

— Niewiele myślałem o mojej ranie — odparł Denzil. — Przez te wszystkie miesiące żyłem myślą o tej chwili, która teraz nadeszła

i wierzyć mi się nie chce, że to prawda, a nie cudny sen.

Przez całą godzinę nie mogli o niczym innym mówić, jak tylko o sobie i o swej miłości. Opowiadali sobie wzajemne swe obawy i tęsknoty, a wreszcie wspomnieli Johna.

— On był wspaniały — rzekł Denzil — do samego końca bezinteresowny. — Potem opowiedział jej szczegóły o jego ostatnich chwilach, jego ostatnie słowa i zlecenia dla niej.

— Gdyby on mógł nas tu widzieć, pewien jestem, że cieszyłby się z naszego szczęścia.

— Wiem o tym — odpowiedziała, ale oczy jej napęłniły się łzami. Denzil łagodnie pogłaskał jej rękę. Nie całował jej i była wdzięczna

za jego delikatność, a po chwili przytuliła się do jego ramienia.

— Denzilu, gdy będziemy żyli tutaj razem, musimy się starać, żeby zawsze tak postępować, jakby sobie tego życzył John. On w ten dom i ród włożył całą swą duszę, a ty musisz mi pomagać, abym się stała godną tytułu matki Ardayrów.

Nie mówiła dotychczas o synu, dziwna jakaś nieśmiałość wstrzymywała ją od tego, pomimo całej serdeczności. Ale myśl o nim była im ciągle bliska, drgała w ich sercach. A teraz rozkosznie będzie szeptać o nim.

Denzil czekał, aż ona rozpocznie rozmowę. Nie chciał się z niczym narzucać ani niczego żądać. Ona ma pozostać królową, nie tylko jego serca ale wszystkiego, tak długo, dopóki sama nie złoży władzy w jego ręce.

Ale teraz, gdy pochylił się ku niej, oczy jego posmutniały.

— Kochanie, czy nie będę mógł nawet widzieć mego syna? Wtedy Amarylis z okrzykiem radości rzuciła się w jego objęcia. Jej

nieśmiałość stopniała nagle zupełnie i z rozkoszą poczęła mu opowiadać o ich skarbie.

— Zobaczysz, że on jest twoim obrazem, Denzilu, tak jak się tego spodziewaliśmy, a teraz pójde go tutaj przynieść, bo schody do dziecinnego pokoju są zbyt uciążliwe dla ciebie.

Wybiegła szybko, a Denzil siedział przy kominku, drżąc ze wzruszenia, którego nie potrafiłby sam opisać.

Drzwi otworzyły się znowu i Amarylis powróciła, niosąc uśpione niemowlę w długiej białej koszulce, owinięte w powłóczysty biały szal.

Przysunęła się do niego na palcach, maleństwo spało mocno. Dała

znak Denzilowi, aby się nie ruszał i schyliwszy się, złożyła drogi ciężar na jego rękach.

Oboje wpatrywali się długo w jego twarzyczkę oczami pełnymi zachwyty.

Był to białoróżowy cherubinek, podobny do setek innych dzieci. Długie rzęsy ocieniały zaróżowione policzki, a drobne loczki kędzierzawych brązowych włosów wymykały się spod czepeczka z perkalu. Im dwojgu jednak wydawało się, że to dziecko jest jedynym na świecie i piękniejszym od jutrzenki.

— Czyż nie jest śliczny? — Szepnęła Amarylis w zachwyceniu.

— Cudowny! — Odpowiedział Denzil głosem pełnym przejęcia.

* *

Przy obiedzie wszyscy czuli się szczęśliwi. Pani Ardayre promieniowała harmonią na swe otoczenie. W czasie długiej rekonwalescencji syna zrozumiała nareszcie prawdę i chociaż nigdy na ten temat nie rozmawiali, Denzil czuł, że jego matka rozumie faktyczny stan rzeczy, a to ułatwiło sytuację.

Po obiedzie, w zielonym salonie, Amarylis usiadła do fortepianu i grała dla nich, po czym wszyscy troje przeszli do cedrowego pokoju i przy kominku snuli plany i marzenia.

O ile by powrót Denzila do armii na froncie lub za frontem okazał się rzeczą wykluczoną, postanowił wejść do parlamentu. Myśl porzucenia służby wojskowej sprawiała mu wielką przykrość, toteż obie kochające go kobiety dokładały wszelkich starań, aby mu parlamentarną pracę przedstawić w najpiękniejszym świetle. To jedno było pewne, że jakikolwiek obrót wezmą wypadki, jego wojowniczy temperament nie pozwoli mu nigdzie tkwić beczynnie.

Zdecydowali, że ślub ich odbędzie się z początkiem lutego. Wszyscy ich znajomi wiedzieli już o ostatnim zleceniu Johna, nikt zatem nie będzie tego faktu złośliwie komentował.

A kiedy Beatrycze Ardayre powiedziała im dobranoc i odeszła, Denzil przyciągnął ku sobie Amarylis i rzekł:

— Myślę, że świat będzie zupełnie inny teraz, po tej wojnie, moje kochanie. Jeżeli ona potrwa długo, to cierpienia, nędza i wyrzeczenie się

tworzą fundamenty nowego systemu społecznego, a my wszyscy powinniśmy być przygotowani do spełnienia zadań, jakie nas czekają. Yylko głupcy i słabi kurczowo trzymają się starych systemów wtedy jt-szcze, gdy już fala czasu zatopiła je, jako rzecz bezużyteczną. Cokolwiek zdaje się być dobre dla Anglii, to powinno być naszym celem, chociażby oznaczało zerwanie z wiekową tradycją rodzinną i jej ideałami. Czy chcesz być ze mną, najdroższa, choćby się nam miało wydawać, że idziemy ponad przepaścią?

— O tak! Denzilu!

— Starodawny ustrój dał Anglii jej wielkość, lecz ten okres przeminął już dla wszystkich, a naszym zadaniem jest stać silnie i trzeźwo kierować nowymi prądami, tak aby one posłużyły do świetności i potęgi ojczyzny i nie zmiotły z powierzchni świata cywilizacji i kultury, jak się to stało po upadku państwa rzymskiego. To powinno być rzeczą bardzo łatwą, bo przecież, jak mówi Stefan, posiadamy tyle wrodzonego rozumu. Byłoby zaś rzeczą jeszcze łatwiejszą, gdyby ci, co stoją u steru, mieli rzetelną odwagę i nie starali się za wszelką cenę zdobywać mandatów czy godności, bo wskutek tego stają się chwiejni i bojaźliwi w decydującym momencie. Gdyby polityk posiadał tę upartą, pogodną pewność, jaką ma żołnierz w rowach strzeleckich, moglibyśmy się stać wielkim narodem.

— Myślę, że tak, ale człowiek potrzebuje też jasnego poglądu, aby mógł iść prosto przed siebie, a nie potykać się o stare uprzedzenia; ludzie tyle razy dążą daremnie do celu, dlatego tylko, że nie chcą zdobyć się na siłę woli potrzebną do wykorzenia swych ujemnych właściwości, które stają się dla nich niewyciężoną przeszkodą.

Denzil w tej chwili nie patrzył na nią, oczy jego pełne światła skierowane były ku górze i Amarylis uświadomiła sobie, że nie tylko namiętność przyciąga ją ku niemu, ale wyższe uczucie — duma i radość napełniła jej duszę. Postanowiła być istotnie jego towarzyszką i dzielić z nim wiernie walki i prace dla szlachetnych celów. Czas jakiś mówili o swych planach, potem o Weriszczence i Amarylis zapytała Denzila jakie ma od niego wiadomości i czy on jest jeszcze w Rosji.

— Stefan przybędzie do Londynu za tydzień. Dziś dostałem list. Czy nie chcesz go zaprosić, najdroższa, na Nowy Rok tutaj? Tak by było miło zobaczyć go i pogadać z nim do woli.

Rzecz naturalna, że postanowili to uczynić. Potem rozpoczęły się znów czułe szeptania, aż do chwili, w której powiedzieli sobie nawzajem dobranoc.

* *

Boże Narodzenie roku 1915 minęło dla nich jak jakiś cudowny sen o szczęściu. Z każdą godziną rosły pomiędzy nimi porozumienie i miłość. Spędzali długie zimowe wieczory w cedrowym pokoju zagłębieni w książkach, a największą rozkoszą dla Amarylis były chwile, gdy spoczywała w jego objęciach, a on czytał jej głośno swoim głębokich, melodyjnym głosem.

Beatrycze Ardayre zachowywała się jak stara kotka mruczająca na słońcu, podczas gdy jej kocięta bawią się na dywanie. Ukochany jednak był szczęśliwy, więc i ona była zadowolona. Umiała zjawić się zawsze w porę, gdy była potrzebna, ale przeważnie pozostawiała narzeczonych samych.

Drugą ich przyjemność stanowiły przejażdżki autem po ślicznej okolicy i zwiedzanie starych kościołów, farm i zamków, w które bfitują okolice North Somerset. Objeżdżali też swoją posiadłość i poznawali swych włościan i dzierżawców. Ogólna sympatia towarzyszyła ich związkowi, o którym już wszyscy dzierżawcy i oficjaliści wiedzieli z testamentu Johna, pomimo że ogłoszenie zaręczyn miało nastąpić dopiero po Nowym Roku. Największą radością jednak była zabawa z maleńkim Benedyktem, zanim go ułożyli do snu. Byli równie niedorzeczni i pierwotni jak każda inna para rodziców pierwородnego dziecięcia. Dziecko było piękne i dobrze rozwinięte, a nawet zaczynało już objawiać silną i zdecydowaną własną wolę i temperament. O jego przymiotach i doskonałościach rodzice opowiadali sobie cuda.

Żadne z nich nie marzyło nawet o takiej pełni szczęścia mistycznego, symbolicznego i materialnego, jakie obecnie stało się ich udziałem. A myśl o tym, że wkrótce połączą się na wieki ślubem małżeńskim była czymś cudownym i niezwykłym.

Rycerskość obejścia Denzila nigdy się nie załamała i z każdym dniem wzrastał ich wzajemny szacunek dla siebie. Weriszczenko miał przybyć na obiad w ostatnim dniu starego roku.

Całe to popołudnie było jakby upojnym snem, a spędzili je w małym aucie Amarylis, jeżdżąc dokoła parku i po okolicznych wzgórzach. Amarylis prowadziła sama. Wyszli na szczyt i stanęli oparci o furtkę, a przed nimi rozciągał się w dole daleki widnokrąg; spokojna radosna, żyzna Anglia! Kilometry najpiękniejszych jej pól, łąk i lasów leżały przed nimi, a z placu boju nie dochodziło żadne echo.

— Gdybyśmy urodzili się przed sześćdziesięciu laty, Denzilu, jakże odmienne wrażenie musiałby wywołać ten widok w naszych umysłach. Nie mielibyśmy trosk i obaw, czulibyśmy się szczęśliwi, że ta ziemia należy do nas i zawsze będzie należeć. Świat był wtedy w letargu!

— Stefan by powiedział, że świat odpoczywał przed bólami walki. Obecnie czeka nas walka cięższa niż wojenne zmagania we Francji, ale jeżeli pozostaniemy silni, to zwyciężymy. Zawsze byliśmy zdrowsi od innych narodów, może więc i obecny przewrót u nas będzie miał rozumniejszy przebieg.

— Cokolwiek nas spotka, będziemy razem Denzilu, a wtedy cóż to wszystko znaczy? Musimy naszego Benedykta uzbroić do walki z życiem tak, aby mógł dzielnie potykać się z warunkami naszego jutra.

— Spójrz kochanie na tę błękitną dal, czy można sobie wyobrazić coś bardziej kojącego? Jak może ktoś uwierzyć, że o dwieście mil stąd wojna sieje spustoszenie, śmierć i ruinę dokoła siebie?

Denzil otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie serdecznie.

— Ale na chwilę musimy się starać o wojnie zapomnieć. Nigdy nie marzyłem o tak wielkim szczęściu jak nasze, moja najdroższa!

— Ani ja Denzilu; prawie się lękam.

Ale on ucałował ją gorąco i nie pozwolił jej na obawy i trwogę. Czego się lęka? Nic im nie grozi; skoro zawsze będą już razem. Zbliża się termin ich ślubu, a potem już nikt i nic ich nie rozłączy.

I wreszcie mgliste obawy ustąpiły z jej serca i poczęły snuć szeptem dalsze świetlane plany na przyszłą wiosnę i lato i na dalsze lata. Tak wrócili do domu i zastali popołudniową pocztę, którą Filson dopiero co przyniósł i położył na stole. Listy Amarylis leżały na jej biurku.

Dla Denzila nie było tym razem niczego, więc poszedł do kominka i stał głaszcząc głowę Merkurego, największego z psów, gdy nagle usłyszał jęk ukochanej i podniósłszy głowę ujrzał, że osunęła się na fotel

z twarzą śmiertelnie bladą, a z jej dłoni wypadła na podłogę zagraniczna kartka pocztowa.

Co to mogło znaczyć?

* *

Weriszczenko przybył z Rosji wprost do Anglii. Nie widział Paryża od września i nic jeszcze nie wiedział o czynie Harietty, gdyż nieprzewidziane wypadki opóźniły jego powrót. Tymczasem jednak zdołał osiąść niezbite i dostateczne dowody jej zbrodni.

Myślał o tej sprawie w pociągu unoszącym go ku Ardayre. Harietta była groźnym niebezpieczeństwem dla Koalicji i zdradzała ją raz po raz. Postanowił działać bez miłosierdzia. Ostatnie jej zdrady skierowane były przeciwko Francji, tam też postanowił ją ukarać.

Wrodzone okrucieństwo wzięło w nim górę, gdy rozważył, ile złego ta kobieta już uczyniła. Z półmroku wagonu zdawała się spoglądać na niego znekana twarz Stanisława. Ileż mogła dokonać Polska, gdyby nie ta kobieta, co złamała duszę jej wielkiego przywódcy, Boleskiego! A obok Stanisława widział w swej wyobraźni nieznaną twarz dzielnych Francuzów, zdradzonych przez nią za pośrednictwem Hansa i rozstrzelanych w Niemczech.

Śmierć szpiega podczas wojny nie jest hańbiącą, bo składa on swe życie w ofierze dla ojczyzny i gdyby Harietta pracowała dla jednego tylko państwa i z pobudek patriotycznych, Weriszczenko pragnąłby uratować ją teraz od śmierci; ale ona nigdy nie była szczerą i rzetelną, nie miała patriotyzmu i zdradzała tajemnice i przed nim, i przed Hansem. Nagle zaśmiał się dziko: a więc ten jej tancerz na balu w Ardayre to był jej pierwszy mąż! Ten sam, który ją bił laską, kazał jej wziąć rozwód i poślubić Stanisława na rozkaz Wyższych Władz.

Co za piekielnie mądry plan! Gdyby nie zagrożenie, jakie stwarzała, chętnie by jej pozwolił żyć dalej, aby móc obserwować dalszy rozwój wypadków, lecz na szali leżały zbyt żywo inne sprawy. Nie zawaha się; natychmiast po powrocie do Paryża wyda ją władzom francuskim jako szpiega i to bez cienia żalu. Użyła życia i chodziła krętymi drogami — teraz niech za to zapłaci.

Gdy Filson oznajmił jego przybycie do Ardayre, na powitanie

165

wyszedł Denzil i uściskał jego rękę. Weriszczenko zauważył, że twarz przyjaciela była poważna i blada.

— Tak się ogromnie cieszę z twego przybycia, Stefanie — rzekł i uściskali się serdecznie.

— Właśnie ty jesteś jedynym człowiekiem, którego w tej chwili pragnę widzieć, bo ty jeden znasz całą historię. Stało się coś niezwykłego! Otrzymaliśmy list od Johna, który jest rzekomo w niewoli niemieckiej w obozie jeńców, a przecież ja na własne oczy widziałem, że zginął na polu bitwy.

Weriszczenko przeraził się. Gdyby się okazało, iż John istotnie żyje, byłaby to straszna komplikacja.

— List, a raczej kartka w kopercie przyszła dzisiaj po południu i okropnie nami wstrząsnęła. Trudno w takiej chwili analizować swoje uczucia. John ma prawo do życia powinniśmy się z tego cieszyć, a jednak myśl o wyrzeczeniu się Amarylis, o nowym rozstaniu i cierpieniu jest okropna!

Weriszczenko tymczasem usiadł w dużym, zielonym fotelu, a Euterpe, piękna suka, zbliżyła się do niego i oparła swój łeb na jego ramieniu. Głaskał ją pieszczotliwie i usiłował uspokoić wzburzone nerwy, aby odzyskać jasność myślenia.

— Czy John osobiście do niej pisał? Czy przez trzecią osobę? — zapytał.

- Zdaje się, że to jest jego pismo. — Denzil stał, oparty o kominek, a twarz jego stawała się coraz bardziej ponura.

— Píše, że został wzięty do niewoli podczas kontrataku i że dotychczas nie mógł pisać, bo leżał ciężko chory. Nie rozumiem tego co prawda zupełnie, bo oni wcale nie robili kontrataku, dopiero po zabranii mnie przez sanitariuszy, a chociaż sam byłem nieprzytomny, to jednak ci ludzie widzieliby Johna i nie zostawiliby go bez pomocy. John nie miał szans na przeżycie.

— To wygląda dziwnie. Opowiedz mi jeszcze raz wszystko najdokładniej, Denzilu.

Denzil więc zaczął powtarzać historię ostatnich chwil Johna z najdrobniejszymi szczegółami. W rezultacie ustalili niezbicie dwa fakty: że ciała Johna nie odnaleziono i że Denzil widział jego śmierć.

— Ile potrzeba czasu na kontakt z nim? Może to zrobić przez

ambasadę amerykańską, bo nie podał swego adresu? Jak on musi cierpieć, gdy tak leży bez żadnych wiadomości. Mówię tak, gdyż muszę przyjąć to pismo za autentyczne, choć nie mogę uwierzyć, że on naprawdę żyje.

Weriszczenko milczał przez chwilę, potem zapytał:

— Czy mógłbym widzieć panią Amarylis?

— Tak, kazała cię prosić do siebie, gdy tylko przyjedziesz i dowiesz się o wszystkim. Chodź ze mną.

Udali się na górę i nie mówiąc słowa, zbliżyli się do drzwi cedrowego gabinetu. Wówczas Denzil wpuścił gościa pierwszego, a sam rzekł do Amarylis:

— Przeprowadziłem ci Stefana. Zostawię was teraz samych. Amarylis była biała jak ściana, a jasne jej oczy wyrażały lęk

i przerażenie. Wyciągnęła obie ręce do przyjaciela, ten zaś ucałował je z serdeczną czcią.

— Pani mej duszy!

— Ach Stefanie! Pomóż mi, radź mi! To taka okropna chwila w moim życiu! Co mam począć?

— To rzeczywiście trudna sprawa. Musimy się nad tym zastanowić.

— Biedny John! Powinam się cieszyć z tego, że on żyje i cieszę się naprawdę, ale, ach Stefanie, ja tak bardzo kocham Denzila. To wszystko jest okropnie powikłane. I tak mnie dziwi to, że John jest w pełni sił umysłowych i że nie stracił pamięci, a jednak wie przecież, że według jego ostatniej woli Denzil i ja powinniśmy być już dziś małżonkami. On zaś o tym ani słowem nie wspomina, pisze, jak gdyby nie istniały żadne komplikacje.

— To brzmi dziwnie. Czy mogę zobaczyć ten list?

Amarylis wstała i wzięła z biurka kopertę, zawierającą kartę. Nie była to karta poczty polowej, używana zazwyczaj przez jeńców; z jednej strony był widok jakiegoś miasta niemieckiego, a na kopercie była marka i pieczęć holenderska. Weriszczenko przeczytał ją uważnie:

— *Byłem tak chory, że nie mogłem dotychczas pisać. Zostałem wzięty do niewoli w kontrataku i byłem nieprzytomny. Tę kartę posyłam dzięki uprzejmości pielęgniarki, przez Holandię. Wszyscy mnie zapewne uważali za zmarłego. Tęsknię za wieściami o Tobie,*

najdroższa. Ufam, że już niedługo wyzdrowieję. Nie martw się mną. Zostanę przeniesiony do innego szpitala i stamtąd podam Ci mój adres. Serdeczności.

John

Pismo było raczej chwiejne, jak zwykle u osób ciężko chorych, ale imię Johna było energiczne i czytelne.

— Czy jest pani pewna, że to jego pismo?

— Tak — odparła, podając mu drugi list, ostatni list Johna pisany przed bitwą. — Może pan sam stwierdzić, że pismo jest to samo.

Stefan zbliżył oba listy do lampy i pochylony badał je uważnie. Nagle wydał okrzyk:

— Do diabła — I zamiast czytać pismo, zaczął nagle mocno wachać kartkę raz, drugi i trzeci. Amarylis patrzyła osłupiała.

— Ten sam! Na Boga, toż to dzieło Ferdynanda! Nikt by się nie pomylił, kto raz już powąchał jego perfumy! Łajdak! Oszust! Ale zdradził się przynajmniej sam!

Amarylis zbladła na nowo i zbliżyła się do niego.

— Stefanie, błagam, powiedz mi, co myślisz?

— Myślę, że to jest oszustwo, zapach tej kartki tego dowodzi. Powąchaj! Czujesz ten mdły, nieznośny zapach?

Koperta zakonserwowała go doskonale. To jest woń wschodnich narkotyków.

Zmarszczyła delikatny nosek i odparła:

— Tak, czuję zapach. Czuje się go od razu, a potem ustaje. Ach! Stefanie, czy jesteś całkiem pewny?

— Jestem absolutnie pewny, że niezależnie od tego, czy to jest pismo Johna czy nie, na pewno Ferdynand albo ktoś, kto używa jego perfum, miał to w ręku. A teraz zbadamy wszystko dokładnie.

Przez chwilę przechadzał się zdenerwowany po pokoju, mówiąc półgłosem sam do siebie po rosyjsku. Amarylis czekała.

— Ferdynand? Cóż mu z tego? Nic. A więc komu? Harietcie? Ale na cóż to jej potrzebne?

Potem usiadł i patrzył w ogień, a jego zielonożółte oczy błyszczały inteligencją. Jasny jego mózg pracował trzeźwo. Ale już nic nie mówił głośno.

— Ona jest zazdrosna. Przypominam sobie, ona myśli, że to jest

moje dziecko. Wyobraża sobie, że ożenię się z Amarylis. To jest jasne jak dzień!

Nagle zerwał się podniecony i zawołał wesoło:

— Niech przyjdzie tu Denzil! Już wiem wszystko! Amarylis szybko wyszła i pod drzwiami Denzila zawołała:

— Denzilu, chodź prędko!

Za chwilę zjawił się Denzil, w szlafroku, bo ubierał się właśnie do obiadu.

Spoglądał z lękiem to na Stefana, to na Amarylis, a Stefan natychmiast rzekł:

— Sądzę, że ta karta jest fałszerstwem. Jestem zdania, że pismo podrobione zostało przez Ferdynanda Ardayre na rozkaz pani Boleskiej. Ona ma możliwość zdobycia takiej karty i posłania jej przez Holandię.

— Ale po co, po co? — zawołała Amarylis zdziwiona. Z jakiego powodu miałaby być tak okrutna wobec nas?

Byliśmy dla niej zawsze uprzejmi, wiesz o tym.

Weriszczenko zaśmiał się cynicznie.

— A jednak ona mimo to była zazdrosna o panią! Ale Denzilu, wnoszę to z zapachu. Wiem na pewno, że Ferdynand używa tych perfum. — Podał mu kartkę: — Powąchaj! —

Denzil pociągnął nosem.

— Jest tak słaby, że nie zauważyłbym go, gdybyś mi nie zwrócił uwagi: ale zdaje mi się, że jeśli ktoś ten zapach zna, to odróżni go wszędzie! Ale jak to udowodnisz Stefanie? Potrzebujemy dowodu, boja sam jeden byłem świadkiem zgonu Johna, a jestem zbyt zainteresowany w tej sprawie osobiście, aby mi ktoś mógł uwierzyć. Na Boga, przyjacielu, znajdź jakiś sposób zdobycia pewności!

— Mam na to sposób, ale gdy wrócę do Paryża. Tymczasem nie mówcie o tym nikomu.

Wargi Amarylis drżały. Pierwszy cios i ten drugi, nagły zwrot w sytuacji, rozstroiły ją. Brzydziła się sama sobą za to, że nie usiłuje chwycić za najdrobniejsze źdźbło nadziei, że John żyje, a co gorsza, doznaje uczucia ulgi, gdy Weriszczenko podważa autentyczność pisma.

— Biedny John! Taki dobry, bezinteresowny! To wszystko było denerwujące! Ale czyż warto tak się przejmować; czym jest życie? Wszak

ona sama gdyby miała możność wyboru, raczej wybrałaby teraz śmierć aniżeli rozłączenie z Denzilem. A gdyby John żył naprawdę, ile by musiał wycierpieć, znając tę sytuację!

— Niezależnie od tego, co dla mnie stanowi dowód przekonujący, myślę o zapachu - mówił dalej Weriszczenko - ta karta musi być oszustwem także dlatego, że wy oboje do tego czasu prawdopodobnie już spełniliście jego wolę i pobraliście się. To do niego niepodobne. A jeżeli to jest dziełem Ferdynanda i Boleskiej, to pamiętajcie, że oni nie mogli, wiedzieć o tym, że John życzył sobie, abyś ty, Denzilu, poślubił Amaryhs i dlatego zdawało im się, że krótka kartka, wyrażająca pragnienie ujrzenia pani, jest zupełnie na miejscu. Możecie być naprawdę spokojni. A teraz pójdę się przebrać do obiadu i zapomnijmy o niepokojących myślach.^F

Amarylis i Denzil zawsze będą wspominać ten wieczór i prawdziwy takt i dobroć Stefana. Zachował on zupełny spokój, bawił swymi opowiadaniem i rozmową. Po obiedzie grał im w zielonym salonie i jak się wyraziła pani Ardayre, przyniósł ich znekany duszom spokój i ukojenie.^J

Ale kiedy obie panie udały się na spoczynek, a Weriszczenko pozostał z Denzilem sam na sam, nagle wybuchnął cynicznym śmiechem — Cóż znowu u kata? — zapytał zdziwiony Denzil

— Myślę o fatalnej pomyłce Harietty. Ona sądzi, że to dziecko jest moje! Jest zazdrosna jak papuga! Podejrzewa, że ożenię się z Amarylis i stąd ta cała afera! Czyż to zdarzenie nie okazuje jasno, że nad dobrymi czuwa Opatrzność, a źli sami wpadają w doły, które pod innymi kopią?

— Naturalnie, ona się w tobie kocha?

— Kocha się? - Mon Dieu! I ty to nazywasz kochaniem? Ja pokonałem jej zmysły, a sam jestem niedosiężny. Nie udało się jej nigdy zawładnąć mną bardziej niż osobie, której zapłaciłbym dwieście franków. I ona wie o tym doskonale, to ją stale doprowadzało do wściekłości. Teraz wszystkie nici są w moim ręku. Wyobraź sobie Denzilu, że ten oficer na balu w Ardayre, to był jej pierwszy mąż, dla którego pozostało jej zawsze pewne zwierzęce przywiązanie, ponieważ miał on zwyczaj bicia jej laską. Potem ją wydali za Stanisława, aby przez nią osiąść tajemnice Polski i wszystkie inne, jakie się jej uda zdobyć. Jej

niezwykła głupota i niewiarygodny brak wszelkiego zmysłu etycznego uczyniły z niej znakomitego szpiega. Nie potrzebowała zwalczać żadnych skrupułów, niczego. Teraz potknęła się tylko dzięki swej zazdrości. Gdy się przekonała, że mnie straciła, zaczęła mnie pragnąć w jedyny dla niej podstępny sposób; wtedy straciła równowagę i kiedy wyjeżdżałem we wrześniu, dała mi w ręce klucz do zagadki. Nie będę cię nudził szczegółami, ale mam ich oboje w pułapce, ją i Ferdynanda Ardayre. Pierwszy jej mąż wrócił do Niemiec przez Szwecję, ale i jego znajdziemy. Tymczasem ja wydam Hariettę w ręce władz francuskich. Ostatnie jej szpiegowskie występy skierowane były przeciw Francji; dzięki niej Niemcy rozstrzelali siedmiu dzielnych ludzi, a oprócz tego otrzymują oni przez nią mnóstwo informacji, wydobytych od głupich starych lowelasów, a przede wszystkim od Stanisława.

— Pewnie ją rozstrzelają?

— Prawdopodobnie. Ale przedtem musi przyznać się do tej pocztówki z Holandii. Jadę natychmiast do Paryża, nie można zwlekać.

— Nie żal ci jej, była przecież twoją kochanką? Ten zbieg okoliczności jest interesujący i niezwykły, dlatego pytam.

— Ani trochę. — Oczy Weriszczenki błysnęły ogniem, a twarz wykrzywiła się nienawiścią. — Nie wiesz, jak bardzo kochałem Stanisława od dzieciństwa; on był moim przywódcą, ideałem. Bez niskich celów, pionier wolności w najrozumniej szym pojęciu! On mógł zmienić losy naszych dwóch krajów, był naszym światłem — a ta podła kobieta zniszczyła jego duszę i ciało, zabiła jego ideę i pracę dla wolności ludów! Ja bym ją udusił własnymi rękami.

— Ale Stanisław musiał mieć słaby charakter, Stefanie, skoro dał się jej tak opanować.

Z wolna nienawiść zgasła w oczach Rosjanina i po chwili wrócił wyraz spokojnego rozsądku.

— Może masz słuszość, Denzilu. Nie oddam jej w ręce władz za jej zbrodnie, lecz przez wzgląd na sprawiedliwość. Ona nie może pozostawać na wolności. Widzisz, nawet ja, który sobie pochlebiam, że jestem bezstronny i spokojny, narażony bywam na zaćmienie umysłu przez nienawiść. To podła namiętność, mój synu.

— Czy wydasz także Ferdynanda?

— Niezawodnie Ferdynand jest podłym gadem i wyrządza szkody jako narzędzie w ręku Harietty.
— On nienawidzi Anglików, to dlatego, ale pani Boleska nie ma takich motywów działania?
— Harietta nie ma ojczyzny: ona by każdego zdradziła dla osobistej korzyści. Gdyby jej działalność wynikała z patriotyzmu, można by jej przebaczyć, ale ona zawsze kierowała się żądzą zysku i zdradzała wszystkich przed wszystkimi. Nie mam dla niej litości, Denzilu.
— W tych czasach nie warto rozczulać się nad tym, że kobieta jest szpiegiem, ale rad jestem, że to nie ja ją wydam. Weriszczenko uśmiechnął się.
— Nie mogę zmienić swojej natury, Denzilu. Oddam Hariette sprawiedliwości bez żalu.
Pożegnali się na dobranoc, a serce Denzila doznało wielkiej ulgi pozbywszy się niepewności i niepokoju.

* * *

Gdy Weriszczenko przyjechał do Paryża i spostrzegł sprofanowanie ikony, ogarnęła go wściekłość. Nie pytając nawet o nic swego starego lokaja domyślił się, że to dzieło Harietty. Jedynie zazdrość mogła być powodem tak obrzydliwego czynu. Umocniło go to tylko w przekonaniu, które od dawna żywił, że Harietta podejrzewa go, iż mały Benedykt jest jego dzieckiem. Chociaż Rosjanin był pewny że kartka jest sfalszowana, postanowił wydobyć od Harietty potwierdzenie swoich domysłów.

Jego zielonkawe oczy błyszczały gniewnie, gdy patrzył na zdemolowany obraz.

Nie może jednak pozwolić, aby uczucie osobistego gniewu wpłynęło na to, co zamierza uczynić ze względu na sprawiedliwość. Rano udowodni jej winy władzom francuskim i one odpowiednio z nią postąpią, ale dziś sprowadzi ją tutaj do swego mieszkania aby powiedzieć jej słowa prawdy.

Usiadł w wygodnym, miękkim fotelu i zaczął myśleć.

Twarz jego nie wróżyła nic dobrego, ujawniały się w niej silne i dzikie namiętności, które Weriszczenko siłą woli usiłował opanować.

Jego mądry pies, który instynktownie odbierał nastroje swego pana, patrzył na niego smutnym wzrokiem i czekał cierpliwie na przywołanie. Po pół godzinie Weriszczenko wstał i podszedł do telefonu. Zadzwoił do hotelu Universal i kazał się połączyć z mieszkaniem pani Boleskiej. Wnet odezwał się jej głos. Trochę niespokojny, a jednak zuchwały.

— Ach! To ty Stefanie, mój drogi! Czego chcesz, kochany brutalu?

— Ciebie! Czy nie możesz przyjść do mnie dziś wieczór na obiad, sama?

Ton jego głosu był słodki i umyślnie szczerzy, tylko wyraz jego twarzy ciągle był groźny i nieprzyjazny.

— Przyjechałeś teraz? Jak cudownie!

— W tej chwili, pobiegłem więc od razu do telefonu. Tęsknię za tobą, przyjdź prędko!

W głosie Weriszczenko drgała namiętna nuta, którą chciał zwabić do siebie Hariettę.

— Widocznie nie otwierał drzwiczek ikony — myślała Harietta. — Pójdę zobaczyć go znowu za wszelką cenę chcę.

— Doskonale, za pół godziny — rzekła. — Czekam — odpowiedział, odkładając słuchawkę.

Potem podszedł ponownie do ikony i badał drzwiczki. Zatrzasnął je bardzo silnie i umocował jeden złoty gwóźdź. Będą robiły wrażenie, że są zaciśnięte i nie dadzą się otworzyć. Zamówił doskonały obiad i wino Chateau Yquem, które Harietta wolała od szampana, bo było słodkie i silne. Ciepły i przytulny gabinet z ogniem, płonącym na kominku, robił miłe wrażenie. Rosjanin rozglądał się wokoło, zanim poszedł się ubrać, po czym roześmiał się do siebie, a jego pies poruszył radośnie ogonem, widząc zmianę nastroju swego pana.

Harietta przybyła punktualnie we wspianiałej toalecie. Szalone pragnienie zobaczenia Weriszczenko uśpiło częściowo jej instynkt samoobrony. Ale podświadomie odczuwała jakiś niepokój i lęk.

Stefan wyszedł na jej spotkanie do hallu i powitał ją jak zwykle bez ceremonii.

— Zostaw płaszcz w mojej sypialni — rzekł, dając jej tym sposobem okazję do zobaczenia zatrzaśniętych drzwi ikony i możliwość uspokojenia się.

Z chwilą, gdy Harietta znalazła się sama, podeszła szybko do ołtarzyka. Zbadła go dokładnie; nie, zamek nie został naprawiony. Poruszyła drzwiczkami, ale i te nie dały się otworzyć, z ulgą więc przypomniała sobie, że zatrzasnęła je mocno. To stanowi wytłumaczenie wszystkiego. Weriszczenko nie wie z pewnością do tej pory o jej czynie. Wieczór więc należy do mej, pomimo wszystkiego! I nie warto nigdy myśleć o jutrze!

Weriszczenko czekał na nią w gabinecie i usiedli do obiadu. Mały stolik przysunięto do kominka. Atmosfera była ciepła i Harietta była w szampańskim humorze.

Weriszczenko był dla niej najbardziej pociągającym mężczyzną na świecie, posiadał ten nadzwyczajny magnetyzm, działający na kobiety. On jednak teraz patrzył na nią wzrokiem nieco chłodnym. Nie działała już na jego zmysły. Widział tylko rzeczywistość, zwierzęcą rzeczywistość, a w pamięci jego pozostały wykłute oczy Matki Bożej i zdrapana twarzyczka Boskiego Dzieciątka.

Cała dzikość i przebiegłość jego natury odezwała się w tej chwili—radował się torturą, którą zamierzał jej zadać, torturą zazdrości.

Poprowadził subtelną rozmowę, rozmyślnie drażniąc jej ciekawość i budząc jej podejrzenie. Nie wspomniał o Amarylis, a mimo to wyznał jej jak gdyby mimo woli, że był u niej w Anglii i że królowała w jego duszy. Potem użył wszystkich swoich sposobów czarowania, tak że żądza Harietty została podniecona i przed końcem obiadu doznała najsilniejszego wzruszenia, jakiego kiedykolwiek zakosztowała w życiu a uczucie niemocy wobec Weriszczenki wzmocniło jej pożądanie.

Oczy jej pełne były namiętnego ognia, gdy pochylała się ku niemu i szeptała gorące zapewnienia miłości.

Weriszczenko pozostał jednak zupełnie niewzruszony.

— Jak głupia byłaś, posyłając kartkę do lady Ardayre — zauważył zadumany w ciągu jednego z jej gorących miłosnych wyznań — dziecko poznałoby, że to fałszerstwo. Gdybyś tego nie zrobiła, byłbym cię dziś uczynił bardzo szczęśliwą, moja intrygantko.

— Stefanie, jaka kartka? Ale w każdym razie uczyni mnie szczęśliwą, moj najdroższy. Po to przyszłam, wiesz o tym dobrze.

Oczy jej nie patrzyły tak niewinnie, jak zwykle, kiedy kłamała. Jego spokój onieśmielał ją, czuła jakiś lęk na myśl o tym, że on nie zamierza zaspokoić jej pragnień, a chce ją tylko drażnić.

Weriszczenko tymczasem ciągnął dalej, zapalając papierosa.

— To była głupia intryga. Ferdynand Ardayre pisał kartkę, a ty mu ją dyktowałaś. Od razu to spostrzegłem. Zrobiłaś to, ponieważ byłaś zazdrosna o lady Ardayre. Sądziś, że ją kocham.

— Nic nie wiem o kartce, ale jestem zazdrosna o tę angielską lalkę — oczy Harietty błyszczały. — To tak niepodobne do ciebie, aby zająć się taką istotą. Ja jestem stworzona dla ciebie — rzekła pani Boleska.

Weriszczenko zaśmiał się.

— Odwołujesz się zawsze do najniższych instynktów mężczyzny. Na szczęście nie tylko one zawsze biorą nad nim górę. Ale pozwól, że ci powiem coś więcej o sfałszowanej kartce. Przerachowaliście się oboje. Zapomnieliście o czymś, co było przewodnią myślą Johna i dlatego oszustwo od razu wyszło na jaw.

Zazdrość Harietty wybuchła w całej pełni i przestała liczyć się ze słowami.

— Masz na myśli dziecko — rzekła — twoje dziecko. Złowróźbny błysk zamigotał w oczach Weriszczenki.

— Moje dziecko! Powiedziałaś to już raz i przestrzegłem cię wtedy. Nigdy nie mówię na próżno.

Wstała od stołu i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Stefanie, ja cię kocham, kocham cię, rozumiesz! Zabiłabym Amarylis i dziecko. Chcę ciebie! Czemu tak się zmieniłeś?

Roześmiał się jedynie pogardliwie, uwalniając się z uścisku jej ramion.

— Wiesz jakim sposobem odkryłem twoją intrygę? Dzięki perfumom, którymi skropiona była chustka, naznaczona inicjałami F.A., a która rzekomo należała do kochanki Stanisława. Cała historia była śmiesznie dziecinna. Myślałaś, że dowodząc, iż John Ardayre żyje, powstrzymasz Amarylis od małżeństwa ze mną.

— Więc się z nią żenisz?

Oczy Harietty zapłonęły ogniem, twarz gorzała namiętnością. Wyglądała jak furia.

Stefan spoglądał na nią zimnym, krytycznym wzrokiem. Dziwił się sobie, że mógł jej dotykać w przeszłości. Poczul wstręt i poniżenie na samą tę myśl.

Spostrzegła jego odrazę i zupełnie straciła głowę.

Rzuciła mu się w ramiona i chciała go zdusić w namiętym uścisku, pozbywając się wszelkiej powściągliwości i zlewając na niego cały potok czułości, przeplatany przekleństwami na tę, która śmiała odbić jej ukochanego. Weriszczenkę gniewała jej histeria. Pozostał zimny jak głaz. Gdy Harietta wyczerpała się nieco, przemówił ze spokojem:

— Opanuj się Harietto. Takie wzruszenie pozostawi ci brzydkie ślady na twojej twarzy **a nie** powinnaś psuć jedyne dobre, jakie posiadasz. Wcale **cię nie pragnę**, uważam, że wyglądasz fatalnie i nudzisz mnie diabelnie. Ale teraz posłuchaj mnie przez chwilę, mam ci coś do powiedzenia. — W cynicznym jego głosie drgała głęboka nuta powagi.

— **Nie potrzebujesz się już przyznawać**, że sfalszowałaś tę kartkę, **dałaś mi na to** wystarczający dowód. To temat skończony, ale chcę, abyś wysłuchała **opowiadania o** swoich szkaradnych czynach. — Dźwięk jego głosu **stał się** ostrzejszy, **a** wzrok spochmurniał. — Ach! Jakże okropnymi **narzędziami losu są tego** rodzaju kobiety, co ty. Posiadając największą **moc nad** mężczyznami użyłaś jej w kierunku zła. Czegokolwiek dotknęłaś, zostawiałaś **śląd** upodlenia i brudu. Pomyśl o Stanisławie, człowieku ze wzniosłymi celami i wyższymi ideałami. Czym on jest teraz? Biednym, martwym szkieletem bez rozumu i woli. Użyłaś go nawet nie dla osobistych zysków, ale dla zdrady krajów, a jeden z tych krajów, to kraj twego męża, który powinien był stać się twoją ojczyzną.

Pani Boleska upadła na kolana przed Rosjaninem, a on ciągnął niemiłosiernie dalej. Wymienił szereg nazwisk, które znała, aż doszedł do Ferdynanda Ardayre.

— Mówią mi, że upija się, narkotyzuje i szaleje za tobą. Pomyśl o nich wszystkich, gdzie się teraz znajdują? Wielu z nich umarło, a ty przeżyłaś ich jak wampir wysysając krew. Czy ty kiedyś myślisz o innych? Zawsze tylko o sobie. Poświęciłabyś swoich -najbliższych i najdroższych dla osobistego zysku. Nie schwytano cię dotąd i nie zaduszono, bo wyraźnie diabeł ci pomaga. Z łatwością płacisz uśmiechem i uprzejmością, to cię nie kosztuje. Żyjesz, oddychasz i karmisz się jak robak cuchnącym trupem. Czerwienię się na samą myśl, że używałem twego ciała dla własnych celów, gardząc tobą zawsze w duszy. Obserwowałem cię z cynizmem, podczas gdy powinienem był skrócić ci kark.

Szlochała spazmatycznie, załamując ręce.

— Pomimo tego wszystkiego mogłaś jednak pozostać na wolności, Harietto i los w swoim czasie byłby cię sam ukarał, ale popełniłaś wielką zbrodnię, dla której nie ma usprawiedliwienia i litości. Odgrywałaś rolę szpiega. Podłego szpiega nie z patriotycznych pobudek, ale z osobistych względów; nikomu nie byłaś wierna. Czy nie zdradzałaś przede mną tajemnic swego byłego męża, Hansa? Czy zależy ci na tym choć trochę, który kraj zwycięży? Cały wstrętny interes miał jeden cel — osobistą korzyść.

Urwał, a ona zaczęła mówić z uniesieniem i złością, zmusił ją jednak znowu do milczenia.

— Zapatrujesz się lekkomyślnie na wypadki, które dziś wstrząsają światem, i wyobrażasz sobie, że wszystko ci ujdzie bezkarnie. Powiadam ci jednak, że niebawem zapłacisz za wszystko. Ja nie jestem jedynym, który wie o twoich nędznych czynach.

Harietta podniosła się teraz z ziemi i odrzuciła głowę w tył. Ważne zdarzenia nie wiele ją obchodziły. Opuścił ją lęk. Poruszyło ją jedynie to, że Stefan, którego uwielbiała, odzywał się do niej takim tonem. Rzuciła mu się więc ponownie w objęcia, domagając się jego miłości.

Ale on odsunął ją od siebie ze wstrętem i odezwała się w nim okrutna cecha jego charakteru.

— Miłość! Nie znieważaj imienia miłości. Nie wiesz, co ona znaczy, ja wiem i to niech na zawsze pozostanie w twojej pamięci. Kocham Amarylis Ardayre. Ona jest dla mnie ideałem kobiety. Składam swoje życie u jej stóp. Kocham ją taką miłością, o jakiej takie istoty jak ty nie mogą zamarzyć, bo znają tylko zmysły i grają jedynie na nich. Wiedz o tym zawsze, że czczę i uwielbiam tamtą kobietę, a tobą pogardzam.

Harietta kurczyła się i kulila na sofie, na którą upadła.

— Idź! — rzekł zimno. — Nie potrzebuję cię więcej, moje auto czeka na dole, możesz z niego skorzystać i wrócić do swego hotelu. Jutro rano dam ci ostatni dowód mego zainteresowania twą osobą, dzisiaj możesz spać spokojnie.

Harietta płakała głośno. Nareszcie była przestraszona. Co on miał na myśli? Ale nawet lęk malał wobec szalonej myśli, że Weriszczenko zerwał z nią, że nigdy już nie będzie trzymał jej w swych ramionach. Cały jej świat został zburzony. Tarzała się na ziemi, całując nogi kochanka.

— Stefanie! Zatrzymaj mnie przy sobie! Będę twoją niewolnicą! Ale Weriszczenko odsunął ją delikatnie i podchodząc do stolika,

zapalił papierosa. Uczynił to spokojnie, rzucając obojętne spojrzenie na postać kobiecą, czołgającą się po ziemi.

— Dosyć tych głupstw — rzekł puszczając kłęb dymu. — Radzę ci pójść spokojnie do łóżka. Następnej nocy nie będziesz już może spała tak dobrze.

Strach ogarnął ją znowu. Co on ma na myśli? Wstała i stanęła obok stolika, szukając błyszczącymi oczami jego wzroku.

— Dlaczego nie mam tak dobrze spać jak dzisiaj? — Zapytała niepewnie.

Roześmiał się szorstko.

— Nie wiadomo. Życie w tych czasach jest loterią. Powinnaś się spytać o to twego interesującego Niemca.

Zbladła śmiertelnie. Prawdziwe niebezpieczeństwo zawisło nad jej głową.

Weriszczenko pozostał zupełnie niewzruszony. Nacisnął dzwonek, a jego rosyjski lokaj przyniósł futro i kapelusz swego pana.

— Pomogę ubrać się pani — rzekł spokojnie Weriszczenko. — Zaczekaj tu na nas, abyś za nami zamknął drzwi — zwrócił się do lokaja.

Harietcie nie pozostało nic innego, jak pójść za Stefanem do sypialni. Była wprost oszołomiona.

Weriszczenko podszedł do ikony i wsuwając nożyk do rozcinania papieru między drzwiczki otworzył je szeroko, potem odwrócił się do Harietty, która zbladła śmiertelnie, gdy zobaczyła jego twarz*

— To jest twoje dzieło — rzekł, wskazując na obraz — za to i za inne rzeczy, Harietto, zapłacisz. Teraz chodź, zawiozę cię do kochanka i męża, obaj z utęsknieniem czekają na twój powrót. Chodź!

Osunęła się znowu na ziemię i nie chciała się ruszyć, tak że zmuszony być zawołać służącego i dopiero razem zdołali ją podnieść i ubrać w płaszcz. Potem, podtrzymując ją, sprowadzili na dół do auta. Weriszczenko usiadł obok niej i kazał jechać szoferowi do hotelu Universal. Niechaj śpi dzisiaj jeszcze spokojnie i rozważy zdarzenia wieczoru. Ale jutro nie będzie już dłużej zwlekał i doniesie o jej zbrodni władzom.

Z początku Harietta siedziała cicho i dopiero przed samym hotelem

rzuciła się Rosjaninowi na szyję i całując go namiętnie łkała, pełna złości i lęku.

— Nie ożenisz się z Amarylis. Przedtem zabiję was oboje. — Uśmiechnął się w ciemności, a ona czuła, że z niej szydzi; nagle odwróciła się i ugryzła go w ramię, ale zęby jej nie dotknęły przez futro do ciała.

Odrzącił ją. — To w złym stylu, Harietto! Zawsze trochę się spóźniasz. Jesteśmy już na miejscu i nie chcesz chyba, aby w takim stanie zobaczyła cię służba hotelowa. Zasłoń twarz woalką i idź spokojnie do swego pokoju. Życzę ci dobrej nocy!

Wyszedł z auta i z uszanowaniem odprowadził ją do bramy. Portier i służba patrzyli, gdy raz jeszcze skłonił głowę i pozornie pocałował swą towarzyszkę w rękę.

— Do widzenia, Harietto! Śpij dobrze — rzekł i wrócił do auta, które wnet odjechało.

Ona zawahała się na sekundę, lecz potem szybko podeszła do windy, a za nią skierowało się dwóch mężczyzn i wszyscy troje wyjechali na górę. Kiedy Harietta wchodziła do swego salonu, spostrzegła, że dwaj nieznajomi idą za nią.

— Nie będzie cię już bić, mój pieszczošku! — Szepnęła do Fou-Chou pokojowa, wyglądając spoza drzwi. — Twoja Maria ocaliła cię nareszcie.

* * *

Weriszczenko powróciwszy do swego gabinetu, przechadzał się po pokoju tam i z powrotem przez pół godziny.

Ogromnie był podniecony, zdenerwowany i zły na siebie.

Denzil miał rację. Gdy nadeszła ostatnia chwila, wstrętem go przejmowało wydanie kobiety na śmierć, pomimo że jej zbrodnie w zupełności ten czyn usprawiedliwiały.

A czym jest śmierć? Czy ona będzie dla Harietty, pustej i próżnej istoty? Rozpłynięciem się w nicość na pewien okres, a potem odrodzone w jakiejś sferze cierpienia, gdzie otrzyma pierwsze nauki o istocie życia. Taka prawdopodobnie będzie jej ewolucja, aby potem mogła ewentualnie uzyskać duszę. Nie będzie się jednak dłużej nad nią zastanawiał, bo nerwy go opuszczają.

178

— A czym się teraz stanie jego własne życie? Czy duch wolności obudzony w jego ukochanym kraju zaprowadzi do czegoś dobrego? Czy też czerwony prąd rewolucji przyniesie zniszczenie?

Jego daleko widzącym oczom najbliższy obraz przedstawiał się czarno i beznadziejnie.

Ale jego miejsce — dumał Weriszczenko — jest obecnie w Piotro-grodzie. Tam musi pozostać do końca wojny. Jego działalność poza granicami Rosji skończyła się i teraz nowe potrzeby wymagają, aby pozostawał w samym centrum akcji.

— Świat domaga się wolności. Boże — biegły burzliwe myśli Weriszczenki — ale nie możemy mieć nadziei, że ją zdobędziemy, dopóki nie zapłacimy za chciwość, egoizm, nieświadomość i niskie materialne zdobycze. Musimy teraz zebrać nasze żniwa. Boski Zbawiciel odkupił niegdyś swą ofiarą nasze grzechy, ale dzisiaj musi nastąpić całopalenie najdzielniejszych i najlepszych ludzi, aby przyszło oczyszczenie.

Weriszczenko upadł na fotel, spoglądając na ogień w kominku. Przed oczyma przesunęły mu się dziwne obrazy.

Widział powstające nowe narody, ogólne dążenie ludzkości do wiedzy, badanie wielkich sił przyrody i powszechne odrodzenie. Przymknął oczy i trwał w zamyśleniu.

Kiedy się ocknął, usiadł i napisał list do Denzila:

Posiadam wszystkie potrzebne dowody, mój przyjacielu. Żeń się z panią mojej duszy i uczyn ją szczęśliwą. Są okresy w życiu mężczyzny, które wymagają wysiłku całej jego woli. Mam nadzieję, że nie jestem człowiekiem słabym.

Wracam natychmiast do Rosji. Tamtejsze zdarzenia i sprawy umożliwią mi wymazanie z pamięci niektórych niepokojących wspomnień. Koniec jeszcze nie nadszedł. Mam uczucie, że moje prawdziwe życie dopiero się zaczęło. Ferdynand Ardayre jest silnie związany z Hariettą, będzie to tylko kwestią czasu, a zostanie również usunięty. Więc, Denzilu, przy naturalnym biegu wypadków zostaniesz głową rodziny. Na wszystko musisz patrzeć rzetelnie i jasno, stary, kochany przyjacielu i rozumieć, że niemożliwością jest mieszać się do Opatrzności i zostać zwolnionym od zapłaty. Rozsądek jednak pozwoli Ci pogodzić się z sytuacją i ocenić to, co osiągnąłeś, nie zatruwając się

próżnym żalem. Spłaciłeś wiele swoimi ranami i bólem, możesz więc teraz oczekiwać szczęścia, którym życie obdarza człowieka.

Moje błogosławieństwo dla Was obojga i dla syna Ardayre'ów. A teraz żegnaj na dłuższy czas.

Ledwie skreślił ostatnie słowa, gdy zadzwonił telefon i odezwał się zrozpaczony głos Stanisława.

Harietta została odstawiona do St. Lazare, zdradziła ją pokojowa. Co mam więc robić? Boleski był bezradny.

Stefan odczuł wielką ulgę. Więc nie on będzie narzędziem sprawiedliwości. Jakże głęboko dziękował za to Bogu!

* * *

Dla Harietty dni spędzone w więzieniu były okresem szalonego lęku, to znów niedowierzania. Nie wierzyła w to, że czeka ją śmierć.

Stanisław i Ferdynand, a nawet Weriszczenko ocala ją chyba. Nie cierpiała twardego łoża w St. Lazare, niewygód i sióstr Miłosierdzia. W celi swojej czuła się jak dzikie zwierzę w klatce. Wydawała jakieś okrzyki i wołała głośno męża, to znów kochanków, po czym zwijała się w kącik w kłębek i drżała ze strachu.

Najbardziej bolała ją myśl, że Stefan i Amarylis pobiorą się i będą szczęśliwi.

Gdyby tak Marie znalazła się w jej rękach wydrapałaby jej oczy. Ferdynand Ardayre opowiedział Hariecie, że zdradziła ją jej pokojowa.

Gdy Stanisław wrócił z klubu, dokąd go wysłała owego wieczoru, kiedy wybrała się do Weriszczenki, nie zastał jej już w mieszkaniu. A teraz doświadczał skutków swojej rozpacz. Leżał niebezpiecznie chory w sanatorium i na szczęście o niczym nie wiedział.

Dla Ferdynanda Ardayre cios był także okropny. Jediną silną stroną jego słabej natury była jego miłość do Harietty, której nagle został pozbawiony.

Walczył bezsilnie z losem, nie mogąc użyć żadnych środków, będących w jego mocy, aby zmienić wyrok śmierci, bo sam zanadto był wpłątany w aferę szpiegowską.

Odwiedził ją jedynie w więzieniu za kratami. Zaszła w niej okropna

180

zmiana. Paraliżował ją strach, bełkotała jakieś słowa. Co się zrobiło z pięknej kobiety, która jeszcze niedawno budziła podziw w salonach i łamała serca mężczyzn?

Jej włosy były w nieładzie, a twarz pozbawiona makijażu przypominała pośmiertną maskę.

Błagała go, aby ją ocalił.

Okropny smutek z powodu świadomości, że nic nie może dla niej uczynić, doprowadzał Ferdynanda do rozpacz i nagle natchnął go pewną myślą.

W każdym razie odegna przynajmniej od niej uczucie lęku i ułatwi jej śmierć. Przypomnił sobie Toskę i postarał się szepnąć jej kilka urywanych słów, obiecując, że zostanie ocalona. Zapewniał ją, że cały plan jest przygotowany.

Karabiny będą miały puste naboje, musi więc tylko upozorować śmierć, padając na ziemię, a on potem się zjawi przekupując straż i ułatwiając jej ucieczkę.

Kłamał z takim zapalem, że Harietta była przekonana o prawdzie jego słów. Mówił jej, że powinna się tak ubrać, aby wyglądała uwodzicielsko i zrobiła wrażenie na wszystkich mężczyznach. Gdy się z nią pożegnał, poprosił jeszcze więziennego lekarza, aby wstrzyknął jej silną dawkę morfiny na uspokojenie. Harietta spędziła więc noc spokojnie, a o czwartej godzinie, gdy ją obudzono, zaczęła się ubierać.

Robiła to z największą starannością, używając wszelkich środków, służących do upiększenia.

W uszach miała rubiny od Stanisława, a na palcu pierścionek od Stefana.

Śmierć dla niej była niemożliwością, nie widziała nigdy umierającego.

Cudowna będzie jej rola, jaką odegra z Ferdynandem, który ją ocali. Myślała teraz tylko o tym.

Gdyby tylko jeszcze raz mogła zobaczyć Stefana! Stanisław nic ją nie obchodził, nie poświęcił mu nawet jednej myśli. Gdy będzie wolna, postara się odplacić Hansowi. Nie cierpiała go. Gdyby nie on i jego wyższe władze ze swoimi głupimi intrygami, byłaby teraz na wolności. Surowe oskarżenie Weriszczenki nie wywarło na niej wrażenia.

Morfina zostawiła jej teraz na tyle świadomości, że mogły działać tylko pierwotne instynkty.

181

Czuła, że jest piękną kobietą, która będzie bohaterką nadzwyczajnie dramatycznej sceny. Ptasi jej mózg przejęty był obecnie tylko chytrą i kokieterią. Postanowiła oczarować straż i całe otoczenie do ostatniego człowieka.

Wreszcie gotowa do drogi wyszła z więzienia i wsiadła do czekającego na nią auta, które zawiozło ją do Vincennes.

*

Harietta nie miała świadomości zagrożenia i na własną egzekucję szła jak dawniej na bal. W sukni z zielonej tafty, błyszcząca klejnotami, odrzuciła bujne włosy do tyłu i śmiało stanęła przed uzbrojonymi żołnierzami. Wszak Ferdynand ją zapewnił, że w lufach będą ślepe naboje... Adiutant, która dowodził plutonem, daje znak szablą, Salwa! Ciało Harietty osuwa się na ziemię. Na zieleni jej sukni pojawia się czerwona plama, do złudzenia przypominająca czerwoną różę, którą Harietta często przypinała do swoich ciemnych włosów. **Tak** skończył się ostatni bal Harietty Boleskiej...

* * *

Wkrótce potem odbył się ślub Amarylis i Denzila. Młodzi zamieszkali w rodowej siedzibie Ardayrów wraz z matką Denzila, która nie mogła się rozstać z małym Benedyktem. Małeńki potomek wielkiego rodu całkowicie zawładnął sercem swojej babki. Ale nie tylko ona padła ofiarą swojej namiętności do malca. Jej rywalem o względy chłopca był Weriszczenko, który wprawdzie dalej głosił swoje teorie o niezależności ducha i o panowaniu nad swoimi emocjami, jednak w stosunkach z Benedyktem jakoś ich nie przestrzegał. Był stałym gościem domu Ardayrów i chrzestnym ojcem ich następnego syna, Huberta.

Amarylis i Denzil przeżywali pełnię szczęścia. Ciągłe mieli za mało czasu na rozmowy i długie spacer, które tak oboje lubili.

— Kochanie — zapytał pewnego razu Denzil — jakie kwiaty posadzimy w tym roku w oranżerii? Oczywiście oprócz goździków, których zapachu nie znosisz. — Denzilu — odparła Amarylis — tak bardzo jestem szczęśliwa i tak kocham cały świat, że pokocham

183

i goździki, tym bardziej, że wyjątkowo pięknie kwitną w naszych oranżeriach i są bardzo trwałe.

Przyciągnął ją do siebie i zamknął w swoich ramionach.

— Czy jesteś naprawdę szczęśliwa, Amarylis? — zapytał drżącym głosem.

— Zgadnij Denzilu — odpowiedziała z figlarnym uśmiechem i wysunęła się z jego objęć, bo oto nadbiegli chłopcy wraz z Weriszczenką, a starsza pani Ardayre wołała już na kolację.